

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

105

RILKE

CIORAN

SZUBER

SIWCZYK

RÓŻYCKI

NOWOSIELSKI

DĄBROWSKI

RAINER MARIA RILKE	5	<i>Zwiastowanie</i> w przekładzie Antoniego Libery
EMIL CIORAN	7	Okna na nicość w przekładzie Ireneusza Kani
IRENEUSZ KANIA	26	Nota
JANUSZ SZUBER	27	Orion
	28	Będzie tak, jak wyjdzie
	29	Bez si ę
KRZYSZTOF SIWCZYK	30	W pomroce
TOMASZ RÓŻYCKI	46	Ciało choruje • Święta
	47	Rysopis • Elegia dla X
KAZIMIERZ NOWOSIELSKI	49	Karola Olgierda Borcharta morska szkoła życia
TADEUSZ DĄBROWSKI	59	List • Spotkanie autorskie
	60	Pocztówka z Wambierzyc • Remont elewacji
ŁUKASZ NICPAN	62	Starożytny tors Apollina
	63	Realizm poezji • Chwila przed burzą

ŚWIADECTWO

RENIA SPIEGEL	65	Pamiętnik 1939–1942 (fragmenty)
EWA BATHELIER	83	Nota
FLEUR ADCOCK	84	Trzy tęcze w jeden poranek • Lornetka
	85	W pubie „Pod Jednorożcem” w Ambleside
	86	Z prądem
GEORGE MACKAY BROWN	87	Garniec soli
	88	Taniec siedmiu rybaków
JOANNA HELANDER	89	Pisarze

VARIA

STEFAN CHWIN	105	Dziennik 2020
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	115	Fragmenty murów obronnych (2)

TOMASZ RÓŻYCKI	122	Kamień, profil
LESZEK SZARUGA	126	Dobrze o złu (2)
PIOTR SZEWC	132	Z powodu i bez powodu (57)

RECENZJE

KRZYSZTOF LISOWSKI	135	Wszystkie wiersze Kawafisa
WOJCIECH TOMASIK	138	Kartografia pamięci
ANDRZEJ ZAWADA	141	Utrwalona chwila zachwytu

NOTY O KSIĄŻKACH

LESZEK SZARUGA	146	„Przepaść końca”
KONRAD ZYCH	149	Nie całkiem elegia
PIOTR SOBOLCZYK	154	Glissensada i klasanówki
BOGUSŁAW KIERC	158	Z drżenia ziemi
TOMASZ WASZAK	160	Przegrać i (nie) przetrwać
BARTOSZ SUWIŃSKI	162	Trakt w jedną stronę
MACIEJ WRÓBLEWSKI	166	Biblioteka Tomasza Burka
LESZEK SZARUGA	171	Literatura i rzeczywistość
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	174	Portret pisarza
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	177	„Mój kapitał”
NOTY O AUTORACH	181	
„KWARTALNIK ARTYSTYCZNY”		
W 2019 ROKU	184	
NOWE KSIĄŻKI	188	

Dnia 29 marca 2020 roku zmarł w Krakowie



Krzysztof Penderecki
kompozytor

R. I. P.

RAINER MARIA RILKE

Zwiastowanie
Słowa Anioła

w przekładzie Antoniego Libery

Nie mogłaś blisko Boga stać.
Jak my. Już taki ład.
A jednak na twych rękach znać
błogosławieństwa ślad.
Tak żadna z kobiet, tyle wiem,
nie składa dłoni w Słowo.
Ja jestem rosą, jestem dniem,
ale ty wydasz owoc.

Lecę z daleka, padam z nóg,
jak gdybym był pijany,
i nie pamiętam już, co Bóg
w promienny strój odziany
kazał ci rzec, a zwłaszcza jak
(jaką zwiastować mową).
Jam tylko omen, pierwszy znak,
ale ty wydasz owoc.

Rozpięte skrzydła, które mam,
doprawdy są ogromne.
Lecz – choć jesteśmy sam na sam
w twojej izdebce skromnej –
nie widzisz mnie i niewzruszenie
tkwisz z pochyloną głową;
bo ja to tylko wiatru tchnienie,
ale ty wydasz owoc.

Anioły są aż rozedrgane,
miotają się w przestworzach.
To podniecenie niesłychane!
Ta dziwna wola boża!
Pewnie więc wkrótce się dokona,
co wymarzyłaś we śnie.
Tak, widzę to! Bądź pozdrowiona!
Błogosławiona jesteś!

Bo jesteś bramą, która już –
już wkrótce się otworzy.
Najmilsza z wszystkich ziemskich dusz,
nie zgub tych słów, lecz w sercu złóż,
bo zbłądzą – jakby w borze.

Niech w końcu spełni się twój sen;
rozpocznij świat na nowo!
Bóg mnie tak olśnił – gdzieś tam, hen...

Ale ty wydasz owoc.

21 lipca 1899

Wiersz ten tłumaczyli na język polski również Mieczysław Jastrun, Artur Sandauer,
Adam Pomorski i Andrzej Lam. (Red.).

EMIL CIORAN

Okna na nicość

w przekładzie Ireneusza Kani

Potrzeba snu jest wprost proporcjonalna do postępów ducha. Trzeźwo-widzenie przekształca irracjonalność czasu w świadome trwanie ciężące nad wszystkimi naszymi działaniami. Dotarłszy do tego punktu oddalenia względem natury i samych siebie, uleczenie możemy znaleźć jedynie w nieświadomości. Sen jest wielkim lekarstwem dla ducha, gdyż właściwa rozbudzonemu ja choroba zanika w jego przywidzeniach. Mieszkający w nas Diabeł oddycha w nim niedręczony dziennymi jawami; my zaś, bywający łupem wszelkich wyrzutów, nie znamy jeszcze tylko tego jednego – zrodzonego przez sny.

*

Skoro życie to bezsenność, sen jest bogiem.

*

Jedyną treścią czasu jest rozpad naszej wewnętrznej pustki.

*

Jakże wielkim cierpieniem jest negacja! I jaki kapitał litości jest potrzebny, by złagodzić los Diabła!

*

Spośród nierozstrzygalnych bojów, jakie trzeba staczać na całym obszarze od metafizyki do fizjologii, najłatwiejszy nie jest ten, w którym ścieramy się z własnym mózgiem. Trwać z uporem w świecie symptomów, których dziwaczność odślania nam tyle tajemnic – a potem zginąć...

Przez szczeliny duszy widzimy wszystko. Ukryte pęknięcia otwierają okna na światła innego półcienia.

*

Tęsknota za śmiercią jest płomieniem, bez którego pulsowanie życia byłoby tylko ciągiem zgaśnieć. Nicość jako tajemna siła i źródło naszych konwulsji... Grzejemy się przy ogniu nicości... pod słońcem pustki...

*

Nawet oddech staje się najwspanialszą przygodą dla tego, czyje korzenie nurzają się w pianie...

*

Oprócz snu wszystko rozmraża łyzy w nas drzemiące. Stan jawy to tylko płacze spowite w teorię.

*

Gdy muzyka we mnie się buntuje, jestem złożony w dźwiękowej ofercie nierzeczywistemu.

*

Dokąd może prowadzić droga ducha mocno uwikłanego w coś, ale ze wewnętrznego wobec czegokolwiek?

Jak gdyby drogi w ogóle gdzieś prowadziły! Zwykłe znaki w przestrzeni będącej podstawą Tułaczki.

*

Wątpienia nie mają żadnej mocy – nawet gdy, skupione w jednej i tej samej duszy, przytępiają światło gwiazd i swym jadem zaprawiają wspaniałość słońca.

*

Myśl doprowadzona do swej granicy rzadko kończy się w Logice; bardzo często w fizjologii, a z pewnością w obłądnie.

*

Chciałbym się urodzić niewolnikiem w jakimś zakątku dogorywającego Imperium; przywieziono by mnie do Rzymu, abym rozsiewał w nim wątpliwości i wykrzykniki, bym uszy ostatnich władców karmił występnymi naszeptami... Ach, ta wykwinтна degrengolada towarzysząca orgiom zasadniczym, duchowym!

*

Gdyby ktoś był na tyle trzeźwowidzący bądź zuchwały, by w pełnym świetle ukazać iluzję, na jakiej opiera się jego istnienie, zgodnie uznalibyśmy go za wariata. A ponieważ każdy z nas żyje, bo uważa się – nieświadomie – za samo ucieleśnienie bytu, więc nasza bezdyskusyjna absurdalność objawia się wyłącznie w chwilach kryzysu. Człowiek absolutnie trzeźwy nie mógłby odechnąć nawet raz. Prawda jest katastrofą unicestwiającą zapał niezbędny do życia.

*

W walce, jaką tocymy w nieświadomości, każdy z nas jest bogiem. Co by się stało, gdybyśmy odważyli się przełożyć na język jawy tę ślepią dumę, nienadszczerbioną przez myśl?

*

Na gruncie nadziei nawet nicość prezentuje jakąś możliwość istnienia. Nadzieję unicestwić najtrudniej, gdyż nie chodzi tu tylko o istnienie, lecz o jego esencję. O wszystko. To, co nie opiera się na nadziei, jest na zewnątrz wszystkiego. Nawet Diabeł ma nadzieję – w złu.

Ten impuls niosący nas ku przyszłości jest tak potężny, że nieraz śniąc, widzimy się ogarnięci pragnieniem nawet w grobie.

*

Godziny umiarkowania przybliżają mnie ku Diabłu, inne – ku Nicości. Bardzo jednak możliwe, że Zły to tylko dynamiczna forma niebytu.

*

Mój los, bliski sąsiad strapienia, nigdzie w przestrzeni nie znalazł solidnego punktu oparcia ani nadziei zdolnej powstrzymać łańcuch marności. Zrodzony do snucia się zaułkami czasu i jakby gwoli uchylania Niepojętości, na skrzyżowaniu Drogi Mlecznej z pustkowiem...

*

Wpatrując się w przepływające chmury, mam nieraz wrażenie, że unoszą one z sobą, gdzieś poza świat, moją mękę i zgryzotę.

*

Deptać bruki Miasta, sprzedając resztki myśli przypadkowym przechodniom, niby jakaś abstrakcyjna prostytutka w służbie absurdu...

*

Ten, kto nie wzbudza w sobie ogromnej litości dla siebie samego, nie potrafi nienawidzić ludzi.

*

Najczystsze rozfalowania dźwiękowego raję nie są zdolne złożyć w całość kawałków ogromnego serca ani przywrócić mu niewinność sprzed zasmucenia; żadna święcona woda nie zmyje zeń grzechu smutku ani nie zdejmie ciężaru znużenia słońcem, kobiecymi piersiami i uśmiechami.

*

Nieprzerwany entuzjazm to dowód raczej pospolitości niż szlachetności; podobnie wszelka próba niekończąca się rozczarowaniem. Istnienie brudzi duszę; dusza czysta nie żyła – to nieistniejąca dusza anioła bądź idioty.

*

Te milczenia wznoszące się z czegoś jakby chora niedziela atmosfery, i w których można by wysłyszeć płacz Pustki...

*

Czy można żyć szlachetniej niż w obumieraniu?

*

Powodzenie to emblemat pospolitości. Los w swej podłości troszczy się jedynie o pospółstwo, na szlachetnych czołach wypisuje tylko smutek i nieszczęście.

*

W sercach zdominowanych przez Pustkę nie ma miejsca na umiar ani delectację. Wszystko, co dokładne, jest pospolite; to przedmiot, który stał się funkcją duszy. Ilu ludzi zna przekleństwo duszy bez przedmiotu?

*

Michelet o Ludwiku XV: „W jego duszy było nic”. W zestawieniu z nicością, będącą nic pełnym, to nic wskazuje na brak nieskończenie mniejszy – ten, którego doświadczamy, gdy wszystko zdaje nam się czymś zewnętrznym, od zwykłego kichania aż po Boga, i gdy obca jest nam nawet możliwość własnego istnienia, kiedy myślą o niej wyprzedzamy samych siebie. To ostateczne ześlizgnięcie się ku czemuś, czego nigdy nie było...

*

Poznać wszelkie pragnienia – i żadnej namiętności. Chyba że namiętność wszystkich pragnień...

*

Chybione jest życie, którego żadna bezpośrednia więź nie łączy ani z absołutem, ani z miłością.

*

Rozkosz ujawnia nam granice ciała, a miłość – duszy.

*

Żaden jarmark na tym świecie ani rozświetlona pustynia nie przyćmiły swoim blaskiem cienia, jaki rzuca myśl o samotności.

*

Świat przygniata duszę, która w nim się nie zakochała.

*

Wola obalająca góry i uśmierająca fale nie potrafi zatriumfować bodaj przez chwilę nad władztwem Bezsenności.

*

Wszystkie oszustwa, wykoncypowane przez okrucieństwo albo wyobrażenie, błędną wobec tyranii nudy.

*

Idea nieskończoności poczęła się z przenikania nostalgii do geometrii.

*

Odczucie samotności jest nieoddzielne od wyobrażenia przestrzeni i czasu; więcej, stapiają się one w nim.

*

Niepojęty wysiłek w celu jak najszybszego przekształcenia pierwszej lepszej kobiety w bóstwo, żeby następnie tym mocniej podeptać ołtarz jego wabika; ta naprzemiennosc kultu i odrazy, potrzeba iluzji i niemożność podpisania się pod żadną z nich – wszystko to robi z Ciebie jakiegoś cynicznego Don Kichota.

*

Na próżno odmieniają się pejzaże świata; w niedzielne popołudnia wszystkie są do siebie podobne. Czy to w wiosce, czy w Paryżu, nie ma sposobu, by zapanować nad znużeniem płynącym z wewnętrznej choroby. Gdziekolwiek byś chciał uciec od przeklętego siódmego dnia, nie ma miejsca, w którym można by stawić czoło tej chorobie, przewidzianej już w chronologii Stworzenia.

*

Czytając się ponownie, jesteś zaskoczony szczerością wszystkich tych stron, tak licznych i tak źle napisanych. Styl to maska i ucieczka.

*

Żeby nie umrzeć, niezaspokojone gasną w ideach. Kształt wszystkiego, co wiemy, rodzi się z przeciwstawnych bodźców; teoria jest cmentarzem duszy.

*

Ktoś niemający krzepkiej konstytucji powinien uciekać przed pięknem.

*

Tego, kto łączy dobry smak z drżeniem, będą ranić wszystkie twarze świata, pospolite i subtelne. Na niego wszędzie czyha niebezpieczeństwo, nie ma dlań ratunku.

*

Nie trzeba wielkiej bystrości, by zrozumieć, że masy są uciskane. Na co, oprócz szczęścia, one czekają? Podarujcie je ludzkiemu mrowisku, żeby skuteczniej się od niego uwolnić i uniknąć zagrożenia. W niemożliwej przyszłości nie będzie skuteczny żaden ideał, żadna idea, żadne zakłęcie; dajcie mu jego chleb powszedni, w obfitości większej niż ono samo pragnie, owszem, napychajcie

go nim, aż zacznie jęczeć, niech się tarza w tej sytości, ile chce. Kiedy ta namacalna szczęśliwość uniemożliwi oddychanie ludzkiej trzodzie, wszystkie problemy społeczne skończą się natychmiast. Nie wiedząc już, co począć ze swoim szczęściem, ludzie powezmą wzajem do siebie śmiertelną nienawiść, na dobrobyt spojrzą z obrzydzeniem i rzucać przekleństwo na Opatrzność, domniemaną sprawczynię ich sytej gnuśności. Pełni wstrętu dla siebie samych, będą się mordować z namiętnością i wyrafinowaniem cechującym estetów i zabójców. Człowieczy raj, mający już dość ziemskich radości, odwróci się od rajy wysnionego, dla którego ludzkość tyle wycierpiała, przeklnie utopię i krew dla niej przelaną – i Historia zacznie się na nowo, jeszcze okrutniejsza niż wprzód, jeszcze bardziej bezlitosna niż w czasach niesprawiedliwości i prześladowań. Dla mas nie ma ratunku, bo człowiek nie potrafi znieść szczęścia, umie o nim tylko marzyć.

*

Strach przed śmiesznością wzbrania ci poezji, ale nie przeszkadza absurdowi.

*

Oczy niektórych śmiertelniczek bywają tak puste i rozmarzone, że można by, kierując ku nim błagania, zatracić się na życie i na śmierć...

*

W uliczkach Miasta zalega nierzeczywistość, którą hojnie szafował mój nieszczęsny, poszarpany los; jakie anonimowe wspomnienie wydobędzie ją spod kurzu? Czy kiedykolwiek znajdzie się ktoś zdolny ją podarować natchnieniu, co skończyło jako trup, w nędzy? Gdzie jesteście, rogi rozmaitych ulic, poznanych śladami mej czcigodnej samotności i nieprzyzwoitego umysłu?

*

Z głębin ducha sówka podaje ton myślom. Stąd bierze się obcość słońca. Jego promienie to strzały, przed którymi czmychamy w noc.

*

Te głosy, poprzez które wykrzykujesz sobie własną trwogę: „Jestem ostatnim człowiekiem” – zawładają tobą w uliczkach człowieczeństwa, aby następnie pozostawić cię w niezdecydowaniu, między modlitwą i morderstwem.

*

Każdy krok naprzód pociąga za sobą równowartość w upadku. Koniec końców człowiek powinien pławić się tak samo w niebie, jak i w ropie.

*

Szlachetność myśli widać w odrzynie, jaką budzi wszystko, co się wyraża. Poszukując abstrakcyjnego ognia i idealnego żaru, rozwija się ona poza

wszelką zdarzeniowością, jak i poza bytem. Nawet miłość, poprzez którą duch doznaje upokorzenia w ciele, wydaje się jej pożądana, bo nieosiągalna i hołubiąca tęsknotę [dor] nie do urzeczywistnienia. Myśl błądzi w poszukiwaniu niewypowiadalnego. A ponieważ wszystko na tym świecie ma imię, nie jest on w stanie zaferować żadnego leku na jej strapienie.

*

To, czym jestem, może mi tylko posłużyć do sporządzenia wizerunku tego, kogo nie będzie.

*

Dla tego, kto patrzył śmierci w twarz, życie nie ma już uroku. Ta tajemnica przeniosła się w to, czemu, z racji przywiązania, próbujemy dać jakąś definicję, skoro absurd jest tu zbyt precyzyjny.

*

W naszych kościach przyszłość przygotowała już dla siebie grób.

*

Kiedy nocne czuwania wygasły już w ciele wszelkie pragnienia, serce – organ bezsenności – nadal stuka do drzwi snu, swym biciem domagając się położenia kresu tym ponurym jawom.

*

Każda noc to wykrzyknik kończący furię krwi.

*

Obserwując przyrodzoną każdemu pychę i brak uzasadnienia dla jego egzystencji, musimy przyznać ze zdumieniem, że człowiek karmi się absurdem i rozkwita tym bardziej, im wątlejszą podstawę ma jego życie.

Ilu ludzi miałoby prawo do dumy? Natura wszystkich obdarzyła dziwnym darem. Nikt nie może żyć bez przekonania, że jest go więcej, niż jest. Ludzie, urzeczeni samym dziwacznym faktem istnienia, nie wiedzą, jak bardzo ich nie ma. Jeśli jednak takie szaleństwo dozwolone jest instynktowi, to czemu duch nie pozwala sobie na wszelkie możliwe demencje?

*

Przy każdym spotkaniu z kimś, mężczyzną lub kobietą, z mądrym lub kretynem, te same pytania: dlaczego on się nie zabija? Czemu nie bierze pod uwagę samobójstwa? Jak to możliwe, że nie wie, do jakiego stopnia jest beużyteczny?!

Każdy skrycie pragnie uciec od innych.

*

W owym tercie Upadku najokrutniej rażony został Wąż. „Na brzuchu twoim czołgać się będziesz, i prochem się żywić, po wszystkie dni życia twójego”.

Adam i Ewa mieli szczęście – w przeciwieństwie do ich potomków, którzy – mocą jakiejś dziwnej a pokrętej fatalności – wzięli na siebie przekleństwo pełzania.

Bóg chybił celu.

*

Skąd wszystkie te twoje wątpliwości? – pytają.
...Ze wszystkich dni i wszystkich nocy życia.

*

Nie być zwyczajnym człowiekiem – ale wisieć, jak wszyscy, uczepiony wszystkich przyjemności i wszystkich bólów. Absolut urobiony z gliny – oto definicja duszy i jej choroba.

*

Materia wzdycha do wyzwolenia. Człowiek ocali się tylko wraz z nią.

*

Życie? – Obelga w środku modlitwy.

*

Bóg jest jedynym przeciwnikiem nieodpowiadającym na ciosy.

*

Tylko żal wysubtelnia formę. Ci, w których buzuje nadzieja, nie mają stylu. Pozytywna obsesja terażniejszości i przyszłości stawia ich poza obrębem sztuki.

*

Smutek trwa bez względu na to, co się dzieje pod niebem i tu, na ziemi, wydaje swój transcendentny owoc; wypełnia przestrzeń oddzielając Ziemię od gwiazd, nie należąc do nich w żaden sposób.

*

Wszelka tęsknota [*dor*] wypływa z niezdolności duszy do uśmierzenia w sobie gorącego pragnienia nierzeczywistego Południa.

* Rdz 3, 14, przekład Izaaka Cyłkowa.

*

Osiągając granicę naszego wewnętrznego napięcia, nie możemy zrozumieć, dlaczego świat się nie zapala, on, buzujący płomieniami roznieconymi w nas przez rozkosz czy ból. Szczęście i niedola są – w swych formach najwyższych – tak samo bliskie Apokalipsy.

*

„O wiele łatwiej przychodzi mi wznieść własną duszę do Boga, niż unieść rękę do czoła”, zwykł mawiać Ruysbroeck o przydomku Cudowny.

Czy tego spośród nas, komu wyrwałoby się stwierdzenie: „Nicość jest w zasięgu mojej ręki, bliżej niż powietrze”, diaboliczna nabożność bliźnich określiłaby mianem „Nędznika”?

*

W wyobraźni tak często widziałem się nieistniejącym, że to dziw, że jeszcze istnieję.

*

W oczach każdego człowieka da się wyczytać utratę łaski i tęsknotę za nią.

*

Źródło naszej walki ze światem i z samym sobą leży w tym, że odmówiono nam błogosławieństwa niebytu. Istnienie jest wypadnięciem z sakramentu.

*

Są noce, gdy poczucie, że straciło się wszystko, przekształca chwilę w nocny hymn do światła, a przestrzeń – w miły pled utkany z katastrofy.

*

Wszczepiając w nas obraz marności, ból wydaje nas na pastwę czasu w sensie fizycznym, przedtem jednak pozwoliwszy nam zapanować nad nim w duchu. Nikt bezkarnie nie może nim wzgardzić. Płynie w nim krew boskości, w nim dokonuje się nieskończone wygasanie Absolutu.

*

Zawsze lubiłem wariatów, bo mają oni odwagę przekraczania duszy i ponieważ lubią zwlekać przed każdym aktem.

*

Ilekrót padam ofiarą jakiejś wewnętrznej choroby, moja tęsknota natychmiast zaczyna śnić o innej, w ten sposób dodając do ekstazy jeszcze jedną warstwę, tak że staje się ona niedostępna. Nigdy nie jesteśmy mniej zdolni do szczęścia niż wówczas, gdy nas ona ogarnia. Z obawy przed zgaśnięciem w niej koncypujemy sobie następną i uciekamy ku nieosiągalnej granicy raj, albo osiągalnej dopiero w śmierci.

*

Pustka życia objawia się dopiero w braku udręki.

*

Jeszcze dalej, poza dobrym zdrowiem, wszystko jest rozkoszą – zarówno szczęście, jak i nieszczęście. Jak moglibyśmy znosić miłość, gdyby nie była ona chorobą? To dość znaczące, że oczy – jej hieroglify – są również organem łez.

*

Serca zbyt dojrzałe gniją w wierszach.

*

W czasie, który jest sferą nieustannego zużywania się Boskości, muzyka stanowi Jej momenty zawieszenia i skupienia.

*

Gdy się już ma za sobą rozpaczliwą wiarę we wszystkie oblicza świata, wiara w Boga jest dowodem niewdzięczności. Dusza jest mężna, gdy czepia się tylko wabików. Pospolitość to odmowa rozczarowania.

Żyć to znaczy padać ofiarą byle czego. I to nie tylko być nią, lecz chcieć nią być.

*

Ostateczny sens słowa *dor* to wchłonięcie przez sen narodzin, z którego zbudził nas duch; to odnalezienie pierwotnego uśpienia, gdy oczy nie urodziły jeszcze łzy, a dusza nie wystartowała do lotu ku światu, który jest jej obcy.

*

Duch komponuje się ze zdarzeń będących poza chorobą, a jeszcze w granicach zdrowia.

*

Dla tego, kto popadł w fascynację możliwym, inne światy stają się znakami zodiakalnymi jego dni, a jego życie – zajęciem pobocznym.

*

Moje chwile są pauzami ludzkiego mrowiska.

*

Strach przed śmiesznością przerywa hymn do życia.

*

W poezji opiewamy niemożność, w muzyce wyrażamy ją, w życiu – ją przeżywamy.

*

W swoim regresie ku nicości myśl odkrywa, że wszystko mogło być nie zaistnieć – i kamienieje w obliczu tej oczywistości, do której tylu innych dotarło poprzez niestrawność albo bezsenność. Do tego, co najbardziej ważne, refleksja nie jest potrzebna; ruiny ciała i wyrwy w duszy prowadzą nas do kresu poznania, bez uciekania się do myśli. Metafizyka to proces; do rezultatów dochodzi się innymi drogami.

*

Wszystko, co stępieja kolce ducha, pomaga nam żyć.

*

Zaletą miłości jest to, że wynosi nas – przez fizjologię – ponad życie; wadą smutku, że – poprzez ducha – stawia nas na zewnątrz.

*

Zasób nie-życia zgromadzony przez człowieka jest wskaźnikiem ilości nostalgii, do jakiej jest zdolny bądź jaką dysponuje.

*

Mit raju Nowocześni zastąpili kultem muzyki – sztuki dźwiękowego żalu i niewyraźnego komentarza do wszystkich strat. W epokach wiary dźwięk był wspomaganie, a nie pożywienie; nasze wątplenia przekształciły go w substancję. Muzyka jako ukierunkowanie serca – groźny zaiste symptom dla renomy instynktów!

*

Rozhuśtane fale morskie, serca i dźwięki opowiadają o słodkim tonięciu w pustce; ale to śmierć, z obawy, że wyda nam się wstrętą, sprytnie odrzuca swą skamieniałość i przyodziewa się w fale, aby tym lepiej nas połknąć pod pozorami życia.

*

Symbolem faktu życia jest rytm wysubtelniony przez ciemności. Nie znamy go, póki nie ulegniemy jego czarowi; wówczas rozumiemy, że rytm nie jest nieskończony, że prowadzi nas do naszego końca, że wszelki rytm kończy się śmiercią.

*

Choć najwięcej wysiłku poświęciłem uwolnieniu się z niewoli Efemeryczności, nie ma wśród wszystkich rzeczy przeszłych niczego, czego bym nie żałował. Nawet zdeptanego niegdyś bezimiennego robaka tak mi żal, że staje mi się droższy od każdej najczystszej gwiazdy. Życie przywołuje życie. Tylko jego

dziury nadal na klęczkach oddają mu cześć i nadal nas dzielą, nadal zbijają nas z tropu w naszym uczestnictwie w czasie.

*

Co odpowiedzieć komuś, kto pyta cię o cel własnego życia i życia innych, każdej egzystencji?

„Żyj po to, by wyczerpać treść twego bytu, oddychaj aż do ostatniej drgawki twego trupa, nie pozwól niczemu cię przeżyć, niszczone siły w działaniach, bacz na każdą chwilę aż po końcowe ścierwo, nigdy nie dając się unieść na ironicznym skrzydle jakiegokolwiek iluzji. Kiedy twoja dusza nie będzie już zdolna karmić twego pragnienia przyszłości ani żadnej rozpacy, wówczas cel twego życia będzie osiągnięty. Na tym świecie wszystko – aktywnie – dąży do nieistnienia. I tylko w ten sposób stworzenie jest użyteczne, a destrukcja jest działaniem pozytywnym. Złem jest apatia; wycieńczenie aktywnością zgodne jest z naszym powołaniem. Ten, kto czeka, umiera za życia; kto się roztrwoniał, nie lęka się już zgonu, wchodzi do grobu, nim jeszcze umarł. Kompletne wyczerpanie jest lekiem na wszelkie trwogi i symbolem objawiającym istnienie wartości. Człowiek powinien mieć za cel własne unicestwienie. Oto dwuznaczność płodności. Jeśli byt nie jest Niczym, to tylko o tyle, o ile sam się w nie rzuca”.

*

Ci, którzy nie odczuwają potrzeby udręki, nigdy nie odkryją występku ani nieskończoności, jakiej dostępujemy, gdy w bolesnym załamaniu smakujemy jego niebezpieczną rozkosz.

*

Nim jeszcze złączą widzieć, oczy już umieją płakać. Takim oto paradoksem zaczyna się życie. Kiedy jednak zaczynają widzieć, potrzebują tylu łez, że płacz nie jest już możliwy. I paradoks narasta.

*

Lubić jedynie owoc zaczynający właśnie gnicić znaczy wgryzać się w nieskończenie wielkie jabłko dobra i zła oraz, codziennie ryzykując, odtwarzać grzech pierwszego poznania.

Ocena muzyczna to jedna z form tego niszczycielskiego smaku, jako że muzyka to nic innego, tylko zużywający się raj, na miarę zbyt dojrzałej wrażliwości.

Ogrody, zarówno te ziemskie, jak i niebieskie, były dla mnie bramami jedynie w środku jesieni, gdy pod utołnym słońcem owoce oddają się robakom – i wątpliwościom...

*

Nie pamiętam, bym kiedykolwiek zatrzymał wzrok na krajobrazie nienaznaczonym przez śmierć szlachetnym piętnem znikomości. Ani bym smakował szczęście nietknięte powiewem wygaszenia. Nawet w wiośnie dostrzegłem kres płatków, a we wszystkich porach roku – nawrotne kontestacje wieczności, nierówne płomienie hymnów do niemożliwego.

*

Daremnie kochamy Mozarta; musimy przyznać, że nie wie on wszystkiego. Czy jest muzyka równie mało obciążona Grzechem?

To, co nie sięga mętów duszy, pozostaje na zewnątrz Poznania.

*

Każda pora roku zaczyna na swój sposób gmerać w naszej chorobie. Na skutek tkwiącej w nas zgnilizny stajemy się ofiarami, niezależnie od temperatury. Nasze ciało to dojrzały owoc, gotów upaść w każdym momencie roku.

*

Są serca usytuowane na biegunie przeciwnym słońcu. Dla nich jesień to nie pora roku, tylko sam czas.

*

Na drzewie życia miłość to owoc najbardziej zepsuty.

*

Ten, kto szuka samego siebie, nie może trwać, nie narażając się na niebezpieczeństwo; gdy jednak szuka idei, jest w samym jego środku. Otóż połączenie Ja z Ideą daje syntezę nieszczęścia.

*

Szczęście: stan poezji bez słów, w którym dusza z biegiem czasu nadyma się natchnionym zarozumiałstwem, bliskim ekstazie – i zidioceniu.

*

Człowiek dlatego tak niewielkie zrobił postępy w poznaniu, że swemu postrzeganiu otchłani, skamienienia bytu, momentu wiecznego nałożył wędzidło przyszłości, przeczucia innej chwili. Ten, kto na coś jeszcze czeka, sprwadza akt poznawczy na poziom ułomności duszy.

Nadzieja jest kamieniem, którym duch łamie sobie skrzydła.

*

Wszyscy jesteśmy nieszczęśliwymi w czasie, i wszystkim nam daleko do Nieszczęścia. Tylko wieczność czyni wszystko niemożliwym. Czy kiedykolwiek mieliśmy odwagę w niej cierpieć? W czasie najwątlesza nawet nadzieja pozostaje nadzieją. Czas jest maskaradą w nieodwracalnym, a człowiek – jego twór,

jeszcze trudniej definiowalny od niego – patetyczną pomyłką na peryferiach wieczności.

*

Tym, co sprawia, że działanie jest lepsze od myśli, jest jego potencjał rozczarowania – nieskończony.

*

Myśli są zatrutymi strzałami, z łucznika czyniącymi samobójcę. Sądziłeś, że swoim duchem zranisz świat, a zraniłeś samego siebie. Tak musi pokutować ten, kto wznosił się ponad życie.

*

Fatalne ograniczenie filozofii: nikt w ideach nie odnajduje tego, co stracił w życiu.

*

Działanie pochlebstwa na ludzi dowodzi, że nie znaleźli rozwiązania lepszego od ja.

*

Poeci i kochankowie wynieśli różę do rangi symbolu miłości, żebyśmy zapomnieli, iż jeszcze nim zaczęliśmy napawać się jej zapachem, jej kolce rozkrwawiły nam ciało i duszę.

*

Narzekanie dodaje okruch marzenia do czystego marzenia smutku.

*

Przyjemność i świadomość przyjemności to dwa różne światy; ból i świadomość bólu są jednym i tym samym.

*

Dla zranionych serc to, co nie ma związku z ich cierpieniem, jest bardziej bolesne od cierpienia. Przyjemność jest bólem o miłszej nazwie i bardziej zatrutej treści.

*

Kiedy dusza rozrasta się do ostatnich granic, Zabójstwo dołącza do praw Stworzenia i staje się wzniosłą obsesją, aktem szlachetnym. Serce zaś, hołubiące tego rodzaju myśl, staje się przybytkiem dla modlitwy barbarzyńcy.

*

Zawsze kochałem pozory i ich najgłębszy fundament. Nigdy rzeczywistość. Myśl, gdzieś między pobożnością i przekleństwem, zdawała mi się zawsze ołtarzem albo rubasznym szynkiem – na przemian, bez równowagi.

*

O burdelu można rzec wszystko, tylko nie to, że jest powierzchowny.

*

Ściskając czyjąś dłoń, wyrzekam się Absolutu.

*

W chwili, gdy zdajesz się rozumieć wszystko, masz wygląd zabójcy.

*

Kategorie to salony myśli, które rozpacz bezcześci.

*

W człowieku tyle jest pustki, że, nie umiając zapełnić jej niczym, trwoni on swój czas na pragnienie pragnienia.

*

Filozofia uśmierza tylko bunty tych, co nie mają już krwi. To bladeść, która usprawiedliwia samą siebie, nakładając maskę abstrakcji.

*

Człowiek wytrzymujący swą samotność aż do końca wznosi własną duszę ponad Boga.

*

Człowiek ze swego ja zrobił bożka, żeby móc go strzaskać na kawałki. Wieńczy go i przystraja, by na stosie, jaki mu szykuje, wyglądał bardziej majestatycznie. W ten sposób sam się niszczy, niezdolny wspomagać swą chorobę najmniejszą bodaj prawdą.

*

Tak wielka jest pustka stworzenia, że wszystkie książki na Ziemi nie zdołają jej zapełnić. Czytanie jest odległym następstwem grzechu, a wściekła i nie-nasycona potrzeba kartek ducha – codziennym świadectwem Upadku.

*

Spojrzenie człowieka, odkąd odkrył on słowa, utraciło wszelki wyraz.

*

Wyuczyć się tylu języków, żeby przekładać poetów, ponieważ boisz się bezsłownego wiersza własnego istnienia...

*

Człowiek, póki wierzy i ma nadzieję, nie zna strachu przed śmiesznością. Niech jednak tylko przestanie wierzyć lub mieć nadzieję, a wszelka wiara i nadzieja wydadzą mu się śmieszne.

Tak samo jest z narodami. Upadek to trzeźwowidząca jałowość, która dawne bożyszczą przekształca w karykatury. Stąd jest już tylko krok do strachu przed możliwym, zamykającego je na wartości czasu.

Stworzenie jest akceptacją śmieszności; wychodzi ono od myśli, że wszystko, cokolwiek bądź, jest lepsze od niczego, i że coś jest mniejszym wstydem niż brak jako taki.

Kiedy boimy się śmieszności z powodu naszych czynów, to znaczy, że duch odciął już własne korzenie i wierzchołek. Wówczas wzrasta on we własnej jałowości, staje się czystym duchem.

Sztuka i religia, pozór i absolut rodzą się, gdy ma się odwagę bycia śmiesznym.

*

Nuda jest zjawiskiem towarzyszącym wszystkiemu, co przeżywamy, nie przekładając tego na czyn. W tym, co mogłoby być, a nie jest, w prefiguracjach istnienia kryje się uszczerbek. Potencjalność bez rozwiązania, niby jakieś absurdalne pączkowanie w niemającej kresu porze roku – oto, skąd bierze się właściwy nudzie stan możności. Jest to nieokreśloność bez zawartości, zawierająca przecież wszystko; to niewyraźność jako jedyny sternik na falach duszy, która mogłaby zaistnieć.

*

Początek życia jest tam, gdzie kończy się definicja. Toteż jest ono obce dumie ducha...

*

Pozór i esencja muzyki są nierozdzielne. Jest w tym bezpośredni absolut niedający się wyrazić żadnym słowem ducha. Pojęcia umykają ze wstydem, zasób ekspresji okazuje się chudy, duma ducha – skalana. Zazdrościmy głuchym, nieatakowanym przez tę masę niewypowiadalnego, niejęczącym pod brzemieniem tego, co nie do wyrażenia. Na cóż się nam zdały wszystkie owe udręki, gdyśmy próbowali ulepić sobie język, skoro żadne zdanie nie kojarzy się nam z czystym źródłem najdrobniejszego bodaj akordu?

Muzyka komponuje świat wewnętrznie spójny, bardziej autonomiczny niż sama Boskość. Ta, gdy się przejawia, każe nam wyobrazić sobie jakieś niedostępne głębie, podczas gdy sztuka dźwięków objawia nam w całości głębie, z której wypływa z wszelkimi znamionami pozoru. Jej istota nie jest z innego świata; ona sama jest innym światem, który nastrecza się wprost naszemu

zdumieniu i zachwytowi. Jakimi słowami wyrazić nasze rozkoszne osłupienie wobec tego przejawionego absolutu? Kiedy potrafimy opanować tę tajemnicę, którą słyszymy, która nas trawi, ale przecież jest nasza, choć nie możemy ani jej dotknąć, ani się do niej zbliżyć?

*

Wszystko, co gwoli zabicia czasu wymyśla nasz duch, należy do porządku Dobra. Zło to pustka w nas i na zewnątrz, rozpanoszenie się braku, skutkiem czego czas staje się nam obcy. To negatywna aktywność Nudy wyrwijącej chwile z ich ciągów, aby oferować je nam – nagie, bezbarwne jak serce w nich bijące... trochę pustki w odrobinie pustki.

*

Czas jest dla ciebie – podobnie jak dla wszystkich mających go w nadmiarze – problemem. Wszystko, co nie jest nim, jest orężem przeciwko niemu, ucieczką gdzieś w bok od niego. Życie to go zabijać; twoje życie się do tego sprowadza. Myśląc go w każdej sekundzie, w końcu stopiłeś się z nim w jedno: teraz ty też jesteś czasem, jesteś samoświadomością każdej chwili. Tym właśnie, i tylko tym, jest filozofia – czasem świadomym siebie. To, że właśnie w tobie odkrywa on samego siebie, jest formą przeznaczenia, które ma swoją cenę i które napełni cię dumą. Nie ma ono kresu i nie posłuży ci za cel. Mimo to doprowadzisz je aż do końca swego nieróbstwa; będzie to ostatni dreszcz, na jaki zdobędzie się jeszcze niejasna esencja twej nieobecności. Tylko on zapłacze nad tobą – który jesteś jego tworem, herosem Czasu...

*

Wielkie życie zaczyna się zawsze od wielkiego obrzydzenia.

*

Nocą dusza dopełnia swej powinności, traci granice i rozszerza się aż po próg Boga. Razem ze wszystkimi ciemnościami zewnętrznymi i tymi, które nosi w sobie, rozrasta się poza mroki, pozostawiając za sobą noc z jej rozdręgnięciem. Dokąd zmierza, jak daleko się rozciąga? Jak gdyby dosięgała blasku płynącego z głębin mroków i roztopiała się w jej najwyższym świetle.

*

Życie jest historią opowiadaną przez Czas samemu sobie.

*

Jeśli jest coś, co każe nam opłakiwać zapał, z jakim w duchu ujarzmiamy tajemnicę – to jest tym fakt, żeśmy anioły wyalienowali w nierzeczywistość.

Odzyskanie ich jest niepodobieństwem. Gdzie się podziali? Duch ukradł im skrzydła. Toteż leci ku nicości i niepocieszony unosi się nad naszym strapionym sercem.

W czasie, gdy również Diabeł miał swoje anioły, wszystko było jeszcze możliwe. Ogólny upadek, wywołany przez zachłanność ducha na tym świecie, zostawił nas osamotnionych i bez pokarmu innego niż nasze żale.

*

Dowcipne słowo to najprostszy i najbardziej uczciwy sposób zabicia problemu.

*

Po każdej namiętności i po wszystkich razem odczuwamy jeszcze tylko jedną: namiętność goryczy.

*

W swoich godzinach zasadniczych każdy człowiek wygląda trochę jak morderca.

*

Zrozumienie obiektywnego cierpienia materii jest etapem kapitalnej wagi w ekspansji ja ku światu i ku przekroczeniu świata.

*

Izba, w której chroni się ktoś prześladowany myślą o śmierci, nie ma sufitu. Mając niebo nad głową, on drży i szuka kryjówki gdziekolwiek. Czas mu jej nie oferuje. Jakąż to odzież miałby sobie zszyć z jego strzępów?

*

Formy ekstazy, odziedziczone przez naturę człowieka bądź przez nią zrodzone – miłość, alkohol, mistyka czy muzyka, sprowadzają się do jednego: wyjścia z czasu. Czyżby trwanie było bólem?

Ponieważ jednak trzeźwowiedzenie wiąże się z samą naszą istotą, chwile nieekstatyczne – to znaczy prawie wszystkie – konfrontują nas z efemerycznością, rzeczywistością nieuniknioną, z którą walczymy aż do ostatniej drobiny męstwa i krwi. Wtedy, zmiażdżeni przez nasze jawy, składamy broń na znak zwycięstwa – bo czas nic już więcej nam nie wydrze.

*

Ludzie żyją mocą właściwej inercji zdolności do rozpacz. Ponieważ nieodwracalne nie ma granic, nie mają one powodu, by ustalać się gdziekolwiek. Tym bardziej że wstydem jest porzucać partię, nawet gdy gra się z ogniem.

*

Nieraz chciałbym wyc – ale zbyt boję się wzniosłości...

*

Jedynym sposobem przetrzymania nieszczęścia jest zwalczyć je innym nieszczęściem. Ta technika objawia jednocześnie wirtuozerstwo życia i jego cyniczną szczodrość. Niepowodzenie jest jedyne i wielorakie, to ewidentna strona losu; historia naszej istoty.

*

W chorobie własnym ciałem uczestniczymy w dramacie co najmniej dorównującym dramatowi Boskości. Ciało – w swojej ruinie – dopełnia Absolut.

Nota

Rękopiśmienna spuścizna Emila Ciorana, bardzo obfita, zdeponowana w paryskiej bibliotece Jacques-Doucet, w ostatnich latach systematycznie ujawnia nieznane dotąd teksty pisarza z lat czterdziestych ubiegłego wieku, pisane jeszcze po rumuńsku (choć Cioran już od prawie dziesięciu lat przebywał we Francji; niebawem, bo w roku 1946, zacznie pisać po francusku – już do końca życia).

Ostatnim takim tekstem jest, prezentowany tutaj we fragmentach, zbiór aforyzmów *Okna na nicość* (*Fenêtre sur le Rien*). Na francuski przełożył go Nicolas Cavaillès, pisarz, rumunista i znawca Ciorana. Tak więc z braku dostępu do oryginału rumuńskiego, złożonego z około trzystu luźnych, zapisanych ręcznie (dodajmy: na ogół mało czytelnie) kartek, niniejszy własny przekład musiałem oprzeć na przekładzie – która to praktyka jest mi niemiła.

Okna na nicość, pod względem stylistyki i problematyki bliskie wydanym już u nas *Dywagacjom* oraz *Brewiarzowi zwyciężonych*, są jeszcze jedną ilustracją charakterystycznej dla „rumuńskiego” Ciorana manieri pisarskiej i jej poniekąd kulminacją – oraz zamknięciem. Jeszcze w tym roku ukaza się u nas nakładem Wydawnictwa Aletheia, któremu dziękujemy za pozwolenie na niniejszą publikację.

Ireneusz Kania

JANUSZ SZUBER

Orion

W szare torebki po kaszy
pakowano dla nas suchy prowiant:
jajko na twardo i bułka z krążkiem tylżyckiego.
Śniadaniowy papier, jak i wiele innych
oczywistych dóbr, należał wtedy do rzadkości.
Z „Orionu”, pensjonatu po 1949 przejętego przez
FWP w Krynicy Zdroju,
szliśmy gościńcem do Tylicza,
w sierpniowej mżawce, boso. Po drodze,
tam i z powrotem, zdarzał się nam fiaker
z podniesioną budą.
Pod peleryną, zwykłą, od deszczu, miejscami podklejaną
czym się akurat dało, do szlufek szortów
przytroczone na sznurowadłach tenisówki,
w zмовie z Zeitgeistem,
jakby nigdy nic.

Będzie tak, jak wyjdzie

Po co się łudzić?

Mimo najlepszych chęci,
od niepamiętnych czasów
zamiast zmierzać w założonym celu,
dryfujemy nie wiadomo w jakim.

Rację miał więc sanocki fryzjer Orzechowski,
gdy w drugiej połowie lat sześćdziesiątych XX wieku
w swoim zakładzie przy ulicy Świerczewskiego
(dawniej Jagiellońska, dziś znów Jagiellońska)
nic sobie nie robiąc z roszczeń strzyżonych klientów
ani nawet z własnych aspiracji,
i to nie byle jakich,
mówił pod nosem, wręcz obcesowo:
będzie tak, jak wyjdzie.

26.12.2019

Bez si ę

W każdą sobotę rano, po ósmej
odwiedza mnie Janek, w drodze powrotnej z pływalni.

Ze swego domu w B. wyjeżdża dobrze przed szóstą.
Przy sprzyjającej aurze zalicza kolejny
wschód słońca. Pomiędzy nic i nic j e s t, dalej tak samo doraźnie,
nie inaczej, skoro nie przestaje być plagiatem samego siebie,
bez zmyłkowego s i ę. Janek przywozi mi teraz
świeży twaróg od Duni. Niedawno temu
uratował ją i jej nienarodzonego jeszcze cielaka.

Kiedy, dopiero w liceum, przeczytał u Homera
o krowiookiej Atenie, stało się jasne,
skąd jego szacunek i czułość dla tych właśnie zwierząt,
które o świcie razem z innymi najzwyczajniej wyganiał
na pastwisko. Może dlatego
wybrał potem weterynarię.

To Janek opowiadał mi
o inicjacjach w kuźni, a w roli balwierza
dbał o moje niesfornie zarastające
w szpitalu policzki.

Na co dzień zgodnie żyjemy
w paru strefach czasowych:
teraźniejszej i tej

przed i tuż pomaturalnej,
kiedy podrzucaliśmy sobie
Ciorana i Eliadego, ulegając
chwilowemu złudzeniu, że bywamy zasadniczo
różni od pozostałej reszty.

(wersja zmieniona)

KRZYSZTOF SIWCZYK

W pomroce

OSOBY:

OSOBNIK OGÓLNY

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY

MIEJSCE:

DUŻY INKUBATOR BEZ ŚWIETLIKÓW

CZAS:

CZAS DOCZESNY, DOWOLNA GODZINA BEZ DNIA I NOCY

Na dwóch malutkich taboretach siedzą Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny. Wpatrują się w owalny kształt inkubatora, który załamuje światło bijące od niewielkiej lampki ustawionej pomiędzy taboretami, tworząc potęgujące wrażenie oszlifowanej jaskini, na sklepieniu której cienie tańczą w chaotycznym drżeniu.

OSOBNIK OGÓLNY: Załamanie, zwykłe, nerwowe, wystarczy wygasić źródło cierpień.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Już wygaszone, wypalone, przeszło wszystko.

OSOBNIK OGÓLNY: Przeszło wszystko, ale jednak doznanie pozostało, makabryczne.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie pamiętać, nie wiedzieć, nie chcieć opowiadać.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie chcieć czy nie móc opowiadać?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Bez okoliczności, bez osoby, można, mnie nie dotykać.

OSOBNIK OGÓLNY: Ma się rozumieć, zamieniać się w słuch, to jedyne, co teraz czeka.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Czeka wiele cierpień, na każdej stacji, na każdym kroku.

OSOBNIK OGÓLNY: Kłody pod nogami, krzyże, szrot, zdarte kolana, makabryczne chwile.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie, dlaczego?

OSOBNIK OGÓLNY: Tak się tylko powiedziało.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Taboret jest twardy, boli krzyż.

OSOBNIK OGÓLNY: Co ty powiesz?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Niesprzyjające warunki, wszystko widać.

OSOBNIK OGÓLNY: Nikt nie patrzy, cienie patrzą w siebie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Poblądzę w tym towarzystwie cieni.

OSOBNIK OGÓLNY: Na początku tak może się wydawać.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie ma początku, a dalej tylko się wydaje.

OSOBNIK OGÓLNY: W końcu jednak siada się spokojnie, spokojnie widać wszystko.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Tak właśnie to czuję.

OSOBNIK OGÓLNY: Duży stopień ogólności.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Każda wersja mnie jest taka właśnie, trochę uogólniona.

OSOBNIK OGÓLNY: Ja z kolei cierpię z nadmiaru konkretnych imion.

Inkubator przesuwa się odwrotnie do wskazówek zegara, podskakuje nieco. Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny wiercą się na taboretach, drżą. Z lampki spadł kłosz. Teraz naga żarówka razi, cienie są niewidoczne. Widać tylko czarne sylwetki na taboretach.

OSOBNIK OGÓLNY: Tak właśnie wyglądam jako wyobrażenie, gada się o mnie trochę.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Dlatego przyszedłem, nie wyobrażałem sobie cudów.

OSOBNIK OGÓLNY: Tym samym jestem dla ciebie wystarczającą fikcją.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nabierzesz rumieńców, kiedy posłuchasz, co mnie spotkało.

OSOBNIK OGÓLNY: Łaknę cię.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Po prostu nic mnie nie spotkało.

OSOBNIK OGÓLNY: Dobre życie było.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: W dali ktoś mobilizował moje sny.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie ja.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Tylko bez gier.

OSOBNIK OGÓLNY: Mało mam słów na okazaniu, nie chcę mówić od siebie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Zacznijmy jeszcze raz.

OSOBNIK OGÓLNY: Z czym?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ze mną.

OSOBNIK OGÓLNY: Z kim? Z czym?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Trwałem w tym, ile się da, nie zważałem na trudności.

OSOBNIK OGÓLNY: Godnie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ale któregoś dnia po prostu zamilkłem, usiadłem.

OSOBNIK OGÓLNY: Sprawiedliwie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: I nic nie było do powiedzenia, sobie, innym.

OSOBNIK OGÓLNY: Po prawdzie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Tak, a ta nowa prawda troszkę uwiera jak taboret.

OSOBNIK OGÓLNY: I tak po wsze czasy już.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Niby tak się wydaje, ale jest tego mniej zdecydowanie.

Inkubator przeskakuje w zupełnie chaotycznym ruchu. Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny spadają z taboretów, lampka upada, żarówka podświetla teraz zupełnie przypadkowy fragment przestrzeni. Reszta pozostaje w cieniu.

OSOBNIK OGÓLNY: I tak od zawsze, nie wiesz, kiedy się wywrócisz.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Co tym kieruje?

OSOBNIK OGÓLNY: Chyba nic konkretnie, przypadki chodzą po ludziach.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie mówmy o nich.

OSOBNIK OGÓLNY: Są jak te cienie, nie widać ich.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie widać ich, ale potrafią odlewać gwoździe.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie ma w czym zastosować, nie ma ranliwej materii.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jestem ranliwą materią.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie materią i nie raną, tylko zwyczajnie zjawiasz się jak możliwość.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Czego konkretnie?

OSOBNIK OGÓLNY: Dla mnie to bez znaczenia.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jak mam to rozumieć?

OSOBNIK OGÓLNY: Możliwość powiedzenia.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Teraz ja słucham.
OSOBNIK OGÓLNY: Cierpię poważne niedoskonałości.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Coś cię spotkało?
OSOBNIK OGÓLNY: Nic właśnie, słyszałem o waszych makabrach, pisano.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Gdzie?
OSOBNIK OGÓLNY: W piśmie.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Kiedy?
OSOBNIK OGÓLNY: Przed tobą.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: A jak?
OSOBNIK OGÓLNY: W samych superlatywach, dużo przygód, masa psychik.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To nie o mnie.

Inkubator grzęźnie w błocie, piachu. Dookoła słychać szum wody, dalekie popiskiwanie. Lampka oświetla to, co na zewnątrz – doskonałą biel. Środek inkubatora jest cały czarny. Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny przyciskają twarze do ściany inkubatora.

OSOBNIK OGÓLNY: Może to o nas na zewnątrz pytają?
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Bardziej o ciebie, mnie nie widać wewnątrz.
OSOBNIK OGÓLNY: To fakt, przyszedłeś do mnie cały z zewnątrz.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Miałem mówić o głębokim smutku, że już koniec.
OSOBNIK OGÓLNY: Ale nie żałujesz?
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie wiem, widzę, że nie ma czego, za czym i po co.
OSOBNIK OGÓLNY: Nie daj się zwieść, patrz.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Patrzą, cóż, to wygląda jak zaledwie możliwość życia.
OSOBNIK OGÓLNY: Słychać życia.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie znam, nie chcę znać.
OSOBNIK OGÓLNY: Ciebie też już nie chcą znać, pozostały puste rytuały.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie widzę ich.
OSOBNIK OGÓLNY: Nic ci po nich.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: A ty jak sobie radziłeś na początku?

OSOBNIK OGÓLNY: Nie pamiętam, wyrzekłem pierwsze słowo i od razu znalazłem się tu.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Tu wewnątrz? W tej kuli?

OSOBNIK OGÓLNY: To nie jest kula, to zamknięcie w kształcie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Kształtujesz wyobrażenia.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie, jest mi pisane.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Dlatego jestem osobiście, nie wierzę w słowa.

OSOBNIK OGÓLNY: Niestosownie, nieroztropnie, złe sądy.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jestem raną na samą myśl o słowach, nie używam ich.

OSOBNIK OGÓLNY: A jednak przytulasz się teraz do ścian, mówisz o tym, co widzisz.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To dlatego, że jesteśmy sami wewnątrz.

Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny zaczynają paznokciami ryć krąg w ścianie inkubatora. Robią to razem, wydając piski bólu. Powoli krąg zamienia się w korytko, którym płynie krew. Pracują wytrwale.

OSOBNIK OGÓLNY: Boli dopiero teraz.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Wcześniej znałem jedynie zapowiedzi.

OSOBNIK OGÓLNY: Musimy upuszczać, krwawić, nie składać ranliwych dłoni.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ten rowek w ścianie doprowadzi nas kiedyś na zewnątrz.

OSOBNIK OGÓLNY: Ryj głębiej, płacz.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To może się na nic nie zdać, kiedy już wyjdziemy.

OSOBNIK OGÓLNY: Będziesz mógł zacząć od początku.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie chcę przeżyć niczego raz jeszcze.

OSOBNIK OGÓLNY: To będzie nowy raz jeszcze.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Raz jeszcze koniec.

OSOBNIK OGÓLNY: Niewiele możemy o tym powiedzieć, nie teraz.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Może nie będzie lepszego momentu?

OSOBNIK OGÓLNY: Było ich wiele, nie korzystałeś, składałeś tylko dłonie jak fragmenty.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Czego?

OSOBNIK OGÓLNY: Opowieści, szukałeś opowieści.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie, tylko jakiegoś wytłumaczenia, na chwilę, kiedy boli.
OSOBNIK OGÓLNY: Teraz boli po coś, do czegoś to służy.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Mam nadzieję.
OSOBNIK OGÓLNY: W tym właśnie problem, dalej opowiadasz wewnątrz.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Bo nie mam przekonania, brak mi sił, napsuta krew.
OSOBNIK OGÓLNY: Ryj bez przekonania, byleby tylko.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Był ruch.
OSOBNIK OGÓLNY: Na zewnątrz.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Wyjdźmy.

Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny wypadają z inkubatora zalani krwią. Leżą na szklanym krążku w doskonałej bieli. Siadają w kucki i rozglądają się.

OSOBNIK OGÓLNY: Wiedziałem, nic teraz nie widać.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To się dopiero zobaczy, coś z tego wyjdzie.
OSOBNIK OGÓLNY: Z której strony spodziewamy się zdarzeń?
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Z każdej, tak było poprzednim razem.
OSOBNIK OGÓLNY: Nie mam doświadczeń, chociaż mówiono i pisano.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Może być tak, że wszystko się powtórzy, ból i niewygody.
OSOBNIK OGÓLNY: Przecież bolało cię wewnątrz, teraz przyjdzie ulga.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie jestem pewien, kiedy i gdzie bardziej.
OSOBNIK OGÓLNY: Dotychczas siedziałem cicho i nie wychylałem się.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ja już tu byłem, w tym hałasie, w piskach.
OSOBNIK OGÓLNY: Tak sobie to pomyślałem.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ja jestem konsekwencją.
OSOBNIK OGÓLNY: Wybacz, drugi raz to się nie powtórzy.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Kiedy właśnie dzieje się powtórzenie.
OSOBNIK OGÓLNY: Tylko teoria.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Przejdźmy do konkretów.
OSOBNIK OGÓLNY: Wrócimy po śladach krwi.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Dokąd?

OSOBNIK OGÓLNY: Do wewnątrz, do siebie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ale nie ma dokąd wracać, jesteśmy otwarci.

OSOBNIK OGÓLNY: Na co?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Na to, co się wydarzy, z nami.

OSOBNIK OGÓLNY: To jest zupełnie nowa sytuacja.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Trzymaj się mnie.

Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny zaczynają wiosłować rękami w bieli. Krążek powoli przemieszcza się wokół inkubatora. Co chwila jednak traci równowagę. Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny mocno wpijają się w siebie. Drżą.

OSOBNIK OGÓLNY: Zdecydowanie nie potrafimy się utrzymać.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Pod nami jest płytkie dno wszystkiego.

OSOBNIK OGÓLNY: Ponad nami też dno, nigdy nie byłem tak daleko od siebie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ja nie mam siebie, mam tylko ciebie.

OSOBNIK OGÓLNY: Już to mówiłeś chyba, kiedy przybyłeś.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie wydaje mi się, przybyłem w jakiejś intencji.

OSOBNIK OGÓLNY: Drżałeś na dnie, usiadłeś na taborecie, zacząłeś coś mówić.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: A teraz razem już spadamy.

OSOBNIK OGÓLNY: Ciągniesz mnie za sobą, nie tak miało być.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: A jak?

OSOBNIK OGÓLNY: Zwyczajnie, ty mówisz, ja słucham i milczę.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie idzie zgodnie z planem?

OSOBNIK OGÓLNY: Nie było planu, po prostu komuś się powiedziało.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Toniemy w bieli.

OSOBNIK OGÓLNY: W bieli czystej kartki, nikt nie mówił, że trzeba to wprowadzić.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jestem wprowadzeniem, dalej zobaczysz, jak to jest.

OSOBNIK OGÓLNY: Już mi wystarczy, wiosłowanie w niczym, krew, dno.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Z tym właśnie przyszedłem.

OSOBNIK OGÓLNY: Teraz już rozumiem, możemy wracać.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie da się, jesteśmy na wyspie, na krążku.

OSOBNIK OGÓLNY: Ktoś to zauważy?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie licz na to, zdaj się na siebie.

OSOBNIK OGÓLNY: Chciałbym wrócić na taboret, siedzieć i słuchać.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie mam nic do dodania, jest tak, jak było, w tym żyłem.

Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny po opłynięciu inkubatora docierają z powrotem do miejsca, z którego wypadli. Gramolą się do środka, włączają lampkę, podnoszą taborety, ale nie siadają, tylko stoją odwróceny do siebie tyłem.

OSOBNIK OGÓLNY: To było zupełnie niepotrzebne, ta cała akcja.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Chciałem ci tylko udowodnić, że mam rację, że nie ma ulgi.

OSOBNIK OGÓLNY: Nic mi po takiej wiedzy, nie będę mógł teraz dłużej milczeć.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: W tym rzecz, powiedz coś.

OSOBNIK OGÓLNY: Tylko tyle, że nie ma ulgi, ale cóż to znaczy wobec.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Czego?

OSOBNIK OGÓLNY: Że jestem u siebie, na taborecie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ale teraz nie masz prawa nic mówić, masz wiedzę.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie skorzystam z niej, dla ciebie to bez znaczenia.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To ma znaczenie, przeżyliśmy to razem.

OSOBNIK OGÓLNY: Drżałeś, zarażałeś mnie drżeniem.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jakże by inaczej.

OSOBNIK OGÓLNY: No właśnie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jestem twój człowiek.

OSOBNIK OGÓLNY: Swój.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie, twój, pod twoją obroną.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie prosiłem o ciebie, miałeś siedzieć na taborecie, mówić.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Chciałem czegoś więcej, chciałem, żebyś był tam.

OSOBNIK OGÓLNY: Dla mnie nie ma tam miejsca, na zewnątrz.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jest ogromna ilość przestrzeni, wszystko dla ciebie.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie skorzystam, tu jest dobrze, dwa taborety, lampka.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jak mam do ciebie mówić?

OSOBNIK OGÓLNY: Nie ma to dla mnie znaczenia, twoje ucieczki, imiona.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To nie była ucieczka, to był powrót.

Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny próbują dopasować do wyłomu w inkubatorze wryty uprzednio krążek. Starają się trafnie trafić w krawędź otworu. Niestety krążek złośliwie wypada.

OSOBNIK OGÓLNY: Więc tak już zostaniemy, na widoku niczego, odstonięci.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jak widać, nikogo to nie obeszło, nie zjawił się nikt.

OSOBNIK OGÓLNY: Ale boli sama świadomość, że jesteśmy nieszczelni.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Może to znak.

OSOBNIK OGÓLNY: Czego?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Że może to wszystko jest jednym, że nie ma wewnątrz.

OSOBNIK OGÓLNY: Ani zewnątrz.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To by było wielkie oszustwo.

OSOBNIK OGÓLNY: Ktoś musiał to rozmyślnie ułożyć.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Byłby to rodzaj potężnego zła, niewyobrażalne.

OSOBNIK OGÓLNY: Kto go tam wie, złego nie widać, w tej bieli też.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Tak, chociaż widziałem w życiu wiele złego.

OSOBNIK OGÓLNY: W życiu samym?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Tak, z samej zasady, źle to wygląda, kiedy już widać, jak jest.

OSOBNIK OGÓLNY: Miało być bez gier.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Tak się mówi tylko, takie ustalenie, taka umowa.

OSOBNIK OGÓLNY: Między kim?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Kartką, piórem.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie tak łatwo przejść od siebie do opisu siebie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Właśnie dlatego cierpiałem ból.

OSOBNIK OGÓLNY: Ja się nigdy nie ważyłem przejść od siebie do opisu siebie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Dlatego nie chciałeś wyjść, uciekać.

OSOBNIK OGÓLNY: Chyba tak.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Wybrałeś taboret i milczenie, cierp brak bólu.

Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny znowu zasiadają na taboretach. Tym razem jednak próbują złapać się za ręce.

OSOBNIK OGÓLNY: Może tak spróbujemy.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Wtedy nie będę mógł mówić, będę trzymał cię za rękę.

OSOBNIK OGÓLNY: To może wystarczyć na końcu.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ale nawet nie zaczęliśmy z niczym, siedzimy w miejscu.

OSOBNIK OGÓLNY: Dlatego trzeba to jakoś przesiedzieć, a trochę to potrwa.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ile dokładnie?

OSOBNIK OGÓLNY: Nie wiem, kiedy mnie tu włożono, od kiedy to trwa.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ktoś poza mną przychodził?

OSOBNIK OGÓLNY: Zdaje się, że nie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ktoś próbował stąd uciekać?

OSOBNIK OGÓLNY: Z pewnością nie, wszyscy są zadowoleni, choć nikt go nie widziałem.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jestem pierwszy?

OSOBNIK OGÓLNY: Chyba tak, zdecydowanie tak.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Dlaczego nie mówiłeś nic wcześniej?

OSOBNIK OGÓLNY: Czy to by coś zmieniło?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Tak, nie ryłbym korytka do krwi, nie wychodziłbym.

OSOBNIK OGÓLNY: Ale chciałeś, miałeś pragnienie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Bo miał zjawić się jeszcze ktoś, kto cierpi ból, niewygody.

OSOBNIK OGÓLNY: Skąd takie przypuszczenie?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Bo o tobie gadano, że przychodzą do ciebie, że pomagasz.

OSOBNIK OGÓLNY: Komu? W czym?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: W przejściu, w spokojnym siedzeniu na taborecie.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie przynoszę spokoju, jestem, by milczeć, kość.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Tak właśnie, koisz, nie mówisz mi nic.

Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny zamieniają się miejscami na taboretach.

OSOBNIK OGÓLNY: Może teraz będzie łatwiej, zacznę mówić, o tym, co mnie spotkało.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Dziwne, ale chcę słuchać, nie mówić, pierwszy raz.

OSOBNIK OGÓLNY: Dużo o mnie mówiono, pisano.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Tak, czasem w superlatywach, czasem zupełnie źle.

OSOBNIK OGÓLNY: A ja próbuję temu sprostać, siedzę tu i staram się.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Średnio to idzie.

OSOBNIK OGÓLNY: Tak, bo cierpię niewygodę, niczego nie mogę, poza milczeniem.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ale przecież przychodzimy, dostarczamy siebie.

OSOBNIK OGÓLNY: Nijak tego nie mogę pojąć.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Składamy tu siebie jak ofiarę, te resztki z nas.

OSOBNIK OGÓLNY: Właśnie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Te krwawice, na taboretach, naprzeciwno.

OSOBNIK OGÓLNY: To dziwne, nieludzkie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Arcyludzkie.

OSOBNIK OGÓLNY: Tylko bez gier, proszę.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Kiedy inaczej nie możemy, takie mamy instrukcje.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie ja je piszę.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Sami piszemy, potem próbujemy zastosować.

OSOBNIK OGÓLNY: Być może w tym tkwi problem.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: W czym?

OSOBNIK OGÓLNY: Nie macie zastosowań.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: W jakim sensie?

OSOBNIK OGÓLNY: W każdym, jesteście mgłą, bielą, przez którą nie widzę nic.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To chyba wystarczy.

OSOBNIK OGÓLNY: Musi wystarczyć.

Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny przez dłuższą chwilę milczą. Obserwują cienie na zewnątrz inkubatora. Przypominają krążki dryfujące w bieli.

OSOBNIK OGÓLNY: Wygląda na to, że nie jesteśmy jednak sami.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Być może to analogiczne duety.

OSOBNIK OGÓLNY: Próbują uciekać.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie ma jak, wrócą do siebie.

OSOBNIK OGÓLNY: Każdy do swojego wewnątrz, po śladach krwi.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To śmieszne.

OSOBNIK OGÓLNY: To straszne.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To zależy, po której jesteś stronie.

OSOBNIK OGÓLNY: Tak, na zewnątrz można upaść.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Bez konsekwencji, jest płytko.

OSOBNIK OGÓLNY: Jak dla kogo.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Wydaje się, że dla każdego tak samo.

OSOBNIK OGÓLNY: Niekoniecznie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie wracajmy do tego.

OSOBNIK OGÓLNY: Wróciliśmy.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Cali i zdrowi.

OSOBNIK OGÓLNY: Siedzimy, oni jeszcze błędzą.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Kwestia doświadczenia.

OSOBNIK OGÓLNY: Woli.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie wiem, trzeba to kalkulować.

OSOBNIK OGÓLNY: Stawką są przewrócone taborety, drżenie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ale coś przynajmniej zostaje.

OSOBNIK OGÓLNY: Z tym potem przychodzicie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To całe nasze życie.

Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny spoglądają na swoje dłonie, na zaszniętą krew, na ślady po wydrapanym wyjściu.

OSOBNIK OGÓLNY: Skoro więc to już wszystko, całe życie, to wyłączmy.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Lampkę?

OSOBNIK OGÓLNY: Nie, wyłączmy z życia ucieczkę.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Co nam zostanie?

OSOBNIK OGÓLNY: Dwa taborety, rozmowa, milczenie, drżenie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Znasz jakieś inne sposoby?

OSOBNIK OGÓLNY: Na co?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Na wyłączenie.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie, raczej tylko to, co jest pod ręką, w zasięgu widzenia.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: My mamy potrzeby, czegoś więcej się chce.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie ma niczego więcej, nie chce się chcieć.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Wewnątrz mam wiele woli.

OSOBNIK OGÓLNY: Ja nie mam wewnątrz przekonania.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie przekonuję cię?

OSOBNIK OGÓLNY: Do czego?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Do rozmowy, do życia.

OSOBNIK OGÓLNY: Ależ tak, przecież rozmawiamy, słucham.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Niczego we mnie nie zmieniasz.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie ma takiej potrzeby, jesteś gotowy.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Do czego?

OSOBNIK OGÓLNY: Jesteś kompletny, jesteś pierwszym kompletnym życiem.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To mi pochlebia.

OSOBNIK OGÓLNY: Nie musi, tak się złożyło.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Pracowałem nad tym, ryłem w sobie.

Osobnik Ogólny osłania dłońmi lampkę, bawi się cieniami rzucanymi na kopułę inkubatora.

OSOBNIK OGÓLNY: Widzisz te cienie, bawią się w nas.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Powtarzam, bez gierek.

OSOBNIK OGÓLNY: To nie gra, to wszystko, co mamy.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Te cienie nie są nasze.

OSOBNIK OGÓLNY: Owszem, to my na zewnątrz.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Siebie?

OSOBNIK OGÓLNY: Tak, niczego nie przypominamy, ale jest ruch.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Kiedy właśnie siedzimy.
OSOBNIK OGÓLNY: To bez znaczenia, wszystko się dzieje, bez nas.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To przykre.
OSOBNIK OGÓLNY: To przynosi ulgę.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie wiem, boleję nad tym.
OSOBNIK OGÓLNY: Zupełnie niepotrzebnie, prawdę mówiąc.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Co proszę?
OSOBNIK OGÓLNY: Tylko się powiedziało.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To ważne.
OSOBNIK OGÓLNY: Nie, to nie było nigdy ważne, choć tak pisano.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Dla mnie to ważne, chodzi o mnie.
OSOBNIK OGÓLNY: Nie chodzi o ciebie, chodzi o ruch, wymianę życia.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Mam imię.
OSOBNIK OGÓLNY: Nie dla mnie.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: To zabawne, ty nie masz imienia.
OSOBNIK OGÓLNY: Jak sobie chcesz, może tak zostać.
OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nie może tak zostać, powiedz sam.
OSOBNIK OGÓLNY: Zostanę sam, prędzej czy później, zostanie jeden.

Osobnik Ogólny zaczyna okładać lampką Osobnika Poszczególnego. Ganiają się po inkubatorze. Osobnik Ogólny krzyczy i powtarza coś na okrągło.

OSOBNIK OGÓLNY:
Na dnie oka, na piasku, lite światło, co się zdaje czymś
wiecznym, kiedy tankowce stają w horyzoncie na znak powieki
i znowu jestem znikomym centrum, które wyprowadza wnioski
ze słabej przesłanki – to są właśnie resztki z morza, resztki we mnie.

Trzeba się karmić, nie trzeba się zastanawiać.
Należy również tworzyć nieruchomy dramat,
coś wystarczającego dla pragnień, porządek
rozdarcia w głębi widzialności, blask jakiegoś świata.

Wewnątrz konserwatorium ciszy, jak falochron na pustyni,
tkwi uczeń, który został po lekcji życia i trwa w opakowaniu
niczym prezent bez adresata, ciało wsłuchujące się w siebie

jak muszla z odpustu, prymus w przedmiocie sporu: kto? co?

Nic nie zostaje z prowizorium.

Wiele jest jeszcze do odkrycia po stronie mielizn.

Jeśli chodzi o prawdę, należy ograniczyć się do metody.

Gdyby ktoś pytał, leżę na dnie, bez mrugnienia okiem.

Osobnik Ogólny siedzi na omdlałym Osobniku Poszczególnym. Patrzy w wycięty paznokciami owal w inkubatorze. Po chwili spogląda w oblicze Osobnika Poszczególnego, który lekko odmyka oczy.

OSOBNIK OGÓLNY: Wybacz, poniosła mnie wyobraźnia.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Co ty sobie wyobrażałeś?

OSOBNIK OGÓLNY: Że wreszcie zostanę sam jeden, z własnym taborettem, lampką.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jak to? Przecież jesteś wspólny, należysz do wszystkich.

OSOBNIK OGÓLNY: I wszystkich okładam, wbijam do głowy, proszę o opuszczenie mnie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Opuszczam.

OSOBNIK OGÓLNY: Opuszczasz mnie nareszcie, choć niezdecydowanie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jakie widzisz dla mnie wyjście, teraz, kiedy już wyszliśmy?

OSOBNIK OGÓLNY: I wiemy, co tam jest.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Wiemy, co z tym jest.

OSOBNIK OGÓLNY: Co?

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Dryf, na krążku, drzenie, samemu lub z kimś, w objęciach.

OSOBNIK OGÓLNY: Dlatego właśnie chciałem zaradzić, znaleźć się na krążku sam, potem.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Potem, kiedy już mnie nie będzie?

OSOBNIK OGÓLNY: Tak, chodzi właśnie o sytuację po wszystkim, po was wszystkich.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: A gdyby ci się udało, gdybym nie odemknął oczu?

OSOBNIK OGÓLNY: Cóż, przeturlałbym cię do wyjścia, pod ten przerębel w inkubatorze.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: A potem?

OSOBNIK OGÓLNY: W mgłę, w biel, podniósłbyś poziom dna.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jak to?

OSOBNIK OGÓLNY: Tam was magazynuję.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jesteśmy drabiną.

OSOBNIK OGÓLNY: Bez gier, powiedziane, napisane, dosięgacie już prawie.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Mógłbym się przyłożyć do dzieła, tymczasem z góry nic nie widać.

OSOBNIK OGÓLNY: Bo ja wiem, możesz jeszcze spróbować patrzeć.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Jak?

OSOBNIK OGÓLNY: Zamknij oczy.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Nawet ich nie odemknąłem.

OSOBNIK OGÓLNY: Już nie czas po temu.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Ale warto było?

OSOBNIK OGÓLNY: Nie chciej odpowiedzi.

OSOBNIK POSZCZEGÓLNY: Coś tam widziałem, dobre życie, i ty też się zdarzyłeś.

OSOBNIK OGÓLNY: Ostatni raz, obiecuję, wołaj następnego, czeka w pomroce.

TOMASZ RÓŻYCKI

Ciało choruje

Stąd widać lepiej: chwilowa niedyspozycja,
zatruty organizm z powodu namnażających się
drobnoustrojów.

Niebieskie Ciało przejdzie chorobę –
rozpalona skóra, depresja zniknie pod falą gorąca,
wystąpią natomiast siódme poty i gorączka,
od której zginą mikroby. Nadejdą wymioty, biegunka
uwolni ciało od toksyn, oczyści narządy.
Chwila osłabienia, a potem znów twarz do słońca
i nabieranie kolorów.

Pozostaną na jakiś czas blizny, ślady po wysypce,
gdzieniegdzie zmarszczki, litery poematu
w nieznanym języku, ruiny dawnej urody,
cmentarzysko, zapadające się złoża czarnych paliw.

Święta

Gwiazdy, przesmyki, przez które wpada światło
z pomieszczenia wyżej. Widziałem je. To kuchnia,
i ktoś na białym obrusie stawiał parującą miskę
z pierogami.

Po to wyruszyłem, żeby sprawdzić, jak grube
jest niebo, koc, w który owinięto do niedzieli
nasz fermentujący świat, słój pełen śpiewających
bakterii.

Rysopis

Kapitan X ogląda wiadomości z Ziemi
i widzi, że wszędzie mówi się o nim.
Ze wszystkich raportów wynika niezbiecie,
że to on jest winien. Nie zdobył żadnego punktu,
jak powinien.

We wszystkich serialach, w studiach telewizji
skrzywdzone ofiary wskazują palcem w jego stronę.
Rysopis się zgadza, cechy płciowe, rasowe,
kilka intymnych szczegółów.

Jego kapsuła jest już daleko, zamknięta na kluczyk
gramatyki, ale wydaje się, że ściany już dawno
przenika ciemność, że nie ma innej poza ciemnością ściany.

I w oku bulaju widzi swoją twarz
z listu gończego, poraną meteorami,
podziurawioną kraterami, ze strefą martwych oceanów,
kamiennych pustyni, do połowy w cieniu.

Elegia dla X

Więc żegnaj, kapitanie. Oto w żalu
stają w zatorach drogowych pojazdy,
używając klaksonów. Oto zaszło
już niemal słońce, w kirze spalin
kryjąc oblicze. Oto oceany,
poruszone do głębi, idą w spazmach
przez Plac Świętego Marka. Kadzidlany

dymem zakryty Irtysz, Amazonka,
Mekong i ronią łąę lodowce w Alpach,
i wmarznięty fortepian wreszcie się uwalnia
i marche funèbre zjeżdżając w dół brzdąka.
I schodzą lody. Topi się Grenlandia.

Ultima Thule możesz kapitanie
skanować z góry, i odbite na niej
sprzed lat zmarzliny nasze ślady. Słyszysz?
Requiem torebki foliowe ci dyszą
wzruszone nagle w gałęziach platanów
i nawet Odrze dzisiaj się udaje
przybrać odcienie najgłębszego żalu,
wciągając rajtki z mazutu i smarów,
aby przez chwilę móc się upodobnić
do tej przestrzeni, w którą się rzuciłeś,
żeby utonąć, opóźniając odwrót,
zgodnie z legendą o przegranej bitwie.

I salutują pułki czarnych liter,
tak, jak je zostawiłeś, kapitanie.
Nikt nic nie zmieniał, tylko deszcz co chwilę
kapie i robi szarobure plamy.
Choćby je składać na tysiąc sposobów,
nie ma porządku ani sensu w słowach –
zabrałeś ponoć puentę poematu
do swej kapsuły o powierzchni trumny
i składnia odtąd się nie składa
i rymu szuka na próżno gdzieś w próżni.

KAZIMIERZ NOWOSIELSKI
Karola Olgierda Borchardta
morska szkoła życia

Chyba dobrze pamiętam, iż miało to miejsce jesienią 1977 roku, kiedy wraz z grupą gdańskich literatów udaliśmy się do Wejherowa na coroczne obchody Dekady Pisarzy Wybrzeża... Wysoki, postawny mężczyzna w mundurze oficera marynarki wzbudzał zainteresowanie nie tylko zgromadzonej na uroczystej inauguracji publiczności, ale i samych kolegów po piórze. W życiu miejscowego środowiska pisarskiego raczej nie brał udziału i dlatego jego obecność na wspomnianej imprezie, przynajmniej dla niektórych, stanowiła swego rodzaju wydarzenie. Było nim ono i dla mnie, początkującego poety i krytyka, który z nieukrywanym podziwem patrzył na autora głośnej już wtedy książki *Znaczy Kapitan*. Krytycy uważali go za najwybitniejszego z polskich marynistów – a marynistyka, przypomnijmy, coś tam naówczas znaczyła w polskim kulturowym pejzażu: dość prężnie działało Wydawnictwo Morskie, ukazywały cieszące się sporym wzięciem czasopiśma morskim sprawom poświęcone („Morze”, „Tygodnik Morski”, „Bandera”, „Nautologia”...), na młodym Uniwersytecie Gdańskim fachowo zajmowano się słownictwem z tego zakresu, powstawały prace poświęcone badanej pod tym kątem literaturze staropolskiej, romantycznej i młodopolskiej, a także dwudziestowiecznej prozie Salińskiego i Rychlińskiego; noszono się nawet z zamiarem powołania osobnej placówki badawczej poświęconej, jak to niektórzy określali, marynizmowi... Teraz to wszystko prawie że zanikło: gdańska stocznia w ruinie, na ulicach Gdyni i Gdańska rzadko kiedy spotyka się umundurowanych marynarzy, marynizmu już się nie omawia ani na konferencjach, ani na wykładach... A jednak pisarska fregata, której na imię Karol Olgierd Borchardt, mimo wszystko ciągle utrzymuje się na powierzchni. Jego opowieść o wyzwaniu, jakim jest morze, zdaje się trwać nie tylko w pamięci starych czytelników, ale i młodzi jeszcze czasem po nią sięgają. Na czym polega, skąd się bierze ów fenomen?

Niemal wszystkie jego dzieła traktują o ludziach, którym wbrew rozmaitym trudnościom, a czasem nawet wbrew własnym, wcześniej powziętym

zamiarom, przyszło się sprawdzać nade wszystko w marynarskim fachu. Dzieje się tak nie bez powodu: wszak autor *Szamana Morskiego* poznał ową dziedzinę życia jak rzadko kto; można by rzec, iż każdym mięśnieniem, każdą cząstką swej duszy... Jednakże, sądzę, gdyby nawet jakoś inaczej potoczył się jego żywot, Borchardt z równą pasją, znanstwem i serdecznością pisałby o innych rodzajach powołań, wyzwań i doświadczeń. Po prostu fascynowała go ludzka dzielność. Szukał jej u innych, obserwował, konfrontował z własnymi poczynaniami, dochodził jej indywidualnych oraz wspólnotowych cech i znaczeń. Był przekonany, iż w życiu ważne są nie tylko tęsknoty, ambicje i marzenia, ale też determinacja oraz konsekwencja w ich spełnianiu, a czasami też odwaga, gdy przychodzi sprostać jakimś nadzwyczajnym okolicznościom; jedno bez drugiego obejść się nie może, i jedno drugie stale winno wspierać i dopełniać. Chodzi nade wszystko o to, aby – uważał – nasze życie nie było bezbarwne, nijakie, bezpożyteczne – bez znaczenia nie tylko dla drugich, lecz i dla nas samych.

Najbardziej znaną książkę Borchardta *Znaczy Kapitan*, jak również wydany po śmierci pisarza zbiór *Pod czerwoną różą i opowiadania różne* otwierają wspomnienia z czasów dzieciństwa i młodości ich twórcy, kiedy to inspirowany lekturą przygodowych powieści Curwooda, Maya, Verne'a czy Londona, razem z grupą rówieśników zabawiał się w Indian, w korsarzy albo w zdobywców i badaczy dalekich, egzotycznych krain. A były to zabawy, gdzie nieważną – jak to w owym okresie bywa – stawała się granica między realnym a wyobrażonym; wszystko przeżywało się w najwyższym uniesieniu serca, woli i rozbudzonej fantazji. Rozpoznanych w sobie naówczas skłonności do „podążania – jak pisał Conrad – za marzeniem” Borchardt właściwie nie wyzbył się do końca swoich dni. Sądził, iż w każdym okresie żywota również one na swój sposób inspirują do czynu, ubarwiają ludzką egzystencję i nadają jej jakiś nie do końca dający się zracjonalizować kierunek i sens.

Jednakże jego książki, dodajmy, to również swoiste, oparte nie tylko na własnych przeżyciach, dociekania jeszcze innej natury. Dotyczą one wspólnotowych aspektów ludzkiej egzystencji i bywają powiązane z refleksją nad tym, czym jest odpowiedzialność za kształt i treść nie tylko własnego żywota, ale i za życie innych. Tego, uważał, uczy nade wszystko służba na statku czy na okręcie – trudna, niebezpieczna i niezwykle wiele od wszystkich wymagająca; tutaj w pewnych sytuacjach nie można sobie pozwolić nawet na moment wahania, na chwilę słabości... Zaraz po partiach poświęconych wspomnieniom z dzieciństwa autor *Znaczy Kapitan* przechodzi do

opisu duchowych i cielesnych „cierpień” łączących się z dyscyplinowaniem oraz ukierunkowywaniem własnej woli. Podejmował się tego wysiłku, kierując się bezwzględnie egzekwowaną zasadą: żadnego roztkliwiania się nad sobą, żadnej ulgowej taryfy – tu liczy się nade wszystko twardo egzekwowana „tresura” ciała, myśli i zmysłów. Z czasem patrzył na owe eksperymenty z samym sobą z przymrużeniem oka, i opowiadał o nich z pewną dozą humoru, jednakże nigdy ich nie żałował. We wspomnianym zbiorze *Pod czerwoną różą* zamieścił opowieść o swojej młodzieńczej przyjaźni z Józefem Reuttem – kolegą z wileńskiego Gimnazjum Męskiego imienia Joachima Lelwela. „Obaj mieliśmy to samo zdanie – opowiada narrator – że wyłącznie wola jest kluczem do realizacji wielkich zamierzeń i osiągnięć. [...] Po paru miesiącach wspólnej pracy zaczęliśmy prowadzić wykresy ćwiczeń siły woli. Pionowo nakreślone były dni, linie poziome łączyły godziny. Doszliśmy do przekonania, że tylko codziennie i o tej samej godzinie wykonywane czynności są najskuteczniejsze i łatwe do sprawdzenia na wykresach. [...] Wyniki półrocznej pracy były bardzo zachęcające”. Tak przygotowany Reutt, dodajmy, udał się na Sorbonę – i ukończył ją, młodemu Borchardtowi zaś zamarzyła się praca na morzu.

Spełnianiu się owego marzenia poświęcił niejedną ze swoich opowieści. Bywało, iż sam się sobie dziwił, jak to się mogło stać: może to sprawa woli? może przeznaczenia? a może jedno i drugie miało tu coś do powiedzenia? Pochodził wszak z nieco zubożałej kresowej szlachty, która na początku XX wieku miała już mało wspólnego z tradycyjnym ziemiaństwem. „Urodziłem się w Moskwie, w klinice mego ojca, który był lekarzem – pisał w zbiorze *Pod czerwoną różą*, by w innym jego miejscu, nie bez pewnej dumy, poczynić następującą uwagę: „[...] wywodzę się z baronów kurlandzkich i mam prawo pieczętować się herbem brunswickim”. Wczesne dzieciństwo spędził z matką we Francji, a gdy w roku 1911 wrócili do ojczyznanego kraju, znał zaledwie parę polskich słów oraz mało dlań wówczas zrozumiały wierszyk *Kto ty jesteś*. O jego patriotyczną edukację zadbała między innymi ukochana babcia Michasia ze skromnego majątku Bykówka na Kresach, która – wspomina Borchardt – „nie pozwoliła nigdy na ścięcie chociażby jednego drzewa w jej mateczniku, ponieważ według niej każde drzewo może kiedyś służyć

* Karol Olgierd Borchardt, *Pod czerwoną różą i opowiadania różne*, Pelplin 2011. Dalej będę korzystał też z następujących wydań dzieł Borchardta: *Znaczy Kapitan*, Pelplin 2010; *Szaman Morski*, Pelplin 2010; *Kolebka nawigatorów*, Pelplin 2010.

za tarczę powstańcowi". W 1920 roku jej wnuk jako harcerz i młodzianki żołnierz w jednej osobie wziął udział w wojnie polsko-sowieckiej, bronił Wilna przed bolszewikami i dotarł z wojskiem aż do Warszawy. Po ukończeniu gimnazjum podjął studia prawnicze, jednakże dość szybko je porzucił. Do wymarzonej Szkoły Morskiej, która miała swą siedzibę w pomorskim Tczewie, dostał się za drugim razem.

Był rok 1925. Tak naprawdę niewielu w owych latach wierzyło w sens budowania silnej gospodarki morskiej. Inne sprawy wszak wydawały się ważniejsze. A jednak znalazło się paru zapaleńców i zarazem ludzi mądrych oraz roztropnych, którym wykorzystanie i zagospodarowanie skromnego dostępu do morza jawiło się jako niepowtarzalna dziejowa szansa i zarazem co najmniej pokoleniowe zobowiązanie. „Przed paru laty zaledwie – przypomina Borchartd w swojej pierwszej książce – skończyła się stuletnia niewola. Pochodziliśmy z trzech zaborów, rozpoczynaliśmy naukę w obcych szkołach i w obcym języku, nosiliśmy w sobie pozostałości poglądów wdrożonych nam przez obce narody. Ale wierzyliśmy, że zbudujemy wspaniałą polską flotę handlową mimo braku pojęcia o niej i wbrew »mędrcom«, że nie mając tradycji morskich nie będziemy nigdy w stanie stworzyć prawdziwej marynarki”.

Przyszły autor *Szamana Morskiego* pierwszą praktykę odbywa na wysłużonym, mającym za sobą już przeszło pięćdziesiąt lat eksploatacji, odkupionym od Anglików szkolnym statku „Lwów”. Kadra i szkoląca się na nim młodzież sama musi „zapracować na swoje utrzymanie, na liny, płótno żaglowe, materiały konserwacyjne. Za swoje utrzymanie płacimy sami. Nikt nie śpieszy się z utrzymywaniem statku romantyków oraz finansowaniem ich podróży”. W trakcie swych pierwszych zagranicznych rejsów „Lwów” ze szkolącą się na nim młodzieżą przewozi między innymi podkłady kolejowe do Londynu i glinę kaolinową do Genui.

Bieda, zapal i gorliwie pozyskiwane w trakcie rejsu umiejętności tworzyły jedyny w swoim rodzaju węzeł ich młodzieńczych doświadczeń. Niemal wszystko trzeba było zaczynać od podstaw, od początku. Pierwsze szkoły morskie funkcjonowały daleko od morskiego brzegu, bo w Tczewie i w Toruniu, pierwsze statki i niezbędny sprzęt do kształcenia kupowano na Zachodzie, przyuczanych do zawodu uczniów z owych szkół transportowano łodzią z budowanego portu w Gdyni na stojący dość daleko od brzegu zatoki „Lwów”. W czasie wizyty w mieście Kopernika ówczesny prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Stanisław Wojciechowski wedle relacji świadków

miał powiedzieć do komandora Antoniego Garnuszewskiego – komendanta tczewskiej szkoły: „Biedni chłopcy, przecież to wszystko przyszli bezrobotni”. Ale, jak się okazało, ci „bezrobotni” dysponowali bezcennym kapitałem: gorącym sercem, silną wolą i nieprawdopodobnym zapałem do nauki. I to wystarczyło, by stworzyć zręby coraz bogatszej i coraz lepiej funkcjonującej polskiej marynarki; tacy jak oni zapełniali dobrze wyszkolonymi załogami kupowane statki, przecierali transportowe szlaki na morzach i oceanach całego świata. I już wtedy kształtowali niepowtarzalny profil ojczystego marynizmu.

Ukończywszy w 1928 roku Szkołę Morską w Tczewie, Karol Olgierd Borchardt pływa jako podoficer, a potem oficer na różnych polskich oraz obcych statkach. W jednym z francuskich portów mustruje się na parowiec obsługujący linię do Indochin, potem trafia na polską „Rewę”, a po niej na kursujący między atlantyckimi, skandynawskimi i śródziemnomorskimi portami parowiec „Polonia”. Dowodzi nią, poznany na „Lwowie”, kapitan Mamert Stankiewicz – Znaczy Kapitan – przyszły bohater koronnego dzieła jego ówczesnego podwładnego. Borchardt jest wyraźnie zafascynowany osobą swego przełożonego. Po latach postanawia napisać o nim, a tak naprawdę też o sobie, książkę – nasycone anegdotami wspomnienie o wspólnie odbytych rejsach oraz swoisty dziennik pokładowy nie tylko ich marynarskich marzeń i zobowiązań. Powstanie fascynująca opowieść o pokoleniu wspaniałych Polaków, ich tęsknotach i wręcz nieprawdopodobnym wysiłku, o Europie i świecie pierwszej połowy XX wieku. To dokument, ale i coś więcej, bo też swego rodzaju prozatorski traktat o historii i filozofii życia, ryzyku życia i jego godności, gawęda o urodzie, trudach i niezwykłościach nie tylko marynarskiego żywota. A to wszystko oparte głównie na własnych doświadczeniach, wywiedzione z uważnej obserwacji marynarskich załóg, z którymi chłopcu z oszmiańskiego powiatu przyszło się zetknąć w okresie pracy na parowcach „Pułaski” i „Kościszko”, na motorowcu „Piłsudski”, na szkolnej fregacie „Dar Pomorza”, którą wielu uważało za jeden z najpiękniejszych naówczas żaglowców świata. W czasie wojny, pełniąc służbę na wspomnianym „Piłsudskim”, który Anglicy przekształcili w pomocniczy transportowiec wojskowy, zostaje ciężko ranny. Jego statek tonie, trafiony przez niemiecką torpedę. Traci wówczas życie jego ukochany dowódca, Mamert Stankiewicz.

Po wojnie Borchardt ima się rozmaitych zajęć, między innymi pełni funkcję dyrektora Szkoły Morskiej w Landywood w Anglii, jako drugi oficer

pokładowy pływa na angielskim statku M/s „Sheridan”, jednakże w lipcu 1949 roku postanawia wrócić do Polski. Tu patrzą na niego dość nieprzychylnym okiem – wszak sporą część życia spędził na Zachodzie, tam też została jego żona i córka. „Wrócił z niewłaściwej strony świata”, po latach wspomina jego sekretarka i poniekąd biografka Ewa Ostrowska. „Do pięćdziesiątego szóstego roku cały czas byłem traktowany jako podejrzany politycznie. Gdy zgłaszałem się do pracy po swoim powrocie, po pierwszych obiecujących rozmowach rezygnowano z mojej kandydatury. O pływaniu nie było mowy”, zwierzał się przyszłej edytorce swych dzieł. W 1951 roku zatrudniają go na etacie wykładowcy astronawigacji w Szkole Rybołówstwa Morskiego, a od 1953 roku w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni.

W 1960 roku ukazuje się jego pierwsza książka *Znaczy Kapitan*, trzy lata później *Krążownik spod Somosierry*, a w 1985 roku *Szaman Morski*. Ich autor, mimo dyskwalifikujących go jako czynnego marynarza opinii ówczesnej władzy, w kręgach znających się na rzeczy uznawany jest za fachowca w swojej dziedzinie: w 1955 roku udaje mu się wydać ceniony w morskim szkolnictwie podręcznik do nauki astronawigacji, w 1961 roku zostaje konsultantem Polskiej Akademii Nauk do spraw oceanografii. Uwielbiają go zastępy kształceni przez niego młodzieży. Z jakąś niewyczerpaną pasją i talentem umie się z nią dzielić swoimi doświadczeniami i nade wszystko ogromem pozyskanej wiedzy. Po jego śmierci w 1986 roku ukazuje się niedokończony zbiór wspomnień i opowiadań *Pod czerwoną różą* (1991), który dopełniają refleksje Ewy Ostrowskiej – osoby towarzyszącej ostatnim latom życia gdyńskiego pisarza. W jednym z nich powiada on, iż w starożytnej Grecji (którą uwielbiał, którą zwiedzał i o której dużo wiedział) przed ważnym spotkaniem czerwoną różę wieszano u sufitu na znak koniecznej w tym momencie dyskrecji. Takie też są i jego opowieści: powściągliwe jeśli chodzi o sprawy osobiste, a zwłaszcza intymne, a przy tym nadzwyczaj barwne, rzeczowe, momentami przyprawione solą oraz pieprzem wysublimowanej fantazji i nieodzowną dawką humoru. Każdą ze swoich książek opatrywał zestawem zdjęć uwiarygodniających opowiadane historie, jakby na dowód, iż one w swoim zasadniczym zrębie niemal zawsze miały zakotwiczenie w jego osobistych przeżyciach.

Nie uważał siebie za zawodowego literata i nawet niespecjalnie, jak wspominałem, identyfikował się z jakimkolwiek literackim środowiskiem. Jego pisarstwo, jak się zdaje, brało się nade wszystko z potrzeby uświadomienia sobie, czym jest dar życia, czym dar drugiego człowieka i co znaczy odpowiedzieć na nie: słowem, uczynkiem, tęsknotą... To wszystko łączyło

się u niego w jedno, w jeden marynarski węzeł – mocny, spleciony pewną ręką marynarskiego doświadczenia, spojony własnym potem, a czasem może nawet i łzą. „Kapitan – wspomina Ewa Ostrowska – zawsze uważał, że swoimi książkami zabiera czas czytelnikowi, rzecz najbardziej cenną, bo kawałek ludzkiego życia. W zamian starał się dać coś o konkretnej wartości – uśmiech, wzruszenie czy wreszcie jakąś wiedzę”. Na swój sposób spłacał też nimi dług zaciągnięty u tych, których pokochał: matce, babci Michasi, paru przyjaciółom z czasów młodości, kapitanowi Stankiewiczowi... „Ślubowanie złożone na grobie kapitana Mamerta Stankiewicza, że napiszę o nim książkę, nie dawało mi spokoju. O pisaniu książek nie miałem pojęcia. Hołdowałem niezbitę zasadzie, że największą niemoralnością jest wykonywanie zawodu, którego się nie umie. Musiałem nauczyć się sztuki pisania książek”.

Czymże zatem zaimponował Borcharttowi ów – jak mówiono – „pierwszy po Bogu”, iż postanawia dopełnić swoje marynarskie umiejętności oraz oficerskie kompetencje – i nauczyć się sztuki pisania biografii? W pewnym sensie zapewne wyzwaniem była dlań nieprzenikniona, zimna w swoim wyrazie twarz Mamerta Stankiewicza, zwanego przez podwładnych Icebergiem (Górą Lodową), za którym to obliczem jego przyszły biograf domyślał się głęboko skrywanej czułości, ciepła i subtelnych poruszeń ducha. Na swój sposób, posługując się piórem, postanowił zdobyć tę Górę Lodową i opowiedzieć o powodach swojego dla niej podziwu. Sądził, że należy się to nie tylko jej (owej Lodowej Górze), ale i innym – aby nieobca im była oraz jemu wiara w zdobywanie tego, co na ludzki rozum zdawało się niemożliwe – i aby nie obawiali się podjąć tego wysiłku. Na drodze do portu przeznaczenia wszak, uważał Kapitan, trzeba najpierw nauczyć się jak najwięcej wymagać od siebie, a dopiero potem – spokojnie, acz stanowczo – od swoich podwładnych; wierzyć w Opatrzność, a także – we właściwych proporcjach – w swoje kompetencje; ufać w skuteczność nabytych umiejętności, czasem... własnej intuicji – i liczyć choćby na łut szczęścia.

Rzec by można, iż Stankiewicz był perfekcjonistą w każdym calu. Jedyne w swoim rodzaju sposob traktowania podwładnych opierał na przekonaniu, iż ten, kto bywa niedbały w małych sprawach, zawiedzie i w wielkich. Od początku, jak zapisuje Borchartt, kierował się zasadą lorda Nelsona: „*You cannot be a good officer without being a gentleman*” („Nie możesz być dobrym oficerem, nie będąc dżentelmenem”). Późniejszy bohater Borcharttowych opowieści pochodził z zaboru rosyjskiego, zrobił karierę w marynarce carskiej, lecz z chwilą odzyskania niepodległości wszystkie swoje siły poświęcił

Ojczyźnie i swemu najistotniejszemu, jak mniemał, celowi: aby Polacy stali się także „narodem morskim”. Niezwykle, ale „Uważał, że główna zasługa, iż nie zostaliśmy wynarodowieni, przypada kobietom polskim, które stały znacznie wyżej od mężczyzn pod względem kultury duchowej i patriotyzmu”. To on stworzył Polskie Towarzystwo Żeglugowe, był pierwszym naczelnikiem Wydziału Nawigacyjnego Szkoły Morskiej w Tczewie, „kapitanował” między innymi na parowcach „Pułaski” i „Polonia”. Na wspomnianym „Piłsudskim”, który trafiła niemiecka torpeda, schodził z pokładu jako ostatni – i zginął. Wspaniała, jak go pokazuje Borchardt, postać, acz niepozbawiona ludzkich słabości, śmiesznościami czy specyficznymi językowymi „tików”, jak choćby ten, który pisarz potraktował jako swoisty pseudonim bohatera i spożytkował w tytule swej książki; od słowa „znaczy” zwyczaj Stankiewicz zaczynał niemal każdą swoją wypowiedź, na przykład: „Znaczy, dzień dobry panom”; „Znaczy, jest nieporządek”; „Znaczy, pan jest nie w porządku”...

Autor na rozmaity sposób szuka prawdy o tym i o innych swoich bohaterach, ale czyni to rozumnie i zarazem z otwartym sercem, rzetelnie i z wyrozumiałością. Wiedział, czym jest ludzka małość, jednakże wołał na nią nie zwracać jakiegokolwiek szczególnej uwagi. O pewnych ludziach, sądził, lepiej nie pisać wcale, niżli pisać źle. „Nie ma róży bez kolców – zauważa w *Kolebce nawigatorów* – ale nikt nie hodował róż dla cierni, więc i opisując różę, nie ma powodu rozwodzić się nad cierniami”. I tak też potraktował Borchardt drugą ze swych najważniejszych książkowych postaci, a mianowicie kapitana Eustazego Borkowskiego, nazwanego przezeń Morskim Szamanem. To nieco inna aniżeli Mamert Stankiewicz osoba: uroczy gaduła, dżentelmen, ułan w mundurze oficera marynarki (z sercem na dłoni – zwłaszcza wobec dam, które uwielbiał). Istniała kopalnia morskich anegdot, a także bohater wielu z nich; trochę taki Zagłoba polskiego marynarskiego losu. Przechwalał się na przykład, że w czasie sztormu może dowodzić trzema statkami naraz. W niebezpieczeństwie najlepszym dlań kompasem, uważał, była lampka dobrego trunku. „[...] miał ABSURDALNE SZCZĘŚCIE – pisze Borchardt – które w epoce żaglowców dla wielu armatorów było bardziej cenne niż WIEDZA”.

Urodzony w Warszawie w 1887 roku, uczył się w szkole morskiej w Rydze, służył jako oficer w rosyjskiej flocie handlowej, zaś po zakończeniu wojny przez dziesięć lat pracował jako taksówkarz w Paryżu, po czym dowodził „Kościszka”, „Pułaskim”, „Piłsudskim”, a w końcu „Batorym”. Podobnie jak Stankiewicz miał też swoje językowe „oryginalności” związane ze środowiskiem, w którym wzrastał i dojrzewał, a z których dość obficie korzysta autor

Szamana Morskiego. Mówiono o nim, że „»pa ruski« zapomniał, a po polsku jeszcze się nie nauczył”. Kiedy udawał się na kilkumiesięczny urlop – wspomina jego biograf – w protokole zdawczo-odbiorczym zostawił następujący zapis: „STATEK T.S.S. »KOŚCIUSZKO« ZDAN KAPITANEM EUSTAZYM BORKOWSKIM KAPITANU MAMERTU STANKIEWICZU W STANIE TAKIM, W JAKIM JEST...”.

Wydaje się, iż Karol Olgierd Borchardt reprezentował cechy obu swoich bohaterów: życiową rzetelność i dowódczą precyzję Stankiewicza oraz bogatą wyobraźnię i dowcip Borkowskiego. Dysponował ogromną wiedzą nie tylko z zakresu nawigacji i innych dziedzin żeglowania, ale też pasjonowały go starożytne mity, legendy, a zwłaszcza świat ukochanych przezeń powieści i poematów: *Potopu*, *Pana Tadeusza*, *Iliady* i *Odysei*, dzieł Cervantesa i Conrada, nie licząc już wspomnianych wcześniej ulubionych lektur dzieciństwa i młodości. Z wielkim pożytkiem dla swej narracji z nich korzystał; nie tylko ubarwiał nimi opowieść, ale i uczył. Za ich pomocą inspirował do wyprawiania się po jeszcze niezdożytą wiedzę i ubogacającą mądrość.

Na statku (aczkolwiek nie tylko tam!), uważał, wszystko trzeba robić porządnie – żadnej fuszerki, żadnego udawania... I pisarstwo, sądził, też tak należałoby uprawiać: rzetelnie, fachowo, opierając się na znajomości praw rządzących językiem i... rzeczywistością. Ba, w tej dziedzinie nawet fantazjować należy porządnie, to znaczy tak, aby i tam wszystko miało swój głębszy sens, cel – i było na swoim miejscu. Cenił wyobraźnię i zarazem szanował narracyjny rygor. Swoje opowieści nasycił nie tylko anegdotami oraz biograficznym konkretem, ale też informacjami czysto fachowej natury – i czynił to z wyczuciem właściwych między nimi proporcji. W swoje morskie gawędy wplatał małe rozprawy (o eseistycznym charakterze) o działaniu nawigacyjnych przyrządów, historii dalekomorskiej żeglugi, nadzwyczaj kompetentnie i atrakcyjnie przedstawiał dzieje rodzinnych stron (Oszmiańszczyzna), rozprawiał o uprawach brazylijskiego orzecha i wpływie gwiazd na postępowanie człowieka... Starał się możliwie jak najrzetelniej i zarazem delikatnie zindywidualizować zachowanie oraz duchowy profil swoich bohaterów. Troszczył się też o to, aby dyskretnie chronić specyfikę nie tylko własnego głosu, ale i głosów przywoływanych postaci. Do tego celu z powodzeniem wykorzystywał bogaty repertuar marynarskich idiomów („zdej-mować się z kotwicy”, „lecieć na kursie”, „położyć się na dryf”, „stanąć na sterze”...) i jednocześnie z charakterystycznym dla siebie poczuciem humoru zabawiał czytelnika historyjkami o tym, w jakież to na przykład konfuze

wprawił świeżo zaokrętowanego uczniaka rozkaz starego okrętowego wygi: „Idź na bak do kabelgatu po marszpikiel”.

I z tym problemem również trzeba było sobie poradzić: i w życiu, i w opowieści o nim. Albowiem – w zakończeniu *Znaczy Kapitan* przypomina Borchartt słowa kapitana Stankiewicza – „Znaczy wszystko musi być zrobione PORZĄDNIK”. I to powinno wystarczyć.

TADEUSZ DĄBROWSKI

List

Wczoraj wysłałem ci list. A dzisiaj przez telefon mówisz, że jesteś w ciąży. Pakuję się i wracam, witasz mnie na lotnisku, jesteś jeszcze piękniejsza niż w moim liście, który idzie do ciebie. Budujemy dom, nasze dziecko rośnie, nasi rodzice się kurczą, potem kilka lat potu i łez, w których przezornie kisimy kapustę, ogórki na coraz zimniejsze dni. W kolorowance naszego życia jest coraz mniej białych pól, kredek ubywa, staramy się być dokładni, lecz i tak wychodzimy poza linie. Krzątamy się wokół codziennych spraw, a nasze ścieżki są coraz głębsze, zaczynają przypominać tunele. Tymczasem mój list do ciebie idzie. Otworzysz go wtedy, gdy będzie ci wygodnie.

Spotkanie autorskie

Wychodzili pojedynczo, uniżenie, dyskretnie, pani z lewej na skruszonych palcach, ten z pierwszego rzędu miał trudniej, ale dał radę. Zostałem całkiem sam naprzeciw niezmordowanego autora, który czytał, popijał wodę i czytał, popijał wodę i czytał. Wiedziałem, że jeśli wstanę, odbiorę mu nadzieję, a może nawet życie, jakbym odłączył go od kroplówki. Siedziałem zatem, a on czytał niespiesznie, bez komentarzy, anegdot, bez przerwy i tylko czasem popijał wodę. W pewnej chwili spostrzegłem, że mówię sam do siebie.

Pocztówka z Wambierzyc

Mieszkańcy Wambierzyc są wybrani. Pani z mięsnego, który przylega do kaplicy, pewnie oddziela tasakiem dobre od złego. Kaleka na ławce siedzi tam już od wieków. Pijak o stałych porach wyrusza do spożywczego, żeby przemienić puste w pełne. Wszyscy mają jasność, że są figurkami w ruchomej szopce. Codziennie drepczą utartymi ścieżkami swojej wolnej woli. Dym pyka z komina, kur pieje, kornik drąży serce, powietrze można kroić nożem. Imadło nocy wyciska z domów światło. Tylko nad Golgotą wyje wiatr. Mieszkańcy Wambierzyc czekają na Chrystusa, który jak ksiądz po kolędzie przyjdzie i pójdzie.

Remont elewacji

Tynk opada z murów klasztoru kapucynów, dłuta pracują miarowo, nie dają spać. W moim kraju nad Wisłą intronizują na króla Jezusa Chrystusa, a ja słucham w szwajcarskim miasteczku, jak rozkwitają kwiaty, szeleszczą banknoty, jak ptaki głosują przeciwko globalnemu ociepleniu, i jak opada tynk z siedemnastowiecznych murów klasztoru. Trzy stare siostry zakonne już mnie znają, są jak gołębie pocztowe z przetrzebionego stada podczas ostatniego lotu, mają problemy ze słuchem, więc dziwią się, gdy tłumaczę, że nie mogę spać, bo dłuta miarowo zbijają tynk z siedemnastowiecznych murów klasztoru Maria Opferung, odsłaniając zbutwiałe rusztowanie krzyżowe. Tymczasem nad moim krajem wschodzi tęcza i tłum radosny niesie

na kiju waginę wpisaną w hostię, z cokołów spadają pomniki księży, którzy chcieli precyzyjnie się do raju przez ucho igielne dziecięcych odbytów i pochew. Ptaszki śpiewają, a pszczołki bzykają w ogrodach klasztoru kapucynów w Zugu, gdzie trzy stare siostry zakonne cierpliwie czekają na powołanie do wieczności. Promenadą nad jeziorem, które przypomina jezioro Genezaret, spacerują z wydętymi brzuchami przyszłe matki. Godzinę stąd od zastrzyków z trucizną umierają zmęczeni życiem właściciele życia. Remont ciągnie się już trzeci miesiąc, nie mogą spać, chociaż siostry twierdzą, że tylko w dzień dłuta pracują miarowo, zbijając tynk z murów klasztoru. Dzwony pustych kościołów dzwonią co kwadrans, dzwony u krowich i baranich szyj dzwonią niemal bez przerwy. Poza tym cisza, kondukt żałobny chmur, duszący zapach przekwitających glicynii i tynku ze starych murów klasztoru kapucynów, który już w przyszłym roku będzie wyglądał jak nowy, o ile wierzyć majstrom i trzem zakonnym siostrą o ciałach zwapniałych i kruchych.

ŁUKASZ NICPAN

Starożytny tors Apollina

Mieszkaliśmy wtedy w sublokatorskim pokoju
w willi na Żoliborzu Oficerskim, rok po ślubie
pokój z alkwą, okno od ogrodu
dwujęzyczny tom Rilkego w czarnej obwolicie

nie znałem niemieckiego, z pomocą przekładu
Mieczysława Jastruna na sąsiedniej stronie
starożytny tors Apollina (Archaïscher Torso Apollos)
składałem słowo po słowie

w nocy, gdy Hala już spała
za firanczką w alkwie
gdy w dzbanku herbata Madras
naciągała i nowy żarzył się papieros

dobrnąłem do końca i przeżyłem wstrząs
Du mußt dein Leben ändern (musisz swe życie zmienić)
przeczytałem i przebiegł mnie dreszcz
bo już wtedy było za późno

już wtedy, czterdzieści lat temu
tamtej nocy w sublokatorskim pokoju
(na którym to było roku? jeśli dobrze liczę na trzecim)
zrozumiałem, że już jest za późno
aby cokolwiek zmienić

przeraziłeś mnie wtedy, Apollo
czarny duchu z roztrzaskanej białej rzeźby

Realizm poezji

Starych tramwajów pałacowe wnętrza
drewniane ławki z poziomych deseczek
drzwi rozsuwane oburącz
od wąskiej jak lokaj gumowej szczeliny
po głębię karawanu z jednym pasażerem

łuk torów obiega Planty
przecina nawę główną
średniowiecznego kościoła
i przez kaplicę ze śpiącą
w różowym marmurze dynastią
wjeżdża w starość graną przez młodych aktorów

ten w roli motorniczego w ciężkim baranym kozuchu
ta w roli bileterki z wiszącą na szyi latarką
życiowe role obojga

on dzwoni i kręci korbą
ona naciska szczęki sprężynowego dziurkacza
i sypie się na jej buty
różowo-zielone confetti
jak z filmów Wojciecha J. Hasa

oto realizm poezji

Chwila przed burzą

Czarny spaniel zasnął na kanapie
uciemiężony upałem
cały dzień czatował nad stawem
na żaby i mroczne karasie

nad połaciowymi oknami
w skośnym dachu ciemnieje niebo
burza już blisko, niedługo zagrzmie
wiatr się zerwał i kładą się drzewa

trwają piękne wakacje starości
już nie mamy prawie żadnych obowiązków
wstajemy późno, niebo jak z Toskanii
świeci nam od dobrych dwóch tygodni

tu, na środkowym Mazowszu
gdzie to wszystko niedługo się skończy

mówiąc „to wszystko”
siebie mam na myśli

widza
nie widowisko

RENIA SPIEGEL

Pamiętnik 1939–1942 (fragmenty)

Dnia 31.I.1939

Dlaczego właśnie dziś zaczynam mój pamiętnik? Czy zdarzyło się coś ważnego? Czy dowiedziałam się o dzienniczkach moich koleżanek? Nie! Po prostu szukam przyjaciela. Szukam kogoś, komu mogłabym opowiadać moje troski i radości życia codziennego. Kogoś, kto by czuł to, co ja czuję, kto by mi uwierzył, kto by nigdy nie zdradził moich tajemnic. Ponieważ zaś takim przyjacielem nigdy nie może pozostać człowiek, więc postanowiłam uczynić moim powiernikiem pamiętnik. Od dziś kochany Pamiętniku rozpoczynamy bardzo gorącą przyjaźń. Kto wie, jak długo będzie ona trwała? Może nawet do końca mego i Twego życia. W każdym razie ja będę dla Ciebie szczerą i otwartą i opowiem Ci wszystko. Ty w zamian wysłuchasz moich myśli i trosk, ale nigdy nikomu o nich nie powiesz i będziesz milczał jak księga zakłeta, zamknięta zaklętym kluczem, ukryta w zaklętym zamku. Ty mnie nigdy nie zdradzisz, chyba zrobią to te małe niebieskie literki, które umieją rozpoznawać ludzie. Przede wszystkim muszę Cię zapoznać z sobą. Chodzę do trzeciej klasy gimnazjum imienia Marii Konopnickiej. Nazywam się Renia, a przynajmniej tak nazywają mnie koleżanki. Mam małą siostrzyczkę Ariankę, która ma zamiar zostać artystką filmową (i w części wypełniła ten zamiar, gdyż gra w niektórych filmach). Mamusia stale przebywa z nią w Warszawie. Dawniej mieszkałam w ślicznym dworku nad Dniestrem. Było mi tam bardzo dobrze i dotychczas były to chyba najszcześniejsze chwile mojego życia. Na starych lipach mieszkały bociany, w ogrodzie lśniły jabłka, a w moim małym ogródku widniały śliczne równiutkie grządki. Ale to już



dawno minęło i nie wróci, nie ma ani dworku, ani bocianów na starych lipach, nie ma jabłek ani kwiatów. Chyba jedyne co pozostało, to wspomnienia słodkie i miłe. Chyba jeszcze Dniestr, co płynie tam daleki, obcy i zimny, ale nie szumi już dla mnie. Teraz jestem w Przemyślu i mieszkam u babci, ale właściwie nie mam domu i dlatego mi czasami jest tak smutno, że muszę płakać. Płacę choć mi niczego nie brak, ani sukienek, ani słodyczy, ani nawet dziwnych i jak drogich mi marzeń. Brak mi tylko jednego

I teraz znów muszę płakać
Kiedy wspomnę te dawne chwile
Lipy, domek, bociany, motyle
Daleko... gdzieś... daleko
Ciągle widzę i słyszę
Jak wiatr do snu drzewa kołysze
Nikt mi tego nie powie
Że mgła jest, że jest cisza
Że to hen, że mrok, wieczorem
To kołysanie ja zawsze usłyszę
Widzę nasz dwór i staw
I lipy za dworem...

Ale także miewam chwile wesołe i tych jest dużo... dużo... Abyś zrozumiał moje wszystkie „kawały i bzdury”, muszę zapoznać Cię z moją klasą... Sąsiadka siedząca najbliżej mnie i zarazem moja jedyna przyjaciółka to Norka. Ktoś może powiedzieć, że mu się Nora nie podoba, inny może być nią zachwycony, mnie Norka podoba się zawsze jednakowo i dla mnie jest zawsze tą samą słodką Norką. Obie mamy zawsze takie same myśli, zdania, poglądy. Ponieważ zaś w naszej szkole jest zwyczaj „bujania się” w profesorach, więc także z Norką „bujamy” się zupełnie szczerze (niektóre robią to, żeby się podlizywać) w łacinnicze p. prof. Walerii z Brühlów Brzozowskiej, słowem w „Brühli”. Brühlcia jest żoną przystojnego oficera mieszkającego we Lwowie, co drugą niedzielę jedzie tam. My starałyśmy się przez biuro adresowe dowiedzieć się, gdzie mieszka, ale nie można, gdyż nie wiemy, jak on się właściwie nazywa, nazywamy go „Zdzisław”. Brühlcia uczy łaciny, a ponieważ umiemy ten przedmiot, jest to dowodem, że naszą Walunię kochamy szczerze. Dalej siedzi Belka, czyli „Belania”, gruba, przysadzista jak diabłów trzysta! Dziewczynka o wybitnych zdolnościach naukowych i jeszcze większych zdolnościach zdobywania antypatii. Ona „buja się”

w p. prof. Skorskiej na zabój i robi głupie miny, patrząc na nią. Dalej siedzi Irka (ira-ae-gniew). Irki nie lubię i leży to już we krwi, to znaczy, że nienawiść ta jest dziedziczna, albowiem moja mamunia nie lubiła zbytnio jej mamy, gdy chodziły do gimnazjum. Jeszcze bardziej zaczęłam jej nie lubić, gdy ona rozpoczęła pode mną „kopanie dołków”, to wszystko plus jej niesprawiedliwe świadectwo i wstrętne podlizywanie się, kłamanie oraz fałszywość daje nienawiść. Do tej mieszaniny trzeba dodać, że Brühlcia chodzi do niej do domu, co zbadałyśmy, i że jej, to jest Irki, matka chodzi do Brühlci, co wykryłyśmy, zaglądając przez parterowe okna, gdzie mieszka Walunia, a pod którymi niejedną przeczekaliśmy z Norą godzinę; daje to, że jej nie cierpię! Ale w szkole w jednej klasie jakoś trzeba żyć. Więc Nora i ja zaciskamy pięści i czekamy sposobności. Koleżanki siedzące obok niej są mi całkiem obojętne, albo je lubię trochę. Za to w ławkach tylnych siedzą dziewczynki, które obchodzą mnie nieco więcej, a więc np. Luna, ta siedząc za mną, stale bombarduje mi plecy. Sama uważa się za istotę bardzo zdolną i nadprzyrodzoną. Na zabawie i w ogóle wszędzie „coś udaje”, stara się zawsze zrobić coś takiego, co by uwidocznilo jej urodę (której nie posiada), niepospolite zdolności (które sobie uroiła) i swoją ważność (której nigdy nie miała). Za to Luna podoba się, a przynajmniej stara podobać się chłopcom, więc ponieważ jest mała, nosi wysokie obcasy, przydłuża sobie brwi i pudruje się. Początkowo puder „pożyczała” sobie od Irki Łozińskiej i robiła to niby dla „hecy”. Teraz już tego nie robi dla „hecy”, tylko zupełnie serio. Irka Łozińska jest chyba najpiękniejsza w naszej klasie, a może nawet w całej szkole, nawet nie razi już jej ciemny, prawie pomarańczowy kolor twarzy (oczywiście z pudru) ani jej wyniosły ton, ani twarde słowa wypowiedane cudnymi jak korale ustami, które rozchylając się, ukazują przepiękne, śnieżnej białości zęby. Ale ta Irka ma jedną z największych wad, bo Irka ma gruźlicę... Tak, czasami miewa krwotoki ustne i nosowe. Żal mi Irki, ona ma narzeczonego i on kocha ją też, ale on nie wie, że jego narzeczona ma tę straszliwą chorobę. Irka siedzi w ostatniej ławce. Obok siedzą jeszcze dwie kamienne postacie. Halina (bardzo niedobra) z fantastycznie ułożonymi włosami i Sławka, co robi zawsze zdziwione miny, nigdy nie odpowiada i starannie ukrywa pod ławką Halinę, która tam znajduje schronienie przed odpowiedzią. Dalej siedzi trzecia już z kolei Irka, chuda jak szczypa i bardzo brzydka. Obok niej Elza, moja dawna sąsiadka. Gra rolę niewiniątka, ale przekonałam się, że to tylko gra. Całkiem nieźle się uczy, ale świadectwo ma zawsze lepsze, niż jej się należy. Zadanie łacińskie podobno odważa od trzeciej Irki... ale co to kogo obchodzi. Dalej siedzi wójt naszej klasy, Krzyśka. Krzyśka nic nie umie, mówi, jakby miała kluski z piaskiem w ustach, ale jest ładna, tonie

i ginie jak w labiryncie w swoich Zbyszkach, Sławkach, Leszkach, Zdzisiach itd. Jest przyjaciółką Luny. Przed nią się wygina pierwsza Eda (jest ich trzy). Eda to „dama z pazurami”, jest zaręczona, ma śliczną figurę i w ogóle i w szczególności. Druga Eda to dawna przyjaciółka Belki, też buja się w pani Skorskiej, lecz historii nie umie, a to już podejrzanego. Trzecia Eda to był jeszcze przed kilkoma miesiącami nasz wróg. Wyobraź sobie, drogi Pamiętniku, obca „przybłęda”, przyszła z jakiejś Pipidówki i już się chce wybić i już ma zamiar pograć nas w dziedzinę ograniczonych umysłowo, uważając się za osobistość „wszechstronnie uzdolnioną”, autentyczne. Przed Edą siedzi Luśka z Dziunką. Dziunka wykonuje ruchy „nerwowo-tektoniczne”. Gniewałam się z nią przeszło rok, ale na imieniny Brühli przeprosiłam się. Dziunka uchodzi w klasie za zawodową nudziarę i jest nią w rzeczywistości. Luśka jest durna, głupia, ograniczona umysłowo itd. Jej to można nagadać, co się komu żywnie podoba. Ale jest całkiem fajna kobita, zawsze tańczy ze mną na zabawie „andruszowski” taniec. Kiedy raz Luśka wyrwała się na matematyce i darła się wniebogłose „Psze pani psorki, ja już tak dawno nie byłam pytana, ja tak lubię matematykę”, wtedy mówi Nora: „No wiesz Luśka nie graj wariata”. „O, przypadkowo nie”, mówi Luśka, ale połapawszy się, jąkała się i błyszczała wybałuszonymi oczami. Przed nimi, to znaczy przed pierwszą Edą, Luśką i Dziunką, jest dziwna ławka, w której siedzą same „antyki”.

A więc Janka. Janka najlepiej w klasie „gra wariata”, żyje i żywi się wyłącznie podpowiedziami. Kiedy idzie do tablicy, na paznokciach ma cały dowód, a jeśli przypadkiem profesorka coś zauważyła podejrzanego, Janka poprzednio zlizawszy atrament, pokazuje świętą figurkę. Janka umie płakać, ryczeć, a nawet mdleć na zawołanie, coś a la 1-sza Eda, której nagle się robi słabo, jak Pacuła ma pytać wiersza. Janka w ogóle ma wielkie zdolności grandziarskie. Obok siedzi Wisia, mały szkrab, który mimo swych 15-tu lat nie jest wysoki na jeden metr. Trzecia z rzędu to Frejka albo Salka. Ta dostaje nerwowe ataki, czasami ze zderzenia nie może z siebie wydusić słowa, chodzi w jakichś kosmicznych skokach i dygach, w ławce bardzo często nie może „wytrzymać”. Godzi się jeszcze wspomnieć o Ninie, ta oryginalna dziewczyna, która wygląda jak niewinny baranek, ale otrzymuje listy od różnych „ludziów” na poste restante, umawia się wieczorami w ciemnych uliczkach i odwiedza samotnych panów, czym się szczyli. Jest całkiem miła. Takich w naszej klasie znalazłoby się znacznie więcej, ale jak już powiedziałam, te albo mi są obojętne, albo chcę, żeby się broń Boże do mnie nie przyczepiły, bo ja jestem „porządna dziewczyna”. Już od kilku miesięcy przygotowujemy zabawę. Było przy tym mnóstwo kłótni i sporów, ale zabawa odbędzie się już w sobotę.

Thomaj, a robie ten kryk. Wyliciałabym teraz na po-
wyciągnięta ręce i kopyta jak orala
Ty maju! Ty roju! Ty wiosno!
Kiwanoo! A potem, ... potem jest
jeden taki usciok. W którym by był
wszystko. Boie! Jaka jestem dziewczyna
Dostalem od mamy i tacie kartki. Smutek
kartki strasne! A mnie, mnie, ich
umiechu jest tak jasno i spiewnie?;
To strasny grech. Probaerzie mi.
Bo ja, to mnie

~~Rozum, teraz jestki i głowie~~
Wszystko jedno
ma strycku w piwnicy
ory o atyjajkiej drzebudny
ory u goe die
z takim plomyskiem
o sercu, dolne mi bzdrie u sercie
z takim spojzeniem
moina, na muna
spytując dno
nie jedna nosie oparku
le przyznajniej sto!

Dnia 2.II.1939

Kochany Pamiętniku! Ponieważ zawsze miałam tylko dobre z gimnastyki, w domu ćwiczę się w tym przedmiocie. Właśnie dziś zrobiłam pierwszego koziołka na rękach, czego nie potrafi żadna z moich koleżanek. Chodzę więc w triumfie z rozbitym kolanem.

Dnia 5.II.1939

Kochany Pamiętniku! Już nareszcie jest po zabawie! Jakże się cieszę. Udała się nadzwyczajnie i wszystkim, a zwłaszcza Brühli, się podobało. Ale po zabawie doznałam rozgoryczenia. I po raz chyba sama nie wiem który pomyślałam „szkoda, że nie ma mamusi”. A to wynikało właśnie stąd, że p. Oberhardowa pchała się do Brühli i podlizywała się jak mogła, z tego oczywiście w najbliższej przyszłości skorzysta Irka i jej młodsza siostra. O Pamiętniku, gdybyś wiedział, jak źle czegoś pragnąć, dążyć do tego pracą i wysiłkiem, by wreszcie u samego celu uciekło. Do czego ja właściwie dążyłam? Nie wiem. Otrzymałam najwyższe uznanie od Pacuły, na czym mi nie zależy (rozmawiała z nami, z Norką i ze mną). Brühlcia całkiem serdecznie. A jednak śmiem powiedzieć, że nie jestem zadowolona. Luna miała bis, ja też miałam bis. Dziś widziałam Brühlcę z Oberhardową, szła najprawdopodobniej od niej. Gdy pięknie się ukloniwszy, minęłam ją, mówię do Nory „I co ty na to? Ona była u niej znowu co?”. Nagle widzę, że robi do mnie jakieś głupie miny, patrzę, a też za nami sunie Brühla. Wala strasznie źle wygląda, nie wiem, co jej jest, chciałabym się jej przydać, pomóc, poradzić może, ale przepaść, która nas dzieli, jest taka duża, taka bardzo duża... Może większa niż ta, która mnie dzieli od mamusi, co by mi też mogła pomóc, poradzić, ale trudniejsza, o! trudniejsza do przebycia.

Dnia 8.II.1939

Kochany Pamiętniku! Już kilka dni nie opowiadam Ci nic z moich przeżyć, ale właściwie nie zdarzyło się nic szczególnego. Życie biegnie stałym korytem z wyjątkiem kilku drobnych wypadków. A to Brühla była na zjeździe łacinistów, więc łacinę miał Skorski. Profesor Dziedzic bardzo chwalił Irkę (niesłusznie), Belka złapała singla, mnie się udało, ale obawiam się jutra, bo to bywa fatalny dzień. To wszystko, o czym Ci musiałam powiedzieć.

Dnia 11.II.1939

Dziś pada deszcz... dzień jest taki smutny i szary. Ale mnie nie jest wcale tak bardzo smutno, nie wiem dlaczego. Może pocieszam się wyjazdem do Kanady,

gdzie może wcale nie być dobrze, może dlatego, że robię grecką wazę, w każdym razie nie jest mi tak smutno jak w zwykłe słotne dni, kiedy stoję przy oknie i liczę łzy płaczącej szyby. Jest ich dużo, jedna mała płynie, druga większa tuż za nią, a tu piąta i szósta... a tu na moim policzku także dwie. Płyną wszystkie, jakby chciały upaść na mokrą, błotnistą ulicę, jakby ją chciały zabrudzić, jakby chciały zrobić dzień brzydki, może jeszcze brzydszym niż jest. A ten dzień jest taki tajemniczy. Jak... jak kosz ze śmieciami. Bo wszyscy uważają, że to drobnostka, że to po prostu nic. Ale jest inaczej. Nie wiem. Ludzie mogą się ze mnie śmiać, ale Ty na pewno mnie zrozumiesz, drogi przyjacielu. Otóż czasami zdaje mi się, że rozmawiają różne martwe przedmioty. (Właściwie wcale nie martwe, bo one mają takie same dusze jak ludzie). Czasami zdaje mi się, że się wodociąg śmieje, ale to nie tylko mi się zdaje, jest tak na pewno. Jednak różni ludzie różnie ten śmiech nazywają i nigdy nie przychodzi im na myśl, że to jest właśnie śmiech.

Dnia 14.II.1939

Dziś nic szczególnego. Przemysł przygotowuje się do ataku gazowego, a ja przygotowuję się do ataku apopleksji, a wszystko ten poniedziałek! Byłam pytana z chemii, umiałam! Cholera, Dziedzic chciał mnie zmylić.

Dnia 26.II.1939

Od kilku dni jestem zajęta, przyjechała Arianka. Jutro jest zebranie, więc muszę pisać sprawozdanie.

Dnia 28.III.1939

Boże, jak mi smutno, jak bardzo smutno... Chciałabym tylko płakać, płakać i łkać. Czy potrafię wyrazić słowami, jak mi źle? Nie... tego nie potrafi nikt. Mamusia już odjechała, kto wie, kiedy ją zobaczę? Z Norą gniewam się od kilku dni, przez co muszę „chodzić z lrką” – to również na to wpływa. A wreszcie wspomnienia... one są zawsze i choć wywołują łzy i serce mi się kraje, to są najśodsze. One pochodzą z najpiękniejszego okresu mojego życia. Teraz już wiosna! Tam było teraz tak dobrze, śpiewały ptaki i kwiaty, niebo, serce i szczęście! Tam teraz myślano o świętach. Ale jakie one były inne niż wszystkie tutejsze. Były takie błogie, ciepłe, serdeczne, ja je tak bardzo kochałam. W wieczór sederu czekałam Eljasza i może był kiedyś, może przyszedł ten starzec święty popatrzeć na szczęśliwe dzieci. Lecz jeśli on dąży tylko do ludzi ubogich, jeśli nigdy nie ukazał się w otwartych gościnnie drzwiach, jeśli nigdy nie okazał się moim oczom, to musi przyjść teraz, musi przyjść, kiedy nie mam już nic... nic

prócz wspomnień... Dziadzio jest chory. Mamusia bardzo boi się o mnie. O!
Jak mi źle! Czasami nie jem umyślnie, aby uniknąć...

Wszędzie czyha na mnie
Wszędzie się skrada
Upiorna, koścista blada
Wyciąga zgłodniałe dłonie
I mówi i szepce „do mnie”
W każdym kęsie
W każdym prochu
Czeka i wzywa i czeka
Grozi mi dłońmi trzęsie
Palcem na mnie kiwa
Patrzy, czeka i wzywa...

Dnia 2.IV.1939

Już po rekolekcjach. Dnie te spędziłam niewesoło. Gniewałam się ciągle z Norą i przyczepiła się do mnie Irka, więc z nią trochę chodziłam. Już pod koniec nie miałam nawet dobrej książki. Zbliżają się święta. Teraz uczę się francuskiego, a o ile nie będzie wojny, może wyjadę do Francji. Dawniej już miałam jechać, ale najpierw Hitler zajął Austrię, potem Sudety, Czechosłowację, Kłajpedę i nie wiadomo, co teraz robi. Więc tak wpływa on po części i na moje losy. Chciałam napisać wierszyk dla Arianki, jeśli się uda, to będę się bardzo cieszyła.

Gdy kokoszka była chora
Zaraz poszła do doktora
I powiada:
Niechże mnie pan doktor zbada
Bo ja jak się ziryтую
To mnie coś pod sercem kłuje
Coś mnie dusi coś mnie gniecie
(jak ja cierpię na tym świecie!)
No potem nagle czuję
Że mi słabo
Jedzenie mi nie smakuje
Spać nie mogę aż do rana
A w dzień się na nogach ślaniam

Z migreny mało nie tracę głowy
Kolor mam twarzy pomidorowy
A rano kiedy mój mąż zapieje
To mi od razu czubek sinieje
I następuje atak nerwowy.
A jeszcze dodam doktorze złoty,
Że biją na mnie wciąż 7-me poty.
Doktor na tyle chorób
Stracił swój zapas humoru
Dumał... dumał
Nad księgami siedział
Wreszcie kokoszce tak odpowiedział:
„Nie ma środków.
Trudna rada pani kokoszce umrzeć wypada”.
– Umrzeć?
Proszę pana doktora!
Przecież ja wcale nie jestem chora!



Renia i Ariana przed wybuchem wojny.

Dnia 18.VI.1942, czwartek

Dziś jest moje święto. 18-tego skończyłam 18 lat. I jestem pełnoletnia, ale nie umiem wiele. Zaznałam już wielu smutków i trosk, wiele radości i miłości też dość. A sama umiem bardzo mało, nawet nie wiem, co powinnam umieć. Teraz dobre mam samopoczucie i jest mi, no... nie najgorzej, dzięki Bogu. Nora to jest słodka, dobra istota, która cierpi dlatego, że mało umie. To dziwne, jak my się wszystkie przyciągamy nawzajem, my w wysokim stopniu „samokrytyczne”. Jej się podoba Maciek. To byłoby świetne, no nie?! A dziś jaki był dzień? Rozbiłam sobie głowę. Potem wszyscy się zeszli, było dość miło. Od

Norki dostałam album, skończony, oprawiony, cudny! Ach, to nasze słodkie, kochane, dobre. Coś, co wznosi, co uszlachetnia, i jeszcze jeden spełniony sen. Noruś, ja wierzę i Ty wiesz, że nie ostatni... Od Zygą pomadki i dwa piernikowe serca, od Irki kwiaty i perfumę, a Maciek przysłał róże i kartkę, żeby się spełniły nawet najśmielsze sny. A ja? Cóż mogę wiedzieć, mam czasem myśli o sławie, o jakimś wzbiciu się wysoko i fruwanu po świecie, ale nie tylko myślami, ale czasem chcę być tylko przeciętną – mieszczką, matką. Chcę, bardzo, bardzo, mieć dzieci, które by były szczęśliwe i dobre, prawe, szlachetne i uczciwe. Kto wie, które z tych zadań jest wznioślejsze, które trudniejsze. Ach, dobrze mi, Mamusku, i wiem, że tyle czułych, ciepłych słów leci do mnie od Ciebie. Czy wiesz, że mam już 18 lat. Tak, i wierzę, i kocham tych, których kochałam. Postanowiłam pracować nad sobą od dziś. Jeszcze czas, jeszcze można czymś być. Kto ma życie duchowe, kto potrafi mieć życie takie, musi je mieć na czym budować. Nie każdy opiera życie na pięknych nogach. A tak, tak, tak... Czy mam powiedzieć to coś. No tak, powiem, bo to jest jak ziarnko piasku, które tkwi w muszli i z którego powstaje perła. Cierpienie jest perłą w miłości. Byłam zła przez Irkę z Zygiem. Ja już sobie nie wyobrażam inaczej tego, tylko tak, że każda przyjemna chwila będzie przez coś zatruta. Ale słodki był, prawda, i kochany, jutro przyjdzie. A jeśli nie ten sen, to na wyżynach hen. To pożegnanie mnie zezłościło. Lecę jutro do Noreczki po Kićka, dobranoc. Mamusiu, całuję Ciebie mocno, przytulam się do Ciebie, tak jak zawsze. Ty mnie najwięcej kochasz z nich. Twoje życzenia są dla mnie drogą i błogosławieństwem w życiu. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Dnia 19.VI.1942, piątek

I Bóg ocalił Zyga. Ach, jestem załamana. Całą noc wywozili. Zebrali tysiąc dwustu sześćdziesięciu chłopców. Jest wiele ofiar, ojców, matek, braci. Krwi naszej czerwieni się morze, przebac nam winy, wysłuchaj nas, Boże! Straszna to była noc, za straszna, żeby o niej pisać. Ale Zyguś jest, jest tu, był, mój słodki, słodki kochany. Było bardzo dobrze, przytuliliśmy się i dzióbali bez końca. I prawie zapomniałam o tym, co było wczoraj, a wczoraj były przecież moje urodziny, wczoraj mógł mi tego zaoszczędzić. Ale on już taki jest. To jest usposobienie, natura. Lubi „kobiety”. Ta Zośka, uff, „ruda mgła” była tu też. Ale jak głupio ja zrobiłam, że pokazałam ten wiersz, nawet Z. to przyznał. Ale trudno, to jest istotne właśnie. Zresztą można mówić i pisać, ale nie robić. I naprawdę było mi tak rozkosznie dobrze, że to jest warte wszystkich cierpień. Ale czasem myślę, że nie warto, że ta natura za dużo kosztuje kochającą kobietę.

Noc czerwcową
brzemienną
gęstwiną ciemności
noc... rozpostarta
nade mną.
Noc samotności
Przyszła. Nieodparcie
stanęła u nóg
z dręczącą twarzą
i wpięła szpony
w lepki mózg
i marzę...
Nagie myśli
odarte z szat
przeciągają pod czaszką
bezglśnie
i bezlitośnie długo
trwa noc.

Czarnym ciężkim całunem
opadła nieruchomo przylgnęła
do ciała
milcząca, zajadła
zadrżałam
Cicho kielich
otwiera kwiat
z rozchylonej wargi
szepcą słowa
zapach jaśminów
pąków dojrzewających
Trzask
zwolna ginące rozdrażnienie
zmysłów westchnienie ulgi
i słodkie marzenie
brzask...

Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Dnia 25.VI.1942, czwartek

Od czego zacząć. No nic. Powiedzieć po prostu prawdę. Przepłynęła fala złego i dobrego. Teraz jest dobrze, bo zawsze dobrze jest marzyć, całować się. Ale dziś nie „płonę”, nie rwę się jak pies na uwięzi – a przecież tęsknię. Bo dziś Z. powiedział okropną rzecz. Powiedział, że chce czytać dzienniczek, bo pobudza go, to ma być dla niego podnietą. Słuchaj, Dzienniczku, kocham Cię, kocham Cię, bo jesteś moją duszą, żyjesz tysiącem moich jasnych wspomnień, płaczesz łzami mojego dawnego smutku, ale nigdy, przenigdy nie pisałam Cię po to, byś był podnietą w miłości! Więc muszę ciągle rozdzierać głębie mojej duszy, muszę rozkrawać serce, żeby on mi uwierzył, żeby mu było przyjemnie? A ja, dlaczego ja kocham bez podniet. (Bo moimi podnietami są marzenia). Ale nie zdaje mi się, że życie nie składałoby się tak sielsko anielsko. Życie zawiera tyle gorczy, nie trzeba szukać, aż tego, więc dlatego Zygmunt był taki, no właśnie taki, bo już za dużo jest słodkiego.

gdy troska zaśnie
nie budź jej
w życiu gorczy tyle
najgorsze zło wypływa z niej
gdy troska zaśnie
nie budź jej.
Raduj się wtedy ciesz się śmieję
tak krótkie są te chwile
Gdy troska zaśnie nie budź jej
w życiu gorczy tyle!

I zdaje mi się, że chociaż Z. jest dobry i czuły, i śliczny (bo dziś był śliczny naprawdę), ale dziwnie spokojny. Ja już to myślałam sobie nieraz. Piszę i myślę, i jestem zła, jak dziś, ale jak się tylko przytulę, przygarnę, to jestem znów wniebowzięta. Och, co ja zrobię?! A marzenia są też najcudniejsze i tak już będzie, musi być! Czy można kogoś kochać i nie lubić? Ty mi pomożesz, Buluś i Boże!...

Dnia następnego.

Prawdopodobnie można. Nie, dziś nie mogę tego napisać, bo jestem zła. Z., ten który potrafi być taki bliski, taki ciepły jak moje serce, potrafi być taki obcy. Tak, no bo obcy wczoraj był. Jest mi ciężko i dziwnie ponuro. Jak ja się cieszę, że mam moje wiersze! Moje wiersze. Jak ja je kocham. To nieprawda,

Z. nie jest wcale dla mnie dobry! Ma takie powiedzenia, np. teraz zmieniam gust. On to mówi z wyrachowaniem, mówi, żeby mi dokuczyć, a jeżeli się kogoś kocha, to mu się nie dokucza. Całe życie jest pochmurne, a na naszym skrawku niebo było błękitne, a teraz nie ma już nic. Zdaje mi się w takie dni jak dziś, że byłoby nam ze sobą źle. Ale ta myśl mnie boli. Och, Boże, czemu mnie to boli? Jest mi okropnie ciężko, chciałabym, żeby już była sobota. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże!...

Dnia 27.VI.1942

Sobota wieczór.

Dobry, spokojny, cichy, błogosławiony wieczór sobotni. Uciszyło mi się w duszy. Dlaczego? Bo znów wtuliłam się, pieściłam się, bo czułam się malušką córeczką. Zapomniałam wszystko złe. Szkoda, że Zyguś odszedł. Szkoda, bo tak przytulona mogłabym leżeć długo, długo. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże!...

Dnia 28.VI.1942, niedziela

Teraz jest cicho, spokojnie i dobrze. Chciałoby się znów przytulić, tylko przytulić i usnąć, to było coś, na co nie ma słów. To był. Nie wiem, co piszę. Bo jest ciemno. Ach, jak pachnie noc. To był lot wspaniały, diabelsko-niebiański. Zrobiliśmy duży krok. Ku Temu czczonemu przez ludzi Z.! Czemu, czemu dopiero za pięć lat. Przecież już dziś, już dziś. Źle było z moimi nogami. Ach, jakie było to słodkie, co Z. mówił: jestem dojrzała. A z Marysią też było słodko, bo ja strasznie lubię takie słodkie tatusiowo-mamusine. To może wolę, jak to – zresztą wszystko jest cudne. Boskie i bardzo ludzkie. Jak bym już chciała przytulić się znowu i powiedzieć: Och Tatuleńku Najdroższy! Idę marzyć słodko, spokojnie. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże!!!

Dnia 29.VI.1942, poniedziałek

I powiedz, Zyguśku, jak mam wytrzymać te dwa dni, te dwie noce? Przecież godziny są dziesięć razy dłuższe. Och, jak one się wloką wstrętne, nieznośne, ciężące. Jak to się właściwie stało, że wypłynęło to, co się piętrzyło i rosło, i rosło? I czy zawsze będzie już tak? Czy zapagniemy czegoś więcej i kiedy, och, kiedy? Bo ja nie chcę dziś, ale chce tego ciało moje, domaga się, żąda. Czy nie jest zawsze tak na co dzień już. I dziwne, że ja nie potrafię wrócić do tego dawnego. Dojrzałam, przejrzałam. I dobrze myśleć, i chcieć, i skończyć – ale jak? Przestrasza mnie to wszystko. Bo to jest trzeźwa myśl. Za trzeźwa. Ja mogę myśleć o tym fakcie jako o już dokonanym albo bieżącym, ale jak dojść,

nie! Nie! Po prostu nie chce mi się myśleć. I dlatego jak obuchem w łeb podziałam na mnie ten list. Buluś Kochana, Dobra, Serdeczna, już wiem, że Ty chcesz dobrze, wiem, bo ja też chcę tego, bo to jest moim przeznaczeniem. A czy ty wiesz, jakie to jest bardzo absurdalne, to największa iluzja pod słońcem. Teraz, teraz właśnie jak przeczytałam Twój list, to pomyślałam, że nie istnieją do tego żadne trwałe, poważne podstawy. Ach, ty kobieto, która wiele przeżyłaś, wiele wiesz, Ty, która każesz mi być praktyczną. Jakim Ty jesteś dzieckiem. A czy wiesz, że tak jak mi to przedstawiłaś, to wydało mi się, no (żeby nie zgrzeszyć), wprost niesmaczne. Pomyśl, dwoje młodych ludzi i... A Zyguś mówi mi złe rzeczy też, mówi dużo słodkości, ale i... on uważa, że się rozstać musimy, że za pięć lat, a ja będę 10 cm wyższa i ładniejsza. A ja nie będę ani taka, ani taka. Ale ładniejsza jestem zawsze po – kiedy mi błyszczą oczy i palą się usta, i płoną policzki. I Zyguś jest wtedy najpiękniejszy, ale ja wolę przesadzić przeszkody i marzyć, że już jest już... Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Dnia 5.VII.1942, niedziela

Przerażało, groziło, aż przyszło. Więc jednak stało się to, czego tak bardzośmy się bali. Getto. Dziś są już ogłoszenia. A my może zostaniemy tu, może nie. O Boże, wlałeś we mnie tyle nadziei i otuchy, że dzięki Ci za to. Jakie to straszne, ach, Ty nie wiesz, nic nie wiesz. Ty powędrujesz ze mną, bo, jakże, zabiorę przecież moją duszyczkę, moje zwierciadełko. Pomyśl, to, co tkwiło gdzieś w jakichś starych, poźółkłych od starości księgach, w zwojach zapisanego pergaminu, co żyło w legendach, o czym się ze zdziwieniem uczyło w szkole – stało się prawdą. Prawdą najprawdziwszą – a jak przerażającą. Boimy się wywozu, mają wywozić połowę ludności, och, Dido i Bimba. Boże, zlituj się. Takie mam straszne myśli, że grzech myśleć o nich. Widziałam dziś wesołą, szczęśliwą parkę. Szli na wycieczkę, wracali rozbawieni, szczęśliwi. Zygusiu, Kochanie moje Najszczęśliwsze, kiedy my tak pójdziemy. Ja kocham Ciebie tak, jak ona go kocha, i patrzyłabym też takimi oczyma. Lecz o ile ona jest szczęśliwsza – to już wiem tylko. Albo żeby kiedyś jeszcze, o Boże, przecież jesteś litościwy, powiedziały jeszcze nasze dzieci: Nasz tatuś z mamusią mieszkali w getcie. O, ja tak wierzę. Ty nas wyratujesz, Wielki Boże, moja Materka tak modli się za nas. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Dnia 6 nie wiem, poniedziałek

Ma się tyle trosk i smutków, i goryczy, że wstyd mi pisać o naszym gniazdku. A to nasze jest słodkie, cudowne, uroczne. Jak dobrze jest mówić o gniazdku. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Dnia 10.VII.1942, piątek

Zegnaj Dzienniczku! Żał mi tych progów. Oby dał Dobry Bóg, obym Cię znów tu powitać mogła. Ty mi błogosław matenka z daleka i Ty, Boże, niech już wkrótce będę w domu (ale nie w getcie) i w naszym domu... Przeżyłam tu wiele szczęśliwych chwil, mile będę wspominać to mieszkanie, gdzie zakwitła i dojrzała moja miłość. Stoję w pośrodku przeprowadzki, bałagan jest okropny, muszę kończyć. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Dnia 15.VII.1942, środa

Zapamiętaj dobrze ten dzień, zapamiętaj, opowiesz go kiedyś pokoleniom. Dziś od 8-mej zamknięto nas w getcie. Już mieszkam tu i świat jest odgradzony ode mnie, a ja od świata. Dnie są straszne, noce też nie lepsze. Codziennie padają ofiary, a ja modłę się do Ciebie, Boże wielki, byś mi pozwolił ucałować moją matenkę. O Boże, daj zdrowie i siły nam. Pozwól nam żyć. Jest mi okropnie, Bimba chora. Nadzieja, och, jak się kurczy. Przed domem pachną kwiaty? I po cóż kwiaty? A Zygmunt, wiesz, nie widziałam go jeszcze, tj. widziałam dziś z daleka, ale nie był jeszcze. Boże, chroń tę Kochaną głowę. Ale czemu nie można się przytulić?... ach żal... Bo może on mnie... Boże, daj mi uściśnąć mamuszkę. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Dnia 16.VII.1942, czwartek

Pewnie chciałbyś wiedzieć, jak wygląda zamknięte getto. Ot tak zwyczajnie całkiem. Dokoła są kolczaste druty, na granicy stoi straż (policjant niemiecki i żydowska policja) i za wyjście bez przepustki grozi kara śmierci. Wewnątrz są sami swoi, bliscy, kochani, z zewnątrz są obcy. A w duszy jest bardzo smutno i serce bije na trwogę. Ot takie to życie. A jak ja dziś tęskniłam za Zygusiem, myślałam o nim ciągle, już tydzień nie widziałam go, tak bardzo tęskniłam i dzisiaj tęsknię, bo te dzisiejsze odwiedziny to nie były odwiedziny. Jaką ja miałam ochotę popieścić się – nikt nie wie. Przecież stoimy w obliczu takich groźnych faktów. Niech się jeszcze trochę popieszczę. Ale chyba dlatego że były trzecie osoby i bałagan w mieszkaniu, złożyło się wszystko dziwnie obco i zimno. Ale może w sobotę będzie lepiej... Tak, musi być. Musimy się popieścić za cały tydzień, a teraz będę marzyć jak dawniej. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Dnia 18.VII.1942, sobota

Upływają dnie. Wszystkie są takie same, jak krople deszczu. Najprzyjemniejsze są wieczory. Siadamy wtedy na podwórku przed domem, rozmawiamy,

żartujemy i ja też, wdychając woń ogrodu – zapominam... Zapominam o tym, o czym chcę zapomnieć. Że mieszkam w getcie, że mam tyle trosk, że znów się czuję „samotna i biedna”, że znów Z. stał się obcy, że pomimo całej tęsknoty nie mogę się zbliżyć. A jednak, jednak to nie jest takie współzycie, jak u innych parok. Tu na podwórku też gruchają sobie gołąbki. Tu wypływa cicho sierp księżycy i pachną słodko kwiaty i kiedy patrzę na to sama, to pytam: dlaczego? Trzy razy dziś powstrzymywałam się od płaczu. I zwałałam to na karb mieszkania, ale to nieprawda! Miłość może kwitnąć wszędzie, miłość serdeczna, ciepła... A my? Po mojej drodze zawsze przemykają cienie. Co to? Skąd te cienie, czy to może cień chmury, co płynie górą? Nie, niestety, to cień chmury czoła lub ot, co nie warto. Och, jak mnie boli serce. Nie, nie chcę prosić Boga o nic więcej, tylko o nasze ocalenie. Ale pomyśleć można, czemu nie. Pomyśleć, że się przytula głowę do mamusinowych piersi i płacze się tak słodko i dobrze, jak teraz... Mamuśki nie ma, jest Norka, do niej pójdę, wyskarżę się, ona kochana dusza, ona zrozumie. Pójdę, nie chcę widzieć znajomych, Irka się tu zamówiła, po co, nie mogę patrzeć na nią. Nie chcę z nią odnawiać stosunków. Wszystko jest głupie, obliczone, wyliczone. Czasem chcę już powiedzieć, a wszystko mi jedno, ale wtedy mówię tylko, ach, żeby się już raz wojna skończyła! Pa dzienniczku, tak mi ciężko jakbym miała ołowiane serce. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Najbardziej lękam się cieni
Gdy rano w biały dzień
przemknę cień
po mej drodze
Serce me drży spłoszone
i w każdą stronę
rozglądam się we twodze
cieniom nie można spojrzeć w twarz
cieni nie można uchwycić
dotknąć, zapytać, zaglądnąć weń
nawet się nie wie czyj to był cień
Pełza szarawa się ślizga
w dziwne zygzaki się mieni
i najbardziej lękam się cieni

Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Dnia 25.VII.1942, sobota

Dnia następnego rano! W nocy byli ordnerzy¹. Dido nie zapłacił jeszcze wszystkiego. Pieniędzy jest mało. O! wszak te pieniądze powinny padać z nieba, przecież to jest życie ludzi. Przyszły strasznie ciężkie dni. Mamuś, Ty nawet nie wiesz jakie. Ale czuwa Bóg, i ja, chociaż boję się okropnie, ufam Mu. Ufam, bo dziś rano poprzez mroki wpadł jasny promień słońca. Przysłała mi go mama w liście w cudnym swoim zdjęciu. I kiedy rano uśmiechała się do mnie z niego, pomyślałam, że Boska opieka nad nami! Bo przecież w najgorszych chwilach jest coś, do czego można się uśmiechnąć. Mamusku, módl się za nami. Ja całuję Cię mocno. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.

Wieczorem!

Dzienniczku, dobry, kochany mój przyjacielu! Już tyle chwil strasznych przeżyliśmy razem i teraz, teraz przyszła najstraszniejsza chwila. Teraz mogłabym się ulęknąć. Ale Ten, który nas nie opuścił wtedy, pomoże nam dziś. On nas wyratuje. Słuchaj Bogu Izraela², ratuj nas, pomóż nam. Ocaliłeś mnie od kul i bomb, i granatów, dopomóż mi wytrwać, dopomóż nam! Ty Mateńko módl się dziś za nas gorąco. Myśl o nas i niech Twoja myśl będzie błogosławiona. Mamusiu! moja najdroższa, Jedyna, idą takie groźne chwile. Kocham Cię całym sercem moim. Kocham Cię i będziemy razem. Boże chroń nas wszystkich i Zygmunta, i Dziadków, i Jaroškę. Boże, jedynie Twojej polecam się Opiece. Ty mi pomożesz, Buluś i Boże.



¹ Przedstawiciele Żydowskiej Policji Porządkowej (Judische Ordnungdienst).

² Nawiązanie do jednej z najważniejszych modlitw w judaizmie *Szma Jisrael* (Słuchaj, Izraelu! Wiekuisty jest naszym Bogiem [...]).

Nota

Renia Spiegel jest autorką pamiętnika, w którym opisuje dzień po dniu swoje życie jako młodej dziewczyny, od wybuchu wojny do śmierci w 1942 roku. Urodzona w zamożnej rodzinie żydowskiej na Kresach Wschodnich, Renia spędza lato 1939 roku z siostrą Arianą w domu dziadków w Przemyślu. Dziewczyny zostają tam aż do lata 1942 roku, kiedy zmuszone są do przeniesienia się do getta. Udaje im się uciec, jest to jednak ich rozstanie na zawsze: Ariana znajduje bezpieczeństwo i przetrwanie przygarnięta przez rodzinę Leszczyńskich, Renia ukrywa się wraz z rodzicami ukochanego Zygmunta na strychu jednej z kamienic, gdzie wszyscy giną, zamordowani przez niemiecki patrol.

Jej pamiętnik to nadzwyczajny dokument psychologiczny o dużej wartości historycznej. Przetłumaczony został z polskiego na wiele języków, a jego wydanie w Nowym Jorku stało się wydarzeniem. *Renia's Diary (Pamiętnik Reni)*, porównywany do *Dziennika Anne Frank*, to niezwykle i przejmujący opis przeżyć z wojennej rzeczywistości młodej polskiej Żydówki.

Elisabeth Spiegel-Bellak (Ariane) spotkałam w Paryżu w 2019 roku. Siedziałyśmy przy sąsiednich stolikach w kawiarni „Les Deux Magots”, obie piłyśmy wino, patrząc na Boulevard Saint Germain. Zaczęłyśmy banalną rozmowę, która nieoczekiwanie przeszła na tory pasjonującego opowiadania, które w olbrzymim skrócie przekazałam powyżej. Krucha, elegancka, o pięknym uśmiechu starsza pani była w towarzystwie córki, która z czułą uwagą czuwała nad sytuacją. Elisabeth, „polska Shirley Temple”, przeżyła, wojna uniemożliwiła jej karierę aktorską, ale dalsze życie okazało się dla niej szczęśliwe. W Nowym Jorku, gdzie mieszka do dziś, nie zapomniała języka polskiego, a myśl o siostrze nie opuściła jej nigdy. Razem z córką Alexandrą zajęła się wydaniem pamiętnika Reni.

Dziękuję Elisabeth (Ariane) Spiegel-Bellak i Alexandrze Bellak oraz Tomaszowi Magierskiemu za udostępnienie tych materiałów. Film *Broken Dreams* oparty na pamiętniku Reni Spiegel, w adaptacji i reżyserii Tomasza Magierskiego, został przyjęty z wielką uwagą podczas premierowej projekcji w siedzibie ONZ w maju 2019 roku.

Ewa Bathelier

FLEUR ADCOCK

w przekładzie Andrzeja Szuby

Trzy tęcze w jeden poranek

I to nie tylko oko jest zdumione.

Łatwo przewidzieć przy tęczowej pogodzie,
gdy wilgotne powietrze nasycone jest kolorami,
że nad każdą doliną powinien rozpościerać się łuk,
a nad tym długim jeziorem – łuk najdłuższy.

Wiedza o takim zjawisku to nie forma obrony.
Zatrzymują samochód i wpadają w zachwyt.

Lecz dochodzi do zakłóceń w jakimś środku ciężkości,
jakiś wskaźnik czy miernik, który,
gdy zadano mu znowu rutynowe pytanie:
„Czy możliwe byłoby życie
w tym miejscu teraz?” – brzęczy, warczy
i oświadcza: „Tak. Tak; może”.

Lornetka

„Na co patrzysz?” „Patrzę”.
Mocne skrzydła; może kruk,
pomyślał. Rdzawa czupryna paproci
na żelaznym wzgórzu
(bez nazwy, poza ich mapą)
i niebo czyste po deszczu.
Wreszcie odłożył lornetkę
i pojechał dalej na północ.

W końcu był to dobry dzień:
chłodne jezioro pluskało o sosny,
a kwadratowe miasto na północy leniuchowało
w słońcu. Wyglądało, że przekroczyli granice.
Podróż na południe stała się powrotem
do gniazd drzew w ozdobnych kolorach.
Odjeżdżając, zostawił jej lornetkę, aby mogła
aż do wiosny obserwować swoje rudziki i strzyżyki.

W pubie „Pod Jednorożcem” w Ambleside

Chcę mieć łyżwy i obręcz, i mieszkać
całe życie w tym samym domu
nad Stock, a zimą ślizgać się
na Lily Tarn, bo ten staw zawsze zamarza –
albo zawsze zamarzał, kiedy byłaś dziewczynką.

Chcę wierzyć twoim opowieściom o Wordsworcie –
„Słuchaj, co mówią miejscowi” – powiadasz.
„Był we wszystkich pubach stąd do jeziora Ullswater,
i miał połowę dziewcząt. Wszyscy to wiemy”.
Nie zależy mi na wiedzy książkowej.

Siedzę w pubie z moimi wytwornymi przyjaciółmi
i jak zwykle rozmawiamy o literaturze i publikacjach.
Niektórzy z nich naprawdę zachwycają się Wordsworthem.
Ale nie chcą cię słuchać. Ja słucham;
jak sprawić, żebyś ty mnie słuchała?

Nie powinnam być stąd,
ale jestem, prawda? A dziś po południu
Jane i ja siedziałyśmy nad Lily Tarn
i patrzyłyśmy, jak słoneczny wiatr atakuje lód.
Nikt z nas nie ślizgał się na stawie.

Z prądem

Ostatnio zmieniłam się w tratwę z zielonych
pęcherzyków, wczepionych w miniaturowe listki
maleńkiej rdestnicy, ścielącej się
czarnozielono na lustrze potoku;
wyglądają jak deszczyk okrągłych nasionek
lub strączków, wypełnionych powietrzem.

Ja byłam tymi kuleczkami, które tam płynęły –
wystarczyło tylko unosić się na tym
zwyrodniałym, podmiejskim strumieniu,
być jak potok od młyna, gdy gubi się między
domami, prawie nieruchomy, ledwie ciurkający
wte i wewte, jeśli wiatr powieje.

Lecz przecież płynął, a ja z nim dryfowałam,
aż dotarłam do rzeki,
gdzie jak łąza połączyłam się
z długą wodą, aż nie było wiadomo,
czy kiedykolwiek istniała jakaś łąza
albo pęcherzyk, czy inna okrągła rzecz.

GEORGE MACKAY BROWN

w przekładzie Andrzeja Szuby

Garniec soli

Dwanaście kobiet stoi w ciemniejących drzwiach.

Królowo Przybrzeża,
Trust i Bountiful
Kołyszą się pod granią jak mewy.
Z koszy wybiera się homary.
Rose na pełnym morzu
Dziesiątkuje ławicę łupaczy.
W Pentland Firth
Trójmasztowiec kiwa się
Między Irlandią a Norwegią.
Tak splata się
Słona wieczna nić,
Aż utka się całun.

Królowo Atlantyku,
Pamiętaj o żeglarzach i rybakach.

Dwanaście kobiet z zagród
Zapala teraz lampy.
Nóż leży obok kamiennego garnca.
Stoją na czarnych progach.
Wiatr i morze spotykają się z nowym dźwiękiem z zachodu.
Kobiety przygotowały dym
Między zachodem słońca a pierwszą gwiazdą.

Taniec siedmiu rybaków

Jej ręce niecą ogień w kostkach torfu.
Staruszka wyjęła z dymu trzy ryby.
Dorsz dryfujący opodal Sneuk, podmorska pieśń.

Zanurzyła wiadra w zimnym potoku.
Staruszka podzieliła placek na trzy części.
Starcze chromanie. Krzyk! Skrzydlata wieża.

Mełła na żarnach, koło na koło.
Otwarta księga, dwie białe połowy.
Dwanaście ramion zapragnęło zimnej tancerki.

Wycisnęła olej do czarnych lamp.
Staruszka rozłożyła cmentarną koszulę.
Dwanaście stóp dudniło na wzgórzu, taniec.

Jej ręce przyniosły na stół ryby i piwo.
Staruszka westchnęła, zimowy cierń.
Dwanaście stóp stanęło w drzwiach, taniec.

Morze spłynęło krwią na podłogę.
Głośny pisk z mewich gardeł.
Potem panna młoda i matka pokłoniły się czarnej muzyce.

JOANNA HELANDER

Pisarze



Hanna Krall, Poznań 1996



Adam Zagajewski,
Kraków 1981



Julian Kornhauser,
Kraków 1981



Krystyna i Ryszard Kryniccy na Kazimierzu w Krakowie, 1999



Wisława Szymborska, Kraków 1981



Olga Tokarczuk, Frankfurt 1997



Piotr Sommer w Sztokholmie, 1996



Krzysztof Siwczyk z Różyczką, Göteborg 2003



Staszek Barańczak, Sztokholm 1991



Tomas i Monica Tranströmerowie w Berlinie, 1997



Władimir Bukowski, Sztokholm 1992



Czesław Miłosz, Kraków 2000



Ewa Kuryluk, Paryż 1995



Jane Hirshfield, San Francisco, Tomaszowice, 2017



Julia Romanowska, Sztokholm 2017



Od prawej: Michael Ondaatje, Jerzy Illg, Adam Zagajewski, Breyten Breytenbach,
Kraków 2016



Jakub Kornhauser, Kraków 2016



Olga Tokarczuk, Kraków 2014

STEFAN CHWIN

Dziennik 2020

Urodziny w Barcelonie

Jutro urodziny K. – ale jutro będziemy w Barcelonie! Więc rano, o szóstej, wymykam się z domu, tramwajem jadę do Gdańska, na dworzec, gdzie działa całodobowa kwiaciarnia. Kiedy o siódmej K. budzi się, na poduszce, obok policzka leży siedem pąsowych róż związanych liliową wstążką. Oczy jej błyszczą, że jednak pamiętałem, bo ze mną różnie bywa, jak mam odlot, to nie pamiętam.

Potem, spakowani w dwie walizki, jedziemy do Warszawy, nocujemy u Marcinów na Tarchominie, a nazajutrz o czarnym świcie z Choszczówki kolejką na Okęcie, bo samochodem dłużej. W Barcelonie jesteśmy parę minut po dwunastej w południe.

Sala przylotów na El Prat pełna. Tłumy przepływają między szklanymi ścianami jak powódź stulecia. Gdzież tu znaleźć szofera, którego miało nam przysłać Wydawnictwo? Brniemy przez rzeki Japończyków, wiry Murzynów, wodospady Hiszpanów, strumienie Meksykanów, góry lodowe Niemców – i nic, więc decydujemy – jedziemy do hotelu metrem.

Ale jaką linią? Którędy? Jak? W sąsiedniej, marmurowej sali pod ścianą automaty biletowe. Podchodzimy, czytamy instrukcję, poplątaną, z rysunekczkami i schematami, aż tu nagle zjawia się – Anioł. Młody Hiszpan w lekkim paletku, okrągła głowa, czarniawa, krótko ostrzyżona, oczy jak węgielki, usta miłe, wypukłe, białozębny uśmiech: – *What can I help you?* – pyta uprzejmie.

Mówimy, że chcemy dojechać do stacji Diagonal, bo tam nasz hotel. – Ach – kręci głową – to nic takiego! Trzeba kupić bilet taki to a taki – i śniadym palcem pokazuje, gdzie trzeba włożyć i nacisnąć... K. wyjmuje dziesięć euro – Anioł wyrozumiale kręci głową. – *No, no, no*. Ten automat nie przyjmuje banknotów. Trzeba, o tu – pokazuje szczelinę – włożyć kartę kredytową. – *Credit card* – podkreśla pięknym ruchem śniadej dłoni. K. wsuwa kartę, wystukuje PIN, automat stuka, wypadają dwa bilety. Anioł kłania się uprzejmie i odchodzi. – *Thank you!* – machamy mu ręką.

Bo my mamy szczęście do Aniołów. Kiedy ostatnio byliśmy w Dreźnie na promocji *Ein Deutsches Tagebuch*, przy dworcu podbiegł do nas Anioł – młoda kobieta w puchowej kurtce z kapturem, która paroma ruchami dłoni kupiła nam bilet w zepsutym automacie stojącym na przystanku. Potem, kiedy w tramwaju zorientowaliśmy się, że z powodu remontu trasa zmieniona, więc trzeba natychmiast wysiadać, zjawiał się drugi Anioł – brodaty Niemiec arabsko-dalmatyński w czarnej bejsbolówce ze srebrną wyszywanką NYC – który uprzejmie zaprowadził nas na przystanek-przesiadkę, tak że w parę minut byliśmy pod samym hotelem po drugiej stronie rzeki. A kiedy po trzech dniach wracaliśmy z hotelu do Gdańska i nie wiedzieliśmy, do którego tramwaju wsiąść, żeby dojechać na dworzec, bo znowu trasy zmienione, z domu naprzeciwko przystanku wybiegł młody Niemiec w samej koszuli, który zobaczył nas z okna, podbiegł do nas i pomógł wsiąść do właściwego, tak że na *Hauptbahnhofe* byliśmy po piętnastu minutach.

A ten Anioł – barceloński? Widzimy, jak stoi daleko od nas na krawędzi peronu, nadjeżdża metro, wsiadamy, on do pierwszego wagonu, my do trzeciego, jedziemy do stacji Collblanc, gdzie mamy przesiadkę. Na stacji Collblanc labirynt – tunele, przejścia, ruchome schody. Dokąd iść? Gdzie wsiadać? Stoimy bezradnie – aż tu nagle znowu zjawia się Anioł. – Możecie państwo jechać windą – pokazuje śniadą dłońią – o, tam są windy, albo schodami ruchomy mi – na górę! – Wybieramy schody. Cóż to za miejsce – patrzymy w górę, zawrót głowy, jedziemy dziesięć pięter chyba, pod szklany dach, przed nami na schodach Anioł, uprzejmy, miły. Pytam, na którym piętrze zejść ze schodów – pokazuje palcem: – O, tam, a potem tam i w bok – kłania się, cofa, przechodzi koło K., przyspiesza, znika.

Schodzimy ze schodów – stajemy koło windy. I nagle K. zdaje sobie sprawę, że zostaliśmy okradzeni! Torebka otwarta, nie ma dokumentów, dowodu, kart kredytowych.

A Anioł? – gdzie go szukać! Zniknął w tunelach, przejściach, labiryntach. K. drżącymi palcami wystukuje numer na komórce. Bank! Natychmiast zablokować rachunek. Ale w banku – psiarew! – nikt nie odbiera. Dopiero teraz dochodzi do nas, jak uważnie nasz dobry Anioł patrzył na palce K., gdy wystukiwała PIN na klawiaturze automatu biletowego w marmurowej hali na lotnisku El Prat. Stał za nami, patrząc na każde jej stuknięcie. I do tego jeszcze plótno uprzejmie, że automat nie przyjmuje banknotów, tylko same *credit cards*! Tylko! *Credit cards*! A tymczasem bank jak milczał, tak milczy! K. dzwoni do Adama. Adam odbiera, obiecuje, że natychmiast zablokuje karty i konto!

A do nas podchodzi spokojny, rozluźniony strażnik metra w czerwonym uniformie. – Co się stało? – pyta, widząc nasze roztrzęsienie. – Okradli nas! – Gdzie? – Tam! Na ruchomych schodach! – Ach – wzrusza ramionami – jesteście dzisiaj ósmym przypadkiem. Chcecie złożyć meldunek? – Meldunek? Na co? Po co? Przecież to nie ma żadnego sensu! – Macham ręką. – Jutro – strażnik poprawia na sobie kamizelkę z wszytymi pojemnikami na gaz – możecie się zgłosić tutaj do biura na parterze. Może złodziej wyrzuci dokumenty. Oni czasem tak robią.

Kiwam głową bez przekonania. Po paru minutach telefon – Adam mówi, że konto zablokowane. Oddychamy z ulgą.

Dopiero teraz do mnie dochodzi, że gdyśmy wchodzili do wagonu metra na stacji El Prat, powiedziałem do K.: – Wiesz, ten Anioł, co się tak o nas zatroszczył przy biletowych automatach, wydał mi się dość podejrzany... – Ale K. tylko popatrzyła na mnie. – Daj spokój. Nie przesadzaj. – Teraz metro rusza, huk, szum, jedziemy w stronę Collblanc, potem Parc Nou, Mercabarna, Torrassa, a ja sobie przypominam, że w tej hiszpańskiej, słodkiej uprzejmości anielskiej był jakiś niedobry zapaszek. Tylko co z tego? Przecież wiedzieliśmy – tak, dobrze wiedzieliśmy – że ta opiekuńczość, ten białozębny uśmiech, te oczy jak węgielki i te miękkie, uprzejme gesty to może być dym, zasłona, mgła, a jednak ulegaliśmy. Był naprawdę uroczy. Ładne ruchy śniadych dłoni, na twarzy wola szczerzej pomocy, szczerzy blask oczu. Stojąc przy strażniku metra, który nas wypytywał, jak tamten wyglądał, K. powiedziała do mnie: – Tam, na schodach ruchomych, gdy on się cofnął, zderzył się ze mną ramieniem, o tak, aż się zachwiałam, a potem z uśmiechem wybacząco-przepraszającym szybko pobiegł w górę, przeskakując po parę stopni, na peron, do swego pociągu czy gdzieś tam.

Na stację Diagonal dojechaliliśmy po dwudziestu paru minutach. Wychoząc z metra, patrzemy, a tu – znowu... Anioł! No, nie! Tym razem w zielonej marynarce z zamszowymi klapami, pod bordowym krawatem, uśmiechnięty,

elegancki, mięciutki, giętki, w plecionych mokasynach, czarnowłosa, nażelowany, zaczesany do góry w modnym stylu Hitlerjugend. Podchodzi do nas, gdy stajemy pod platanem z rozłożoną mapą Barcelony. – *What can I help you?* – K. trzyma mocno torebkę przy sobie, ja: – Nie, nie, dziękujemy! *Thank you! No, no!* – ale on pyta, do jakiego hotelu chcemy. Mimowolnie odpowiadamy, że tam a tam. – Ach, ten? To parę kroków stąd, ja państwa zaprowadzę. – Nie, nie! – wołamy, machając rękami, damy radę sami, ale on idzie z nami, wskazuje drogę wzdłuż wystaw, opowiada o Barcelonie, że mieszka na sławnym wzgórzu nad miastem, tam, gdzie stoi białokamienna katedra, że nie jest – broń Boże! – jakimś tam Katalończykiem, tylko prawdziwym Hiszpanem, podprowadza nas pod same oszklone drzwi hotelu, kłania się, odchodzi, kiwa ręką na pożegnanie. *Adiós!* Machinalnie sprawdzamy kieszenie – torebka cała, nic nie zginęło.

A hotel? – sam śródeczek Barcelony, parę kroków od Casa Milà. O, Gaudí, Gaudí! Co za miejsce! Pięć gwiazdek złotych na szklanych drzwiach. Trzysta sześćdziesiąt euro za noc, ale spokojnie, to nie my płacimy. Zaprosiło nas Wydawnictwo, w którym wydałem trzy książki. Mają okrągłą rocznicę, więc chcieli mieć pisarzy z całego świata. W holu widzimy Japończyków, Amerykanów, Murzyna, Szkota w spódniczce, jakąś Hinduskę w seledynowym sari, Angielkę i Jurija Andruchowycza z Ukrainy, który nas nie poznaje, bo rozmawia z jakąś wysoką blondyną w purpurowych kozakach. Hotel – przybijająco luksusowy. Nienawidzę, kiedy obsługa chce mi służyć, ale skaczą wokół nas na palcach dwaj dwumetrowi Hiszpanie w złożonych uniformach i białych rękawiczkach. Nie pozwalam, by targali moje walizki, ale wyjmują mi z rąk i wiozą windą do pokoju. Wjeżdżamy z nimi na górę. Pokój duży, z dużym oknem, wielka łazienka, wanna marmurowa, kabina prysznicowa, kwiaty w marmurowym wazonie. Przebieramy się od razu po podróży – i na spacer. Przecież to nasza Barcelona! Z okna widzimy Casa Milà. W Barcelonie jesteśmy już trzeci raz.

Pojutrze wielka feta wydawnicza, dzisiaj i jutro mamy czas dla siebie, więc ruszamy w miasto. Trzymam K. pod pachę. Idziemy Passeig de Gràcia, potem metrem w stronę Sagrada Família i fenomenalnego szpitala Świętego Pawła, dużo ciekawszego niż słynna budowla Gaudiego. Koło Sagrada Família mijamy kilka radiowozów policji z migającymi światłami. Do jednego pakują kobietę w kajdankach. Pan José R. z Wydawnictwa powiedział nam, żebyśmy uważali, bo w okolicach katedry coraz więcej napadów na turystów. Taki czas!

Nazajutrz przy śniadaniu podchodzi do naszego stolika stary Hiszpan, uprzejmie pochylony, drobny, w szarej marynareczce ze sztruku,

czarna koszula, srebrne, faliste włosy, okulary w złotej oprawce, ściszony głos, uśmiechnięty, oczy zmrużone, wstajemy, obejmuje nas ramionami, przyciska do serca, klepie czule po plecach, pyta, czy wszystko w porządku, czy czegoś nie potrzebujemy. Aż się wzdrygam. To właściciel hotelu, który tak wita wszystkich hotelowych gości, biorąc każdego w ramiona i przyciskając do serca dla stworzenia rodzinnej atmosfery. Ma nie tylko ten hotel, w którym nocujemy, lecz – jak nam ktoś szepce po rosyjsku z sąsiedniego stolika – trzydzieści podobnych w całej Hiszpanii. Chcę mu powiedzieć, że już nie wytrzymujemy z hotelową obsługą, ale z miłym uśmiechem zapewniam, że wszystko *okay*. Bo jak tylko wyjdziemy na chwilę z pokoju, to już po trzech minutach cały jest wysprzątny, nawet ołówki na biurku ułożone równiutko, pod linię.

Bo my zawsze po wejściu przerabiamy każdy hotelowy pokój – dla siebie. Musi być nasz – bez reszty! Najlepiej bałagan – nasz bałagan! – wszędzie! Wszystko poprzewracane, poprzesławiane, poplątane, walizka otwarta, pościel zmiętoszona. Póki tu mieszkamy, to nasza przestrzeń eksterytorialna! Nikomu nie wolno tu wchodzić, a tymczasem murzyńskie pokojówki w koronkowych fartuszkach na biodrach tylko czekają w korytarzu, by zrobić, co do nich należy. Jak tylko wychodzimy na moment do recepcji, od razu przenikają do środka, wyrównują poduszki, wygładzają prześcieradło, wkładają szczoteczki do szklanek pod lustrem. – *Cleaning? Cleaning?* – uprzejmie zapytują spod białych czepków z hiszpańskiej koronki. Za-ka-zu-je-my!

A wieczorem bankiet! Pół Barcelony, pisarze, malarze, dziennikarze, aktorzy, politycy, huk głosów, muzyka. Widzimy Gabriela L. Julia Casales, z którą poznaliśmy się u Alonzo G. w jego domu koło parku Güell, macha do nas ręką. Zespół jazzowy z karaibską Murzynką w cekinowej, syreniej sukni, która – po kilku chwilach to widać – śpiewa mrocznego bluesa tylko dla samej siebie, wpatrzona szklanymi źrenicami w odległy punkt. Dziennikarze telewizyjni ustawiają wśród gości kamerę na statywie. Dziewczyna z telewizji robi z nami wywiad o naszej współpracy z Wydawnictwem. Przed kamerą staje malarka Marcella B., która uparła się, by ilustrować mojego *Pelikana d'Oro*.

Ludzie siedzą, stoją, chodzą. Potrawy wymyślne, zmieniające się co parę minut, wnoszą biegiem młodziutkie kelnerki w czarnych uniformach. Na ceramicznych tackach wjeżdżają na stoły ciemnopurpurowe mątwy z jakimiś jagodami, bażancie jaja w żółtym sosie, sardynki z Biskajów, jesiotry czarnomorskie, kulki z mięsa andyjskich lam obtoczone w wiórkach kokosowych. Chryste Panie, dlaczego los nas tak rozpuszcza?! Pewnie po to, by za parę dni mocno nam walnąć w twarz, jak zwykle lubi robić, ale nie, nic, *okay* – jemy, pijemy

wina katalońskie, z Andaluzji, z Kastylii, jakieś torty różowe z lodowym lukrem, na którym stoją figurki katalońskich rybaków w kapeluszach, małże z płaskich, pokarbowanych muszli, potem coś z rekina, niebieskie, ostre, z czerwonym i zielonym, przepiórki francuskie na płonących półmiskach, parmeńskie szynki na zimno z udową kością do nacinania cieniutkim nożem długości metra – wszystko to grzech, po prostu grzech! Połowa ludzkości nie dojada, głoduje w slumsach i fawelach, wysycha na pustyniach z braku wody – a my? Kelnerzy i kelnerki uwijają się w tłumie jak katalońscy rybacy wyciągający z morza – raz za razem – świeżutkie, błyszczące tuńczyki.

Jest tak głośno, że prawie nic nie słyhać, a z nami siedzą moi tłumacze: Anna Rubio i Jerzy Sławomirski, Niemcy z Düsseldorfu, których poznaliśmy kiedyś w berlińskiej Akademii Sztuki, Jurij Andruchowycz, angielska pisarka Samanta K., która wypytuje mnie, o czym są moje książki, jej żyrafowaty, angielski mąż, typ suchego Becketta, z ostrą grdyką, skaczącą pod podbródkiem na żylastej szyi, kompletny odlotowiec w szarosrebrnym sweterku bez rękawów, chwiejący się w lesie gości ze szklanką brunatnej whisky w dłoni. Rozmawiamy o buncie studentów filologii przeciwko filologii. To samo w Polsce, co – jak mówi Samanta – w Anglii. Nie chcą czytać żadnego Byrona, żadnego Shelleya, żadnego Becketta, tylko chcą, żeby ich szybko nauczyć *business English*, angielskiego dyplomacji, angielskiego prawniczego, angielskiego umów handlowych i negocjacji korporacyjnych. Precz z Beckettem, precz z Szekspirem, precz z Joyce'em, precz z Sylwią Plath! Na co to nam? Po co? *Biz, commerce, money!*

Nazajutrz o jedenastej jedziemy na lotnisko El Prat czarną limuzyną Wydawnictwa. Potem przez godzinę idziemy korytarzem do *gate 36*, skąd odlatuje samolot do Polski. Za oknami lotniskowego pasażu w kotlinie wśród wzgórz – Barcelona. Ciekawe, czy jeszcze tutaj wrócimy, czy raczej lot nasz uznać należy za ostatni?

Kiedy w samolocie zapinamy pasy, K. mówi do mnie: – Ty w dzienniku nie opisuj tego wszystkiego z detalami. Ty narobisz tylko nam wrogów. Wystarczy tych, co już mamy.

Mniejszość intelektualna. Piątek, godzina 22 z minutami

Właśnie wróciliśmy na Morenę ze spotkania autorskiego w pięknej bibliotece na dworcu w Rumi. Budynek ładny, kolejowo-podróżny, za oknem światła sygnałowe, tory z Gdyni na zachód, gdzieś za drzewami Władysławowo i Hel, wieczór, na niebie gwiazdy. Sala pełna ludzi. Pod koniec spotkania wstaje

pisarz P., poprawia marynarkę, po czym uniesioną dłonią daje znak, że chce zabrać głos: – Ja nie zgadzam się – mówi dobitnie, stanowczymi gestami akcentując każde słowo – z tym pana – patrzy na mnie – jak pan to mówi, pojęciem „mniejszości intelektualnej”. To jest po prostu nikomu niepotrzebne dzielenie ludzi na lepszych i gorszych. Trzeba powiedzieć wyraźnie: nieprawda, że tylko inteligenci i intelektualiści mają bogate życie duchowe. Każdy człowiek jest skarbnicą uczuć i myśli. Wszyscy ludzie są sobie równi. – Sala bije mu brawo.

Odczekuję chwilę, aż oklaski umilkną, po czym na słowa pisarza P. odpowiadam tak:

– Szanowni państwo, wczoraj w kolejce z Gdańska do Gdyni usłyszałem, jak jeden robotnik mówił do drugiego, że facet, u którego kładli kafelki w łazience, to jest na pewno pedał, bo tylko pedały mają w swoim mieszkaniu tyle książek co on.

A zupełnie niedawno, parę dni temu, student, który sprawdzał podzielniki ciepła przy kaloryferach w całym naszym bloku, przerwał swoją pracę na chwilę, zamyślił się, po czym stroskanym głosem powiedział do mnie: – Czy pan wie, że w tym bloku tylko pan ma w swoim mieszkaniu półki z książkami?

– Drogi pisarzu P.! – tak oto zwróciłem się do pisarza P., który po swojej przemowie usiadł na krześle i z policzkiem opartym na dłoni wsłuchiwał się w moją odpowiedź. – Myli się więc pan zupełnie. Ja wcale nie dzielę ludzi na lepszych i gorszych. Ja tylko stwierdzam fakty. A fakty są takie: na tle upodobań i potrzeb większości ludzi my, ludzie siedzący tutaj, w tej bibliotece i w innych bibliotekach świata, jesteśmy „mniejszością intelektualną” i tyle. Może być pan pewny, że dziewięćdziesiąt procent mieszkańców pięknego miasta Rumia, w którym teraz jesteśmy, nigdy – wskazałem ręką oszklone drzwi – nie przekroczy progu tej biblioteki. Żaden z nich nawet jeden raz w życiu tutaj nie zajrzy.

A poza tym gdyby na przykład – uprzejmie spojrziałem w stronę pisarza P. – któregoś dnia ze wszystkich bibliotek i mieszkań na całym świecie zniknęły wszystkie książki Becketta, Szekspira, Tołstoja, Dostojewskiego, Gombrowicza i Miłosza, jak pan myśli, jak ludzkość by na to zareagowała? Otóż myślę, że dziewięćdziesiąt procent ludzi zamieszkujących naszą planetę nawet by tego braku nie zauważyło. To tylko dla nas te książki są ważne. Dla nich one są niczym. Nadają się co najwyżej na makulaturę albo na podpałkę. Dlatego to właśnie my jesteśmy „mniejszością intelektualną”, chociaż wcale nie chcemy nią być.

I dodam jeszcze, szanowni państwo, jedno. Dawniej – skłoniłem się uprzejmie przed publicznością – odczuwałem coś w rodzaju wstydu, że należą

do „mniejszości intelektualnej”. Bo przecież czyż to nie prawdziwy wstyd być zawsze w mniejszości, widząc na dodatek, jak większość ma zupełnie gdzieś to, co dla nas ważne i cenne? Ale teraz już się nie wstydzę. Teraz wiem, że „mniejszość intelektualna”, do której, chcąc, nie chcąc, my wszyscy, siedzący tutaj, w tej bibliotece, należymy, nigdy nie stanie się żadną większością. I choćbyśmy stanęli na głowie, będzie mniejszością zawsze. Czasami, kiedy o tym myślę, to się dość mocno martwię. Ale czasami ogarnia mnie uczucie gorzkiej dumy, że do tej mniejszości należę. Że się jednak, na szczęście, trochę różnię od tych, którzy książki Dostojewskiego, Miłosza i Gombrowicza z Nabokovem i Proustem mają po prostu za nic.

I z takiej skromnej pychy bycia „mniejszością intelektualną” powinniśmy być dumni od dziecka, bez żadnego, rzecz jasna, wynoszenia się ponad innych. A poza tym z całą pewnością – jak słusznie pan mówi – wszyscy ludzie są najzupełniej równi. W stu procentach.

Czwartek, 20.52. Bądźcie płodni i rozmnażajcie się,
abyście zaludnili Ziemię

Wczoraj w tramwaju byliśmy świadkami ciekawej rozmowy między dwoma studentami Politechniki, którzy wsiedli do dwunastki na przystanku koło Opery.

Wyższy – chudy, z zarostem na policzkach, powiedział do niższego z różową, okrągłą twarzą, w przyciemnionych okularach.

– Zanim spłodzisz dziecko, lepiej stań przed lustrem, popatrz na siebie i zapytaj, czy sam chciałbyś mieć takiego ojca.

– A kobiety? – zapytał niższy.

– Kobiety? Niech każda stanie przed lustrem, popatrzy na siebie, a potem zapyta, czy sama chciałaby mieć taką matkę.

Rada zabrzmiała dość mocno, ciekawe tylko, ilu mieszkańców Ziemi z niej skorzysta. Chcesz mieć dzieci, najpierw popatrz na siebie i zapytaj, czy chciałbyś mieć takiego tatusia jak ty...

Na szczęście my, ludzie – odetchnąłem po chwili z ulgą – jesteśmy Istotami głęboko Nierozumnymi, które żyją sobie na Ziemi jak te łątki nieprzytomnie parzące się nad stawem, dlatego nasz gatunek ma jeszcze dużą szansę na biologiczne przetrwanie, i zupełnie obojętne, jak codziennie nasza twarz wygląda w łaźniowym lustrze, które – każdy to przyzna – nie zawsze bywa naszym najlepszym przyjacielem.

15 lipca 2015, wieczór. Piękne umieranie M.

Umarła właśnie M. Widywałem ją na uniwersyteckim korytarzu. Zawsze uśmiechnięta, pogodna, promieniująca zdrowiem, energiczna, szła na zajęcia szybko, sprężysto, z grzywką równo uciętą nad czołem, z czarnymi, wysoko uniesionymi, łukowatymi brwiami, z torebką przewieszoną przez ramię. – Dzień dobry, panie profesorze! – wołająca z daleka, ręką nawet czasem do mnie machająca. A kroki na obcasach szybkie, lekkie, stukające, schody, winda, korytarz... Zdrowy, biały uśmiech, czerwone, uszmkowane usta, zmrużone oczy, lśniące, ciemne, wesołe...

A teraz – trup. Dostaliśmy właśnie zaproszenie na pogrzeb. Mieliśmy niedawno pogrzeb Mamy, więc chyba jednak nie pójdziemy. Przepraszamy, ale jeszcze nie tym razem...

Dużo jednak ważniejsze – coś zupełnie innego. Że ona – jak mi właśnie powiedziano – chorowała na raka... od siedmiu lat. Niewiarygodne! Od siedmiu lat szła ku mnie korytarzem, mijając mnie swoim wesołym: „Dzień dobry, panie profesorze!”, patrzyłem na jej ładną, pogodną twarz, odpowiadałem z uśmiechem na uśmiech: „Dzień dobry, pani!”, a tam, pod jej płaszczem, pod swetrem, pod sukienką, pod skórą brzucha gładkiego, kobiecego, tam gdzieś pod wątrobą, pod trzustką, pod śledzioną, siedziało to potworne purpurowo-sine coś, co wyzerowało ją od środka?

W dniu śmierci – jak mi powiedział R. – odbyła jak zawsze zajęcia ze studentami, zrobiła zaliczeniowy sprawdzian, powiedziała, że sprawdzi prace, jak wróci ze szpitala. Nie wróciła.

Ach, Boże drogi... Cóż to za artystycznie dopracowane umieranie! Wyczelowane starannie w najdrobniejszym szczególe? Jak mistrzowska robota sławnego złotnika florenckiego Benvenuto Celliniego? Majstersztyk jubilerski – takie usta uśmiechnięte? Sztuka dojrzałego baroku – takie pogodne chodzenie po korytarzu z wyzerającym potworem w brzuchu? Arcydzieło równe Kaplicy Sykstyńskiej – taki uśmiech bezbolesny nad otchłanią bólu? Katedra Notre Dame – taki głos jasny, pogodny, nad wewnętrzną raną?

I jeszcze jedno – o tym, że chorowała, podobno długo nie wiedział nikt. Nawet najbliżsi. Cóż za rysunek gestów dłoni i palców, żeby nikt się nawet nie domyślił! Niewidzialne arcydzieło dyskrecji uczuć? Wycieniowana renesansowa skromność? Tomasz Mann nie dorasta jej do pięt? Gombrowicz może się przy niej schować? Dostojewski powinien dziko zazdrościć jej stylu i formy? On o swojej epilepsji co prawda świat powiadamiał nawet obficie, ale wołał to

zamknąć w fikcyjnym portrecie księcia Myszkina, by samego siebie nie wystawić na widok?

A tu pisarz, chory na parkinsona, gada w wywiadach o swojej chorobie na prawo i lewo, bo wyjść ma właśnie jego nowa książka? Tak go ustawiają wydawcy, którzy w tygodnikach dla kobiet i gazetach wielkonakładowych robią z niego interesujące monstrum, żeby książka się dobrze sprzedała?

Lecz może on ma właśnie rację, że tak nam chorobę straszną swoją pod nos podtyka, której my wygodnie widzieć nie chcemy? Może ma właśnie stu-procentową rację, że się tak twardo ze swoją chorobą pcha na widok, żebyśmy oczu nie mogli odwrócić?

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Fragmenty murów obronnych (2)

Czy to jeszcze jestem ja? Który? Ten zlepek uformowany z kolejnych, następujących po sobie, od samego początku, przez tylu innych, aż do teraz, nie mówiąc o tych następnych, kolejnych?

Zbierają się wokół i są we mnie, oni, a także Murider, Faktor, Fall, Thorn, Mohl, Roth i inni z tej sfery, z tamtego czasu, nie opuszczają mnie, są ze mną, jeszcze chcą być ze mną. I ja chcę z nimi być, wracać do nich i być z nimi, na dobre i na złe, nieuniknienie.

Dodają mi siłę i ducha, wracają, jakby na coś czekali, ciągle jeszcze na coś liczyli. Może to oni mówią przeze mnie, w jakiejś innej wersji, dopowiadają i zmieniają, chcąc być wiernymi nowej perspektywie, porzucić stare okowy i powijaki, zerwać z nimi, skończyć i otworzyć jasną drogę, przede mną i przed innymi.

Bez nich pewnie bym milczał, chociaż to moje historie opowiadam, nie ich, co najwyżej moje z nimi, bo chyba mniej ich ze mną, lub beze mnie.

Są milczeniem, ciszą, niewidzeniem, ale i nie są milczeniem, nie są pustą ciszą i raz po raz są widzeniem. W końcu stanę się nimi albo oni stają się mną, w jakimś stopniu, jak jeszcze nigdy nie byli, najbliżsi, w rodzinie i nie w rodzinie, ci najbliżsi.

Moja kolej jeszcze nie nadeszła, jeszcze jest czas, który mi pozostał, nie wiadomo ile, bezcenny dar.

Czy już wiem, kim jestem, i wiem, jak to pogłębiać, iść dalej w tę stronę i pogłębiać, na ile to możliwe, ile się da? Nie marnować dni, nie dawać za wygraną, nie ustawać. W tej ciszy, piekielnej czy boskiej, z tym kamieniem u szyi, raz po raz upadając, ale przecież podnosząc się i idąc dalej na przekór

im wszystkim, z żadną ich pomocą, z pomocą najwyższą. Świadczą o tym zdarzenia, są ich dziesiątki, jeśli nie setki.

Ciało ciągle jeszcze daje radę. A duch? Co z duchem? Co z głową? Nakręcają ją je, ożywiają, wprawiają w ruch i w tok?

A więc są: ciało, droga i duch. I ci, co przeszkadzają. Trwa posuwanie się naprzód, trwa walka.

Gdy wspominam siebie sprzed lat, to tak, jakbym nie był ja, jakby to był ktoś inny, dalszy, bliższy, ale nie ja, to znaczy nie taki, jaki teraz jestem.

Kiedy naprawdę byłem sobą? Czy kiedykolwiek byłem sobą? A czy teraz jestem sobą? Wątpliwe.

Co to znaczy być sobą? Sobą, czyli kim? W tym ogniu walki. I w blasku miłości. W jej blasku i w ogniu. Kim? Tym, który mnie kocha jak nikt na świecie? Ale czy to jest możliwe?

Teraz jestem tu, w tych słowach, w ich toku i w jego duchu, przynajmniej chciałbym w nim być, to nie jest łatwe.

Jakbym stał przed zamkniętymi drzwiami, a przecież nie mam gdzie pójść. Dzwonię, pukam i nic, nikt nie otwiera, przez długi czas. Ale jest też tak, że jednak otwiera i wpuszcza, mogę wejść i wiem, jak jest w środku.

Długo tam nie pozostaję, ale już wiem i wiem to po wielokroć, dlatego się nie zapadam, nie lecę w tę przepaść czy otchłań i po długim milczeniu znowu zaczynam mówić, słyszę głos i głosy i zapisuję je, w miarę wiernie, z pasją, takiego wymagają podejścia, słucham ich i nie to, że zgadzam się lub nie zgadzam się z nimi, zaprzeczam im lub je wzmacniam, ale żyję w nich i żyję dzięki nim, tyle mają w sobie ducha, tyle siły.

Otwierają i dają natchnienie, bez którego ani rusz. Niejedno zdanie dzięki nim zapisałem, niejedną akapit czy rozdział, niejedną opowiedziałem dzięki nim historię. Bo skąd to się bierze? Z myśli? Z wyobraźni? Z uczuć i emocji?

Może z innych słów? To by nie wystarczyło, w tej walce, prędzej czy później starłoby na proch, który wiatr rozsypałby na cztery strony świata.

Czy będzie tak, dopóki będę żył? Nie wiem. Mam nadzieję, że tak, mam taką nadzieję. Do ostatniego zdania, ostatniego słowa, do końca. Do końca moich historii, które jednak nigdy się nie skończą, będą trwały w słowach, w tych głosach, z nich uwite, w nich zrodzone i w nich prowadzone, z uporem i z pasją, z miłością.

One w nich będą i ja, nie ja i on, i oni, chociaż nie wiem, skąd przyszli, jak weszli i jak się we mnie zagnieźdździ.

Ciało słabnie, wiotczeje i niszczeje, ale czuję, że duch się wzmacnia, staje się silniejszy i mocniejszy, stanowiący.

Wystarczy przypomnieć, co i jak kiedyś mówiły głosy i co i jak mówią dziś, jakich używają słów i składni, jakiego stylu i kompozycji. Zaczynam to widzieć coraz jaśniej, otwiera się przede mną, wchodzę i idę, właściwie w tym samym roju słów, ich związków i konstrukcji i dopóki są, dopóki mnie nie opuszczą, nie odejdę od nich. Poznałem je i wiem, ile znaczą, są nie do zastąpienia, świadczy o tym cała moja droga, doprowadziły mnie tu, gdzie jestem, i wiem, czuję to, że poprowadzą dalej, aż poza kres, poza najdalszy kres.

Jestem tego pewny, jak mało czego. Dlatego idę dalej, wiem, że trzeba iść dalej, bez zważania na szum i zgiełk, które dochodzą z zewnątrz, wiadomo po co, ja trwam w nim i w nich, oni mnie nie zawiodą i prowadzą. Nie jak tamto, które, o czym przekonałem się setki razy, wyprowadza na manowce, kradnie czas i zabija. Tego jestem pewny, choć niewiele rzeczy jestem pewny. Dlatego mówię. I wiem, że to nie jest sen, że to jest rzeczywiste.

Przez fikcję mówić prawdę o sobie, o wizji, swojej sytuacji, swoim życiu. Ktoś nierzeczywisty mówi o fikcyjnym i rzeczywistym mnie.

Lubię przemiany, gdy postać przenika i przemienia się w inną, ta w inną i dalej lub jak przenika w tego, kto czyta, kto na nią patrzy, obserwuje i może utożsamia się z nią, przeobraża, przerabia i przebija się, są tego całe serie.

Nuda i gra, zapełnianie pustki w pustce, i wrywanie się z niej.

Umocnione zawory bram.

Nie chcę zmyślać, chcę mówić prawdę, bez niej wszystko zamienia się w nudę i w nicość, rozsypuje się i idzie na zatrąę.

Fikcja to miejsce demonów, one w nią wpychają, utrzymują w niej i niszczą. Ale może też być dążeniem i docieraniem do rzeczywistości, bez której jest pozbawiona oparcia i zakorzenienia.

Po co tracić czas, zanikać, zapadać się i ciągnąć za sobą innych. Czy nie jest to kwestia grzechu, spowiedzi, jakkolwiek by ona nie była, i pokuty? Przecież nie ma spowiedzi bez słów i napięcia wiążącego je z tym, który mówi, tym, który słucha, i tym, z czym i z kim się wiążą. Bez świadomości tego jest się we władaniu złych duchów, służy się im i ich idee się rozpowszechnia. To kwestia słów i czynów, bo nie ma jednych bez drugich.

Kim byłem? Kim jestem?

To zostało mi dane od początku, jakby w zastępstwie, po coś. Ktoś mi dał, zlecił, wyprawił w drogę i opiekuje się mną, czuwa. Stąd te głosy. Kim bez nich byłbym? Wiem, skąd one są, od kogo pochodzą i nie ukrywam tego, nie maskuję, choć przecież mógłbym to robić, jak inni, ukrywać, udawać, ale to jest niemożliwe.

To potężna siła, znam jej moc i służą jej ile sił, z oporami, źle, fatalnie, ale służę i nie odstąpię od niej, za nic.

Ten nakaz jest we mnie, w środku, już zrosnięty ze mną, jak jakiś wewnętrzny narząd.

Głosy oczywiście mogą zamilknąć, na chwilę, na dłuższy czas lub nawet na zawsze, ale byłem dla nich wykonawcą, jestem z nimi złączony, nasycony i zmieniony, przemieniony.

To nie jest fikcja czy ułuda, bo przecież ja nie jestem fikcją, ale stworem z ciała i krwi, ze ścięgien i kości i z ducha.

Pusta kartka i to, co konieczne.

Przymus zapisywania ich i siebie z nimi lub wśród nich. Nie może milczeć, kiedy działają miłość i duch.

W poszukiwaniu światła i w jego stronę, z zadziwiającym uporem nawet wtedy, gdy brnie w gęstej ciemności lub w szarym mroku, uchwycony promienia, wpatrzony w błyski, które raz po raz zjawiają się jak znaki, nie daje za wygraną.

Wie, że sam z siebie nic nie wykrzesze, że musi być z nim, a najlepiej w nim on, bez niego ani rusz, tylko jakieś pozory, pustka i powijaki.

Od początku zapełnianie czasu: czytanie, układanie znaczków, gry klockami i ludzikami, tenis, żeglowanie, wojsko, literatura, podróżowanie.

Nie raz w martwym punkcie.

Z tym nakazem zapisywania głosu i siebie.

Jakby nie istniał, nie żył. Albo istniał i żył zamiast. W innym świetle.

Po śladach innych lub z innymi, choć od dziecka był odludkiem i samotnikiem. Tak jakby ktoś, kto prowadził, ktoś niewidzialny, niekiedy widzialny lub jakaś siła, kierowali nie tylko jego krokami, ale i myślami, uczuciami i działaniami. Bezpośrednio lub pośrednio, ale czuł też coś nad nimi, delikatną i jakby wycofaną czy łatwo wycofującą się siłę, przewyższającą wszystko, czego w sobie i na zewnątrz siebie doświadczał.

Nieobecność i obecność. Zamiast. Nie jedno „prawdziwe” ja, bo wszystkie są prawdziwe, właśnie w tej łączności, w związku.

Słuchanie i wsłuchiwanie się. Szept, coś prawie bezgłośnego, cichy i delikatny jak szelest, ale dobrze wiedzący, czego chce, jak światło. Jakby jego część, drugie ja, w łączności z tym niestworzonym pierwszym.

Ja i on, on i ja, w przenikaniu, w dopełnianiu się.

Jakby nieobecny w sobie, w świecie i obecny w nim ktoś.

W pełni świata i w pełni siebie.

Jak wędrowiec we mgle, tylko że nie ma mgły. I nie ma jego. Tylko potrzeba pójścia dalej w dobrą stronę, w najlepszą.

Sprawa, która łączyła go z matką. Rozwiązać ją lub zażegnać. Po to spotkanie, po to do niej szedł, po to wracał.

Całe życie chciał się z nią porozumieć, możliwie jak najlepiej, ale nie było to możliwe, chociaż jednak istniało jakieś porozumienie między nimi, najlepsze z możliwych.

Żyła wśród widm, przynajmniej tak się wydawało.

Powrót do światła. W tej domenie, która jest przegraną lub wydaje się, że nią jest.

Całość i niecałość, niepełnia, coś z brakami i wyrwami.

Ruiny, stychy, to jego żywioł.

Od początku wielkie aspiracje. W tych pustkach. Być tym lub tamtym, jak najwyżej. Ale i to nie wystarczało, było za mało.

To, co możliwe i to, co niemożliwe, w tę stronę.

Jakby wiedział czy przeczuwał, że jest tylko jedno do wyrażenia i słowa, działający duch.

Pustka i świadomość, że nie ma czegoś takiego jak pustka, że zawsze coś jest, choćby najmniejszego, najdrobniejszego i z pozoru słabego. W nic – coś.

Widzieć to i słyszeć.

Nie można widzieć i słyszeć i nie przyjmować tego, nie wiedzieć, co się widzi i słyszy, choć z tym drugim pewnie jest gorzej.

Liczy się obecność. Ja jestem i jest ktoś ze mną, w każdej chwili. Obecność dobra i zła. To w niej jest główna sprężyna działania.

Problem, że tego nie widzi się lub nie umie przedstawić.

Łączenie się, przenikanie i dopełnianie, otwarcie lub zamknięcie.

TOMASZ RÓŻYCKI

Kamień, profil

Utrwalanie profilu poety, a zwłaszcza jego wersów, w czymś twardszym niż powietrze – w kamieniu albo w metalu – nie miałyby sensu, gdyby tak naprawdę jego wiersze nie istniały już gdzieś tu, w przestrzeni pomiędzy nami, w sposób permanentny i trwałe – choć na oko niewidoczne, to jednak wyryte gdzieś w naszej pamięci jak w spiżu czy w stali i za jej sprawą – wciąż wywoływane z pustki, czy tego chcemy, czy nie. Zjawiające się znikąd, jak drobne muszki na rozgrzanej ścianie, układające się w zwrotkę wiersza. Nie ma bowiem, jak to już potwierdził kiedyś Horacy, trwalszego i bardziej odpornego na bieg czasu materiału od wrażenia, jakie potrafią wyryć w czyjejs *psyche* przeczytane w odpowiednim momencie słowa.

Pamiętam pierwsze spotkanie z poezją Ryszarda Krynickiego. To była kieszonkowa kopia tomu *Niewiele więcej i nowe wiersze*, przeschmuglowana przez mojego przyjaciela do szkoły, o ile się nie mylę, w 1986 roku. Być może pamięć mnie zawodzi co do tytułu i dokładnej daty, ale nie zapomnę wrażenia, jakie zrobiły na mnie wiersze. To była podziemna, nielegalna odbitka wcześniejszego wydania, pomniejszona i wydrukowana na złej jakości papierze. Czytaliśmy w tajemnicy, wiedząc, że mamy przed sobą trudno dostępny skarb – głos człowieka wolnego, z chciwością czytaliśmy tę zakazaną poezję, szukając w niej słów nadziei, wskazówki. Mała czcionka i skąpe, krótkie, czasem ledwie trzywersowe wiersze. Pamiętam swoje zdziwienie: Jakże to? Właśnie tyle przeciwko całemu systemowi? Przeciw całej górze żelastwa przetaczającej się po ulicach z chrobotem gąsienic, przeciwko tej masie mundurów, przeciwko szarej cementowej płycie, pustym półkom w sklepach, kilometrowym kolejkom, beznadziejnej pijackiej codzienności robotniczych blokowisk? Te kilka słów? Kilka zakazanych słów, w dodatku takich, które nie stroniły od wyrażania zwątpienia i zmęczenia, wzdragały się przed łatwym pocieszeniem i nie pozwalały po prostu stawiać siebie w pozycji ofiary, a nawet czasem były boleśnie pozbawiające złudzeń co do natury zła, to właśnie tych kilka słów było ściganych przez służby,

Laudacja na odsłonięcie profilu Ryszarda Krynickiego w Bibliotece Miejskiej w Opolu.

siatkę szpiegów i szpicli, tajnych współpracowników i konfidentów, wścibskie sąsiadki? Pomyślałem wtedy: jaką te słowa muszą mieć moc, skoro uruchomiono do walki z nimi takie siły. Skoro państwo zakazywało ich lektury.

Pomimo tego, że wąpiły we własną moc, z premedytacją ukazując słabość i zawodność języka – nie na próżno przecież krytycy wskazują Krynickiego jako kontynuatora awangardy i lingwizmu – i chwaliły milczenie, jako jedyną nieskażoną grzechem próżności i wykoślawienia myśli odpowiedź na otaczającą nas rzeczywistość, wiersze te ofiarowały równocześnie inną, może niemal nie-ludzką, perspektywę, niosły pokrzepienie. Spoglądały na rzeczywistość gdzieś spoza czasu, sytuując nas, nasze ludzkie istnienie w perspektywie szerszej, może kosmicznej. Upominały się o sprawiedliwość dla skrzywdzonych, wołały o pamięć dla poniżonych, przypominały swoją słabością, że istnieje inne, surowe moralne prawo, opowiadające się przeciwko przemocy i niesprawiedliwości, istnieje od zawsze – tak, jakby poezja wiedziała coś więcej, przemawiała z głębi czasu i doświadczenia ludzkości. Nieliczne słowa, które pojawiały się na centralnym miejscu białej kartki, umieszczały nasze doświadczenie w szerszym, eschatologicznym porządku. Tak, jakby zostały wykute w powietrzu, zapisane w niebie. I jak w wierszu *Podajcie dalej* pisze poeta: „Niepodlegli nicości, podajmy dalej / Niebotyczne pismo obłoków, / Podawajmy je z ust do ust”.

A jednak ogromny kłopot miałyby ktoś, kto chciałby na fundamencie tej poezji oprzeć swój gest pogardy dla innych, zbudować trwale przeświadczenie o moralnej wyższości, inne przesłanie – tak, jak to często czynią ci, którzy czytają na przykład poezję Zbigniewa Herberta, wybierając z niej pierwszą linijkę i usilnie zapominając o ostatniej. To, co ogłasza i odsłania poezja Ryszarda Krynickiego, to, co chce podać dalej, okazuje się być często wstydlive: naga dusza, wydobyta na moment na jaw, poruszona, wysłana w miejsce nie-ja, bezbronna i zagubiona, jakby wyjęta wprost ze snu, gdzie błądzi ciemnymi, nie do końca zrozumiałymi korytarzami w poszukiwaniu drzwi. Życie wewnętrzne, poruszone, ukazuje się i okazuje się być jak otwarta rana. Jest, to znaczy boli. Boli, to znaczy, że jest i nie podlega nicości. Ukryte sprawy, w których bierze udział we śnie, stają się ujawnione, apokaliptycznie niepokojące, przeniesione w zaświaty, poza czas, tak jak wspomniana w jednym z wierszy mumia egipskiej księżniczki, wystawiona na widok publiczny w muzeum. Wydaje się, że wydobywający się z tego otwarcia w przestrzeń wspólną głos powtarza doświadczenie, ból, nadzieję i pamięć pokoleń, współczucie wobec świata w całości, wobec poniżonych kiedyś i dziś, wobec innych: zwierząt, roślin i kamieni, próbując prosić o dostąpienie w ten sposób daru uniwersalnej świadomości. Wyjęty

z poszczególnego ja, przesunięty poza skończone granice ciała, otwarty w kierunku nieskończoności, podróżuje przez białe strony papieru jak przez nieludzkie już przestrzenie, ale wtedy właśnie ból, czułość i miłość, te trzy, świadczą o autentyczności słów, bronią przed posądzeniem o zbytne eksponowanie siebie, nadają artystycznemu gestowi ciężar, nadają ciężar nawet białym polom, nawet milczeniu.

Czułość, której wiersze Krynickiego są wspaniałym świadectwem, z jej skłonnością do pamięci i namiętnością do szczegółów, to także dialog, bo dialog to pierwszy krok, zaproszenie, aby głos oddać innemu, a samemu pozostać po stronie niewymawialnego. Dlatego Krynicki jest coraz bardziej oszczędny, lakoniczny, coraz więcej białych, pustych przestrzeni w jego wierszach, a na ich tle coraz ostrzej i bardziej niejednoznacznie widnieją litery, znaki odsyłające nas do mistycznego „nie wiem”. Tak jak *abba* Agathon, ćwiczący się w milczeniu trzymając w ustach przez trzy lata kamyk. Tak jak poeta japoński Issa, rozmawiający ze ślimaczką. Tak jak Ryszard Krynicki, rozmawiający z kamieniem w wierszu *Będę o tym pamiętać*: „Pamiętaj, / że jestem twoim przyjacielem: / mnie możesz wszystko powiedzieć? I ty możesz mi wszystko powiedzieć. / Będę o tym pamiętać, / kamieniu”.

Poezja Ryszarda Krynickiego ma w sobie moc artystycznego gestu, jest procesem. To przede wszystkim poezja, która zmienia się, podlega metamorfozie. Dynamikę jej morfologii możemy zauważyć od pierwszego wydanego przez niego tomu aż po coraz rzadsze i coraz bardziej milczące tomy późniejsze. Krynicki nie tylko ewoluował w czasie – on także wciąż zmienia i poprawia wersje swoich wierszy z dawnych lat, skracając je i przeformułując. Mamy więc do czynienia z gestem artystycznym, który wprowadzając w przestrzeń publiczną słowa, poddaje je na bieżąco modyfikacjom, eksperymentuje na istniejących artefaktach, czyniąc je wciąż pozornie niedokończonymi, niegotowymi, nieostatecznymi, a przecież wciąż mistrzowsko skonstruowanymi maszynkami do produkowania sensów i równocześnie zwątpienia w nie, do generowania pytań. W ten sposób wpuszczeni do odbioru i współuczestnictwa w poezji zostają także odbiorcy. Dodatkowo wiersze Krynickiego, pełne wizualnego mistrzostwa, grają zestawieniami liter, pojedynczymi zgłoskami, wielkimi i coraz większymi obszarami białej pustki, równie znaczącymi jak same słowa, tworząc na papierze wizualny znak artystyczny i nawiązując w ten sposób do tradycji plastycznej awangardy. To nie wszystko, bowiem sposób czytania i dźwiękowa realizacja zapisanych utworów staje się kolejnym procesem. Milczenie jest w poezji Krynickiego nie tylko słowem, ale i realizowanym

postulatem, to, co „niewypowiedziane”, ciąży podobnie jak wypowiedziane. Wiersz dzieje się, jest w ruchu, tworzy ruch, emanując energią, podobnie jak muzyczny utwór.

Gdybym miał na potrzebę naszego tu dziś spotkania spróbować dać jakąś definicję określającą sztukę w ogólności, a poezję w szczególności, powiedziałbym, że i jedna, i druga jest wehikułem ludzkiej *psyche*. Przy czym wehikuł ten powinien poruszać, uruchamiać i przenosić *psyche* nie tylko piszącego, ale także i czytającego, nawet jeśli takowa jest z pozoru niewidoczna i niewyczuwalna. Powinien więc, po pierwsze, ją odstąpić i ujawnić. Jeśli greckie słowo *psyche* zastąpimy polskimi słowami: „świat psychiczny” albo „życie duchowe” czy po prostu „psychika”, jak chcą jedni, i „dusza”, „duch”, jak będą woleli inni, natomiast polskie słowa: „poruszać”, „uruchamiać” i „przenosić”, zastąpimy wziętymi z łaciny „animować” i „transportować”, a z kolei „ujawnianie” czy „odstąpienie” przełożymy na z łacińska brzmiące: „rewelację”, „ekspozycję” albo grecką „apokalipsę”, to wehikuł ten stanie się na tyle obszerny, że i my będziemy mogli popróbować przejażdżki.

Poruszać, czyli wprawiać w ruch, w ciągłą i nieskończoną zmienność punktów widzenia, jaką jest trajektoria tego ruchu. „W twoim sercu przecina się nieskończona liczba prostych, które nie mają początku, ani końca”. Albo z innego wiersza: „Ile jeszcze światów [...] W ziarnku piasku, / w żrenicy kamyka, / na zagubionej planecie, / krążącej coraz szybciej / wokół białego / potem czarnego karła po obrzeżach / tej jednej z około / stu dwudziestu pięciu / miliardów / pierzchających galaktyk”. To *mise en abyme*, myśl, która przyprawia o kosmiczny zawrót głowy, otwierająca przepaść. Otóż wiersze te otwierają małe i wielkie przepaści, w które wpadamy. Jak choćby taki wiersz Krynickiego, pozbawiony tytułu, z mottem „z mistrza Eckharta czy z Księgi Zohar?": „nic, Bóg”. Pomiedzy tymi dwoma biegunami, pomiedzy słowem „nic” a słowem „Bóg” jest przecinek. Przecinek jako znak przestankowy, tu należy przystanąć, o to może się potknąć tok mowy. On oznacza przystanek w drodze, wskazuje na ciąg dalszy, jest znakiem części, nie całości, odsyła w przyszłość, jest znakiem przejścia, przeniesienia, dodaje niezbędny element, jest nadzieją na dokończenie. Ten przecinek to właśnie punkt, w którym jesteśmy. Pomiedzy dwiema ostatecznościami. W przejściu, w ruchu, w miejscu tranzytowym. To niemal niezauważalny znak, na który nie zwracamy większej uwagi. Kiedy czytamy wiersz, istnieje on tylko jako drobna pauza, zawieszenie głosu pomiedzy dwoma słowami na sekundę, chwila na zaczerpnięcie powietrza, milczenie trwające ułamek sekundy. Tyle, ile trwa życie.

LESZEK SZARUGA

Dobrze o złu (2)

Nie zawsze złe wybory podejmowane są w pełni świadomie, z wyraźnym zamiarem czynienia zła. Skrzywdzić drugiego człowieka można mimochodem, bezwiednie, co zdarza się często właśnie w imię „wielkiej idei”, w dążeniu do naprawy dostrzeganych w świecie niedoskonałości, których usunięcie uważa się za podstawowy cel poprawy ludzkiej kondycji. Dzieje się tak wówczas, gdy ów cel wyznacza się w oparciu o własne, niekonfrontowane z innymi rozpoznania rzeczywistości, które narzuca się innym bądź siłą, bądź za sprawą daru przekonywania, lecz nie dochodzi się do jego określenia w drodze dyskusji, za sprawą której staje się on wartością wspólną.

*

Obecność zła intryguje, zastanawia, porusza. Lecz zarazem skłania do przyjęcia go za rzecz nieuniknioną, a nawet niezbędną dla wypełnienia ludzkiego losu. W jednym ze swych widzeń Juliana z Norwich – tekst przytacza w swym artykule *Objawienie Juliany. Śmiała się głośno z wysiłków piekła* siostra Małgorzata Borkowska – mówi: „Gdyby grzech nie zaistniał, byłibyśmy wszyscy czystszy i podobni do Pana naszego, tak jak nas stworzył. Bo tak samo i wcześniej zastanawiałam się w swojej głupocie, dlaczego przewidująca mądrość Boża nie powstrzymała grzechu; wtedy bowiem, jak mi się zdawało, wszystko byłoby dobrze... Ale Jezus, który w tym widzeniu pouczył mnie o wszystkim, co mi było potrzebne, odpowiedział tak oto: Grzech był nieunikniony, ale wszystko będzie dobrze, i wszystko będzie dobrze, i wszystko wyjdzie na dobre”.

Juliana była pierwszą kobietą piszącą po angielsku. Jej tłumacz, Aleksander Gomola, w rozprawce *Kilka uwag o tłumaczeniu tekstu religijnego na marginesie przekładu „Revelations of Divine Love”*, wskazuje na kłopoty ze zrozumieniem jej przekazu: „Kolejny problem wiąże się ze słynnymi słowami Juliany: »*sin is behovely*«. Fraza ta sprawia ogromne trudności interpretatorom: w skrajnej interpretacji należałoby uznać ją za heretycką, jeśli zaś chcemy ją zaakceptować, musimy widzieć w niej radykalną reinterpretację chrześcijańskiej soterologii. Dodajmy jednak, że właśnie ze względu na swoją oryginalność słowa te stały się inspiracją dla pilnych czytelników Juliany. Ponieważ

przymiotnik *behovely* znikł praktycznie ze współczesnej angielszczyzny, tłumacze średnioangielskiego oryginału proponują takie ekwiwalenty jak *sin is beffiting* (grzech jest rzeczą stosowną/właściwą/odpowiednią), *sin is necessary* (grzech jest konieczny). Przede wszystkim jednak tłumaczenie *sin is behovely* musi uwzględniać kontekst doktrynalny, tak ważny dla tłumaczenia tekstu religijnego. Jest nim tutaj liturgia Triduum Paschalnego i śpiew *Exultat* z obrzędów Wielkiej Soboty, kiedy to słyszymy słowa: »O zaiste konieczny był grzech Adama, który został zgładzony śmiercią Chrystusa! O szczęśliwa wino, skoro ją zgładził tak wielki Odkupiciel!«. Właśnie dlatego najlepszym polskim ekwiwalentem *sin is behovely* jest lekcja: grzech jest konieczny”.

W tym kontekście nasuwa się nieodparcie pytanie, czy grzech jest tożsamy ze złem, jeśli zaś tak, to na czym – w przestrzeni chrześcijaństwa – zasażać by się miała jego konieczność.

*

W *Rozmowach z diabłem* Leszka Kołakowskiego jeden z rozdziałów zatytułowany został *Stenogram z metafizycznej konferencji prasowej demona w Warszawie dnia 20 grudnia 1963*. Tytuł ten wydał mi się intrygujący, postanowiłem zatem dojść znaczenia daty owej konferencji, nie jestem bowiem skłonny uważać, że jest ona wybrana przypadkowo. Sprawdziłem zatem w Wikipedii, co się wówczas działo i okazało się, że tego dnia – a był to piątek – we Frankfurcie nad Menem rozpoczął się drugi proces załogi obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, w którym jednym z oskarżonych był urodzony w 1906 roku *Rapportenfürher* Oswald Kaduk, obdarzony przez więźniów pseudonimem „Diabeł” – udowodniono mu udział w zabójstwie tysiąca osób i skazano na dożywocie, którego to wyroku nie odsiedział, zwolniony został z więzienia ze względu na zły stan zdrowia w roku 1989, zmarł osiem lat później, żył zatem jeszcze w czasie, gdy w 1965 roku ukazała się książka Kołakowskiego, ale to nie dowodzi, że jej autor znał wyrok sądu, który zapadł 10 sierpnia tegoż roku, jako że rzecz skierowano do druku 3 marca 1965. Niemniej zapewne przebieg procesu mógł być mu znany z licznych doniesień prasowych i być może za sprawą tych doniesień wybrał Kołakowski datę rozpoczęcia procesu za godną wyróżnienia w tytule. W każdym razie koincydencja ta wydała mi się godna odnotowania.

Demon Kołakowskiego tak oto uzasadnia swe istnienie: „Żyjąc z negacji ładu, żyje tym samym z tegoż ładu, któremu przeczy, a który, ze swej strony, jest współokreślony w swym istnieniu przez obecność owej siły negatywnej, jaką jest demon. Świat, w którym dzieło demona dokonałoby się w sposób ostateczny, byłby światem bez demona, a więc byłby demona zaprzeczeniem,

jednakże demon nie może istnieć również inaczej, jak w ruchu, którego orientacyjnym motywem jest spełnienie niszczycielskiego dzieła w sposób ostateczny. Ponieważ tedy sam głód destrukcyjny tworzy demona, zaspokajanie owego głodu wymaga obecności niszczonego ładu, wymaga tedy pewnego zrównoważenia obu form bytu składających się na świat; otóż nic nie jest mi równie nienawistne, jak zrównoważenie. Trzeba zatem uznać, że demon nie jest podmiotem głodnym destrukcji, ale samym głodem, albowiem podmiot głodny może osiągnąć zaspokojenie, ale dla samego głodu zaspokojenie podmiotu oznacza wygaśnięcie. W tym sensie istotnie demon uwiesił swoją obecność na pewnej szali, której nadaje stan równowagi w stosunku do innej, dążąc zarazem do naruszenia tej równowagi w niemożliwym i sprzecznym pragnieniu pozostania sobą po zniszczeniu swego antagonisty. Tak należy rozumieć sławny zwrot Goethego – *ein Teil von jeder Kraft* etc. – który wskazuje na nieuchronną sprzeczność zawartą w samej egzystencji demona, nie zaś, jak tłumaczą płacy katecheci, na to, że z boskiego zrządzenia jakoby dzieła demona tak czy inaczej obracają się w przeciwieństwo jego zamiaru, tj. budują, miast niszczyć”.

Przytaczam zatem Goethego odpowiedź daną przez Mefistofelesa Faustowi, że jest

*...ein Teil von jener Kraft,
die stets das Böse will und stets das Gute schafft.*

Jest zatem demon częścią owej mocy, co wciąż chce czynić zło i wciąż dobro sprawia.

Otóż, przekonuje demon Kołakowskiego, zło i dobro to kwestia nazewnictwa: „Słowo »zło« nie zawiera w sobie nic patetycznego, żadnej grozy ani wzniosłości, jest rzeczowe i oschłe, wskazuje dokładnie na rzecz, o którą chodzi, zwyczajnie, tak samo, jak słowo »kamień« i słowo »chmura«; jest dopasowane ściśle do przedmiotu, trafia w swoją realność nieomylnie, jest precyzyjne, bez polotu. Zło jest rzeczą, zwyczajnie, jak rzecz”.

Ale zło realne wymyka się słowu. Zrozumiał to Julian Przyboś, gdy w puen-cie swego wiersza o Auschwitz, podejmując polemikę z puentą traktatu Wittgensteina, napisał: „O tym nie można ani mówić, ani milczeć”.

*

Zło, o którym mowa w tekście Kołakowskiego, jest złem zamierzonym, czynionym ze świadomością czynienia zła, ale też z przekonaniem, że tak

postępując, utwierdza się dobro, gdyż właśnie za sprawą dialektycznego zaplotu zła i dobra utwierdza się strukturę bytu. Demon utożsamia się z głodem zła, ale w istocie uprawia tanią demagogię, mającą na celu jedynie usprawiedliwienie własnego istnienia. Nie przypadkiem powiada przewrotnie: „A jeśli wiedza demona ma naprawdę granice, to nie jest możliwe, by był on wolny od błędów w stawianiu pytań, a więc i w odpowiedziach. Tym samym nie można uznać żadnych z jego oznajmień za autorytatywne, w szczególności również oznajmienia co do jego własnego istnienia”.

Cóż – wiedza ludzka także ma swoje granice, choć zapewne prawdą jest, że są one nieustannie poszerzane i pogłębiane. Niemniej skądinąd potrafimy na ogół wskazać zło i wywieść stąd pewność jego istnienia. Lecz czy rzeczywiście? Czy zawsze i dla wszystkich to, co ja skłonny jestem złem nazywać, rzeczywiście za zło będzie uważane? Wszak z doświadczenia wiemy, że tak być wcale nie musi. W kwestiach tego, co jest dobrem lub złem, potrafimy się zasadniczo różnić. Byłoby rzeczą straszliwą, gdybyśmy uznali, że i owe różnice są złem. Byłoby rzeczą jeszcze straszniejszą, gdybyśmy ze sobą o owych różnicach nie potrafili rozmawiać.

Szereg wątpliwości dotyczących biegu spraw dotyczy kwestii urzędzenia ładu społecznego. Jeśli w większości przypadków nie mamy wątpliwości, gdy złem nazywamy zarówno system nazistowski, jak i komunistyczny, to już demokracja zdaje się być ustrojem niejednoznacznym, przy czym nie od rzeczy będzie spostrzeżenie, że nader często skłonni jesteśmy w ostatnich dziesięcioleciach obdarzać ją przymiotnikiem dookreślającym: demokracja socjalistyczna, demokracja ludowa, demokracja liberalna. Ostatnie z nich w sposób dość wyrazisty przeciwstawiane było w tamtym czasie systemowi komunistycznemu – podnosiło rangę swobód w komunizmie co prawda deklarowanych w aktach prawnych, w praktyce atoli skutecznie likwidowanych. I oto dziś okazuje się, że owe swobody mogą okazać się dla człowieka niebezpieczne, zaś samo pojęcie demokracji liberalnej popada w podejrzenie. W szczególności za niebezpieczne uważają zwolennicy tego poglądu postępujące procesy sekularyzacji i ateizacji społeczeństw Zachodu, widząc w nich źródło relatywizacji takich wartości jak prawda, dobro i piękno, tych zatem, które jakoby w przeszłości tworzyły fundament naszej cywilizacji. Wolność zatem – zdają się powiadać – nie może być wartością autonomiczną, gdyż łatwo przeobraża się w dowolność bądź samowolę i by temu zapobiec, należy ją zdyscyplinować, co w warunkach przyspieszonych przemian technologii, zwłaszcza w sferze wytwarzania i obiegu informacji, jest tym bardziej pożądane, iż dynamika

tych procesów zagraża naszej tożsamości poprzez wytwarzanie chaosu, nad którym już zapanować nie sposób. A tym samym, podkreślają, liberalizm przekształca się w swoje przeciwieństwo: gdy wszystko wolno – odwracają słowa Dostojewskiego z *Braci Karamazow* – wówczas Boga nie ma. Taka wolność jest dla nich złem.

Sklonni są zatem zestawiać demokrację liberalną z nazizmem i komunizmem, z tym ostatnim tym łacniej, że doktrynalnie istnieniu Boga zaprzeczał. Brak Boga jest dla nich równoznaczny z brakiem ładu, brak ładu zaś narusza ich potrzebę bezpieczeństwa. W tym nieusuwalnym konflikcie między wolnością i bezpieczeństwem wolność okazuje się złem, bezpieczeństwo dobrem: im więcej wolności bowiem, tym mniej bezpieczeństwa – lęk przed wolnością jest obawą przed nieznanym, niewiadomym, z którym zetknięcie oznacza ryzyko zachwiania równowagi i utraty pewności.

*

W końcu sama demokracja okazuje się ładem podejrzanym, na co zresztą wskazywali i Platon, i jego uczeń Arystoteles. Jeśli demokracja liberalna była dawniej dopełnieniem równoważącym dobro i zło w świecie, to gdy diabeł został pokonany, sama przejęła jego rolę, niejako weszła – w ujęciu jej krytyków – w jego skórę. A stało się tak, ponieważ swe fundamentalne wartości – wolność i równość – doprowadziła do absurdu. Jest zatem jakby negatywem postaci Mefistofelesa z *Fausta*: chcąc czynić dobro, czyni zło, ale tym samym staje się postacią groteskową i na swój sposób banalną – nie przypadkiem pisze Hannah Arendt o „banalności zła”.

Lecz jeśli nastąpiła taka zmiana kostiumu i niegdysiejsze dobro wyewoluowało ku złu, cóż ma być dobrem, które, jeśli równowaga w świecie ma być zachowana, można by mu przeciwstawić? Coś, co demokracją nie jest? Co by to mogło być?

Odpowiedź, która budzi tu najmniej wątpliwości, to wskazanie świata wartości nieredukowalnych i niepoddających się relatywizacji, jasno zdefiniowanych i niezmiennych. Rzecz w tym wszakże, że póki co nawet religie nam takiego systemu wartości nie potrafią oferować, co być może jest jedną z głównych przyczyn postępującego procesu sekularyzacji i ateizacji społeczeństw. Religie bowiem dają nam zawsze jedynie różne wykładnie tego, co odczytujemy jako słowo Boga, zestaw praw i przykazań – dość wskazać gigantyczne biblioteki, na które składają się interpretacje czy to Biblii, czy Koranu, czy wszelkich dostępnych Ksiąg. O poprawność tych lekcji toczą się od wieków debaty, których do końca rozstrzygnąć nie sposób – by wskazać

tylko teksty Juliany z Norwich, Hildegardy z Bingen bądź Elżbiety ze Schönau, by tylko przy kobietach czasów średniowiecza pozostać, a nie wskazywać pism Ojców Kościoła. Przy czym poddawane pod dyskusję są nie jakieś sprawy niewielkiej wagi, lecz kwestie fundamentalne. Ostatecznie pozostaje, jako punkt odniesienia, sama wiara w Boga i w to, że jest On dobrem – lecz tej nie każdy dostępuje. W istocie jesteśmy zdani sami na siebie, co nie przeczy dociekaniom antropologów, wskazujących na fakt, że potrzeba religijności zdaje się być wpisana w kondycję człowieka niezależnie od tego, w jakiej kulturze wyrasta. Mamy w naszą kondycję wpisaną potrzebę wiary w istnienie niepodważalnych aksjomatów – dotyczy to wszelkich dziedzin, matematyki nie wyłączając. Koniec końców jednak nie jesteśmy w stanie wywieść, skąd owe aksjomaty są nam dane – bez nich zawsze grozi nam chaos. I nie ma tu nic do rzeczy, czy uznamy je za ustanowione przez instancję od nas wyższą, czy przez ludzki rozum. Wiara w rozum albowiem jest jakimś *contradictio*. Ale niewiara w rozum czyni nas bezradnymi.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (57)

Bez tytułu i daty (L)

Trzymaliśmy się w kole za ręce i pod wodzą nauczycielki śpiewaliśmy „rolnik sam w dolinie, rolnik sam w dolinie”. Druga lub trzecia klasa szkoły podstawowej, lekcja wuefu. W tamtych latach z braku sali gimnastycznej wuef odbywał się często na szkolnym korytarzu. Podłoga korytarza wyłożona była szerokimi, czarnymi, smołowanymi deskami. No więc w tłumie i wzniesionym przez ponad trzydzieści par stóp kurzu kręciliśmy się tanecznymi krokami na wąskim korytarzu, rolnik brał żonę, żona brała dziecko, dziecko brało kotka, kotek brał myszkę, myszka brała serek. Wiadomo, że ser zostawał w kole, „bo nie umiał w szkole tabliczki mnożenia ani podzielenia”. Prościutka zabawa, jak proste były wtedy zabawki i w ogóle dziecięce zabawy. Nie lubiłem „rolnika”, a zarazem bardzo mnie ta zabawa pociągała. Czterdzieści pięć minut miało w okamgnieniu. Mam przed oczami rozemocjonowane twarze koleżanek i kolegów, Ali Flis, Eli Cholewińskiej, Marty Cisło, Eli Zarębskiej, Stasia Krajewskiego, Ryśka Komana, Bogdana Skóry. I tego widoku żaden wiatr już nie zmiecie.

„Kiedyś byłem dla ciebie pachnunca, teraz jestem śmierdzunca” – tak pani M. z Czołek powiedziała do gospodarza, u którego do śmierci pracowała, gdy oboje byli już w późniejszej fazie życia. Nie wiem, jak do nas dotarła ta budząca wesołość formuła.

Babcia konsekwentnie i z ledwo skrywanym upodobaniem, co podkreślałam, przekręcała brzmienie niektórych słów. – Niemczyn? Miomczyn? Jak to się mówi? – pytała, gdy chciała przywołać nazwę nieodlegle od Czołek położonego Miączyzna. A nas to bawiło, bo to była taka gra. Albo: – Co to takiego ta czuska? – pytała o trzustkę, gdy usłyszała nazwę tego narządu w telewizji czy w radiu. Albo: – Co to jest asma? – gdy mowa była o astmie. – Kir, tir? Jak to się mówi, bo nigdy nie wiem – upewniała się o wymowie tira, choć świetnie wiedziała, że tir to nie kir. To były wesołe i niespodziewane chwile w rozmowie, językowe i obyczajowe konfetti, dla którego nigdy nie miałem więcej czułości niż teraz.

Rodzimi ekolodzy i „ekolodzy” rytualnie biadają nad losem karpia na tradycyjnym wigilijnym stole. Nie zauważyłem wszakże, by biadali nad losem milionów amerykańskich indyków, bez których mało wyobrażalny wydaje się posiłek w Dniu Dziękczynienia.

Układam nowy tom wierszy. Trudne zadanie, choć przesadą byłoby powiedzieć, że to udręka. Na pewno nie powiedziałbym, że układanie tomu jest zabawą. Zdaje mi się, że poruszam się w labiryncie: można tędy, ale można też tędy. Więc którędy? Światło – niech będzie, że światełko – jest, to zamykający tom utwór, poetycka koda. Muszę do niego dotrzeć właściwą drogą, mając różne, zapewne fałszywe lub tylko „gorsze” alternatywy. Zarówno utwór, który zamyka tom, jak i ten, który go otwiera, tworząc myślową i emocjonalną ramę, nadają książce wyraz. Przez chwilę uległem pokusie, żeby wiersze podać chronologicznie, tak, jak powstawały, byłby to jednak unik, pójście na łatwiznę. Bo oczywiste jest, że tom wierszy winien tworzyć dramaturgię, budować napięcia, wzmacniać je i wygaszać, poruszać wyobraźnię, odwoływać się do doświadczenia czytelnika. Winien zaprezentować myśl autorską, której nie da się wyrazić inaczej. Chodzę po mieszkaniu z kartkami, na których wydrukowałem utwory. Przymierzam je do siebie, sprawdzam, jak czują się w sąsiedztwie. Jakbym tasował karty, ale to coś o wiele więcej niż tasowanie kart. Wiersze w cudzych tomach czytam zwyczajowo na chybił trafił, nie twierdzą jednak, że jest to najlepsza metoda. Ale jak czytelnik postąpi z moimi wierszami, tego nie wiem i pewnie wolę nie wiedzieć.

Wielkiej piękności tom *Wierszy zebranych* Pawła Hertza. Piękność tym cenniejsza, że nie błyszczcy.

Gdybym prowadził rubrykę opatrzoną nagłówkiem „Z życia redaktora”, to ta notatka mogłaby się tam znaleźć. W recenzji, którą zamówiłem, znalazła się fraza „dla polskich czytelników i czytelniczek”. Napisałem do autora, że słyszę w niej rym genderowej z ducha, płciowej formuły typu „posłanki i posłowie”, „sprzedawczynie i sprzedawcy”, etc. Autor odpowiedział mi, że „względna kanciastość czy nikła ekonomiczność” frazy to cena, którą chce płacić za „manifestowanie językowej równości”, że to taki „cichy bój”, „faktycznie: genderowy z ducha”. A ja mojemu autorowi na to, że ta fraza nie tyle mnie razi, ile śmieszy. I wyraziłem obawę, by „językowa równość” nie okazała się niedźwiedzią przysługą nie tylko dla języka.

www.kwartalnik.art.pl



Wszystkie wiersze Kawafisa

Znów Kawafis w Krakowie. Tym razem – wiersze wszystkie, prawie wszystkie, w edycji dwujęzycznej. Znalazł grecki poeta z Aleksandrii wspaniały dom w spolszczeniach jego utworów właśnie w ostatnich latach w Krakowie, za sprawą Ireneusza Kani (*Czekając na barbarzyńców* / ΠΕΡΙΜΕΝΟΝΤΑΣ ΤΟΥΣ ΒΑΡΒΑΡΟΥΣ, Wydawnictwo Austeria, 2013), Jacka Hajduka (*Kanon. 154 wiersze*, Wydawnictwo KEW, 2014), monografia *Kawafis. Świat poetycki* (Tyniec, Wydawnictwo Benedyktynów, 2015) i ponownie – teraz – Ireneusza Kani, który obdarza nas, razem z Wydawnictwem Austeria, przekładami całości dzieła Aleksandryczyka w dwujęzycznej edycji *Wierszy wszystkich*.

Wcześniej dominującym ośrodkiem przybliżającym poezję i myśl historiozoficzną Kawafisa była Warszawa, za sprawą długie lata prowadzonych i weryfikowanych, od lat sześćdziesiątych XX wieku, prac translatorskich Zygmunta Kubiaka,

a stosunkowo niedawno Antoniego Libery i tomu jego przekładów, wydanego również w Krakowie, w Wydawnictwie Znak. Nie należy zapominać także o wielu tłumaczach, którzy przyswoili nam po kilka zaledwie utworów, czy tych, którzy posiłkowali się wersjami angielskimi, jak choćby Czesław Miłosz, który zamieścił swoje przekłady w tomie *Prywatne obowiazki*, a wiele lat później dwa utwory Kawafisa w słynnej antologii *Wypisy z ksiąg użytecznych*.

Cóż może być tak pociągającego w niewielkim ilościowo dorobku poety zmarłego w 1933 roku? Bo jest jednym z tych poetów dwudziestowiecznych, obok Eliota, Rilkego, Mandelsztama i naszego Miłosza, którego dzieło i dykcja wyznaczyły nowe dukty dla liryki europejskiej i światowej. Bo w jego frazach i kolejnych wariantach przekładów znajdujemy wciąż atrakcyjny i nowoczesny warsztat i odczucie świata, pozwalające lepiej i pełniej zrozumieć przeszłość i teraźniejszość śródziemnomorskiej rodziny, zawitości historii, kręte drogi ludzkiej *hybris*, złudzenia i namięt-

ności nieobce nam – dzisiejszym. Dla wielu, począwszy może w naszej poezji powojennej od Zbigniewa Herberta, inspirująca i ożywcza wydawała się, a może wydaje się dotąd, ironia, poetycki obiektywizm, swoista anegdotyczność wierszy, wielogłosowość i wtrącenia, czyli inscenizowanie sytuacji w obrębie utworu, wyrafinowane eksperymenty na „czasie w wierszu” i formy monologu dramatycznego jako „poezji doświadczenia”, które do mistrzostwa doprowadził Kawafis, ten spadkobierca monumentalnej tradycji. I może też ciągle pociągające jest to, że Kawafis jawi się jako poeta utraty i spraw przegranych (jak jego ulubiony bohater paru wierszy – niewydarzony cesarz Julian Apostata), braku złudzeń, odosobniony, samotny i „biedny” w swoich pasjach i obsesjach. Jako budowniczy prawie-realnych światów przeszłości, a może – jak chce Szymborska – autor sugestywnych „śpiewów historycznych”?

Kawafis przyszedł na świat w Aleksandrii, w rodzinie kupieckiej, jego przodkowie byli obywatelami Konstantynopola. Te miejsca wyznaczają niektóre znaczące wątki w jego dojrzałej poezji, jak i przebywanie w orbicie języka i kultury angielskiej, kiedy rodzina poety po śmierci ojca udaje się na kilka lat (1872–1879) do Anglii. W ciągu całego życia odbył

trzy podróże do Grecji. W dzieciństwie, po epizodzie angielskim, mieszkał z rodziną w Stambule.

Urodził się w kwietniu 1863 roku, zmarł po siedemdziesięciu latach w swoje kwietniowe urodziny, w 1933 roku. Pracował jako makler giełdowy, ale głównie jako urzędnik w egipskim ministerstwie, w administracji brytyjskiej. W młodości odwiedził Londyn i Paryż. Nie przepadał za podróżami.

Wiersze swe upowszechniał nieczęsto, od czasu do czasu przygotowywał w niewielkim nakładzie kilkuwierszowe broszury dla przyjaciół; orzekł, że tylko sto pięćdziesiąt cztery utwory z całego dorobku są kanonem, który można objawiać światu. Kanon ten po raz pierwszy opublikowany został staraniem Stowarzyszenia Pisarzy Greckich w Wydawnictwie Sztuka Aleksandryjska w Atenach, w dwa lata po śmierci Kawafisa, w 1935 roku.

Pisząc przed laty o jednym z najsłynniejszych i najczęściej może tłumaczonym wierszu Kawafisa o czekaniu na barbarzyńców, znalazłem w dziełach naszych noblistów myśli, które i tu warto, dla zrozumienia wyjątkowości tej dykcji, przytoczyć. Oto Wisława Szymborska w swych *Lekturach nadobowiązkowych* napisała: „Kawafis przewyższył niebezpieczeństwo nadmiernej literackości w ten sposób, że na

pozór uległ jej całkowicie [...]. Postępował jak rasowy epik, i był nim naturalnie na dzisiejszy sposób”. I jeszcze inne jej zdanie warte jest przytoczenia: „Historię widzi jako bolesny dla jednostki proces, gdzie każdy upadek i każdy tryumf jest śmiesznie chwilowy”. Miłosz mówi, że Kawafis wyprawiając się w dzieje cywilizacji helleńskiej, znajduje tam rodzaj metahistorii, „powtarzające się i odnawiające się wzorce”. Wiersz napisany w 1898 roku po z górą stu dwudziestu latach uruchamia w nas nadal żywe reakcje, jego ironia – po wczesnej fazie zauroczenia francuskim symbolizmem – wiedzie od strony angielskiego „zaplecza”: to w dziele osiemnastowiecznego historyka Edwarda Gibbona *Zmierzch Cesarstwa Rzymskiego* znajdziemy podobnie precyzyjną opowieść o odległych zdarzeniach i ten sam rodzaj ironicznej ich obserwacji. Ta intuicja okazała się trafna, bo w powstałej pracy naukowej Diany Haas wyczytać można, że praca Gibbona była jedną z istotnych lektur mieszkańca domu przy ulicy Lepsjusza 10 w Aleksandrii; że na marginesach *Zmierzchu Cesarstwa Rzymskiego* poeta pozostawił liczne uwagi i glosy.

Poeta egzystujący w diasporze, który nie wydał za życia żadnej „prawdziwej” książki poetyckiej, w okresie dojrzałym bywał coraz bardziej doceniany, także w świecie

kultury Zachodu, choćby za sprawą pierwszego entuzjasty, E.M. Forstera czy trzy dekady później Marguerite Yourcenar. W samej Grecji miał rosnące grono admiratorów i wydawców, między innymi późniejszego noblistę, uważanego za następcę Kawafisa, Jorgosa Seferisa, którego wydany w Polsce, również w 2019 roku, dziennik *Dni 1941–1956* (w tłumaczeniu Michała Bzinkowskiego) przynosi liczne notatki o Kawafisie do nienapisanej – w końcu – książki o autorze *Itaki*. Seferis zwraca uwagę na kwestie języka wierszy Kawafisa – zaczynał je pisać w tradycji *katharewusy*, oficjalnego języka literatury (tak pisane bywały utwory zaliczone przez ich twórcę do wierszy odrzuconych), by – czytając dawne teksty źródłowe, podsluchując język ulicy – dojść do „własnego *demotyku*”, języka uzwyklonego, korzystającego jednak z różnych rejestrów greckiej mowy potocznej.

Autor wstępu do *Wierszy wszystkich* wylicza, że cały poetycki dorobek Kawafisa to dwieście pięćdziesiąt sześć wierszy; Ireneusz Kania daje czytelnikowi w tym grubym tomie dwieście pięćdziesiąt jeden utworów, wyjaśniając w słowie od tłumacza powody swoich decyzji: tych kilka pominiętych tekstów to młodzieńcze wiersze napisane po angielsku, francusku, jeden jest grecką parafrazą sonetu Baudelaire’a,

przestaje być ona wypowiedzią humanisty, rozprawą o ludziach – wielkich i małych, dobrych i złych, bliskich i bardzo niekiedy odległych. *Papuga i ratlerek* to książka o Miasteczku i jego mieszkańcach, to narracja o świecie, w którego doświadczaniu Miasteczko używa punktu odniesienia. To opowieść o tym, jak różne fragmenty mapy administracyjnej przechodzą w mapę mentalną. Nie ma bowiem jednego podwarszawskiego miasteczka, co sugerować mogą zwykłe mapy i czego uczą szkolne atlasy. Są różne i często niedające się pogodzić ze sobą zapamiętane obrazy, rozmaite i niepozwalające się zsumować miasteczkowe narracje. Dlatego nie zdziwiłbym się, gdyby po najnowszy tom Michała Głowińskiego sięgnął geograf i gdyby ktoś z zawartych w książce opowiadań przeniósł do antologii mającej zilustrować tezy współczesnej geografii humanistycznej.

Papuga i ratlerek to przejmująca książka o przestrzeni i jej odczuwaniu. O tym, że nie ma przestrzeni jednej, tak samo odbieranej zawsze i przez wszystkich. Podobnie – nie ma jednej przestrzeni zamkniętej, nie ma jednego, wspólnego wszystkim, doświadczenia uwięzienia, jednego, identycznego u wszystkich, strachu przed ciasnotą, jakiegoś uniwersalnego lęku przed uduszeniem

się. Część pierwszą zbioru kończy opowiadanie *Klamka*. Ta lokalizacja szkicu nie jest przypadkowa, chodzi wszak o tekst pierwszą część – zamykający. *Klamka* jest opowieścią o tym, jak przestrzenny i niedostrzegany przez innych drobiazg maltretować może psychikę, uruchamiać wspomnienia chwil strasznych, i jak codzienna rutyna w jednej chwili obraca się w koszmar. Mapa Miasteczka jest w *Papudze i ratlerku* uboga w nazwy. Najczęściej padają tylko dwie: ulica Trzeciego Maja i ulica Szkolna. Ta nader skromna reprezentacja oficjalnej toponimii jeszcze wyraźniej ujawnia się tam, gdzie mowa o miastach dużych, prawdziwych europejskich metropoliach. Powojenna Warszawa to miasto trzech „ośrodków”, gdzie można się było zaopatrzyć w płyty z dobrą muzyką. Zapamiętany i zapisany we wspomnieniu Paryż Michała Głowińskiego ma jedną ulicę: rue Jacques Mawas. Podobnie: ożywiony pamięcią Amsterdam ma tylko Beethovenstraat, gdzie przed sklepami stale powtarzał się rytuał szorowania chodników. Każdy z nas ma swój własny Paryż. Amsterdam każdego mieszkańca i każdego przybysza jest inny. Każdy ma też jakieś Miasteczko. Nazwa oficjalna dehumanizuje przestrzeń, wyrывa ją z indywidualnych biografii, odziera z nawarstwionych na niej subiektywnych użyć i prywatnych skojarzeń.

Za oficjalną (i jedyną!) nazwą stoi anonimowa i abstrakcyjna władza. Przemawia przez nią autorytet państwa. Oficjalna nazwa trafia do historii, gdzie układa się w listę symboli: Katyń, Auschwitz, Treblinka. Prywatna kartografia rozszerza tę listę o inne jednostki: Radziwiłłów, Otwock, Turkowice...

Papuga i ratlerek jest książką o wspominaniu przestrzeni i ożywianiu miejsc, które składają się na jeden i niedający się skopiować życiorys. Życiorys ten nie rozwija się jednak przed czytelnikiem w zgodzie z kalendarzem. Autobiograficzna opowieść rozpoczyna się od przypadkowego momentu, jest posłuszna kaprysom pamięci, która nie pozwala się ujarzmić sztywnym ramom chronologii. Narracja w *Pani od matematyki* zaczyna się w sposób, który wcale nie uzasadnia kompozycyjnego uprzywilejowania tego opowiadania: „To był pierwszy normalny dzień lekcyjny w nowej szkole, w świeżo założonym drugim liceum ogólnokształcącym w naszym niewielkim mieście”. Zrelacjonowany dzień osadził się w pamięci autora nie dlatego, że był początkiem nowego etapu edukacji, że był w nim dniem wyjątkowym, bo pierwszym. Utrwalił się jako wspomnienie o dziwnym zachowaniu nauczycielki matematyki, która zbierała i starannie selekcjonowała rozłożone

na podłodze płachty codziennych gazet. Jest w książce Michała Głowińskiego wielka historia. Poznajemy ją jednak tak, jak wsączała się do autorskiej biografii. I oglądamy ją w miejscach, gdzie do takiego przenikania dochodziło. Opowiadanie *Pochód żałobny – 9 marca 1953* mówi przede wszystkim o dokuczliwym zimnie, fizycznym zmęczeniu i narastającym głodzie. Historia, która wartko toczyła się z głośników, nie mogła na ulicach Warszawy zagłuszyć dyskomfortu ciała. W marcowy dzień myśli młodocianych żałobników szybowały nie ku bolejącej Moskwie, lecz na Krakowskie Przedmieście, gdzie czekały pozostawione studenckie teczki.

Autobiografia zarejestrowana w opowiadaniach ma kilka miejsc ważnych. To przede wszystkim Miasteczko i pobliska Warszawa. Na mapie mentalnej Michała Głowińskiego bardzo silnie zaznaczone są punkty, które często trudno znaleźć na zwyczajnych mapach administracyjnych. Radziwiłłów i Wólka Korabiewicka zjawiają się w opowiadaniu *Podróż zimowa*. Pokazuje ono Dziadka, który – jakby w przeczuciu zbliżającej się śmierci – postanowił w grudniu 1952 roku odwiedzić rodzinę, u której w czasie okupacji ponad rok się ukrywał. Wyprawa kończy się dla Dziadka tragicznie: chorobą i rychłą śmiercią.

Prawdziwego patosu tej smutnej historii dodaje komentarz. Powierza go autor tytułowi, który musi budzić skojarzenia z cyklem *Winterreise* Franciszka Schuberta. Zestawienie małej podróży z wielką tradycją kultury europejskiej to strategia, której używa autor bardzo świadomie. Robi to między innymi w opowiadaniu *Pan Juliusz*, które kończy pochwałą literatury. Okazuje się ona narzędziem pomagającym zrozumieć innych: „W jakimś sensie postrzegam go [pana Juliusza] poprzez literaturę, a konkretnie – poprzez powieść realistyczną XIX wieku, w której nie brakowało sympatycznych starych kawalerów, czasem nieco zatabaczonych, ale zawsze pocziwych, ludziom życzliwych, wiernych w przyjaźniach”.

Tom *Papuga i ratlerek* składa się z dwóch części. Pierwsza (*Opowiadania wybrane*) prezentuje teksty z dwu autobiograficznych cykli próz: *Magdalenka z razowego chleba* oraz *Historia jednej topoli i inne opowiadania*. Część druga to mikroeseje („małe szkice”), które miały swój pierwodruk na łamach „Kwartalnika Artystycznego”. Takie połączenie da się odczytywać jako wsparcie zacytowanego na wstępie sądu – o tym, że humanistykę uprawiać można tylko ze wzmoczoną troską o język i kształt wypowiedzi. Ta troska widoczna jest w *Opowiadaniach*

wybranych, spisanych piękną i giętką polszczyzną. Cykl „małych szkiców” pokazuje inny rodzaj słownego mistrzostwa: lapidarność wysłowienia. Widać ją nie tylko w, ciężących ku aforyzmom, zakończeniach. Zwięzłość ujawnia się przede wszystkim w formułach tytułowych, syntetyzujących podnoszony problem (*Humanisci są pisarzami*), wyostrzających podsuwaną puentę (*Dwójmówienie*) lub zaskakujących wysublimowanym dowcipem językowym (*Pod wiatr (zachodni)*, *O przechodzeniu do historii*).

Prozę Michała Głowińskiego można smakować po kawałku, fascynując się aktami skanowania pamięci. Każde opowiadanie zaostrza czytelniczy apetyt.

Wojciech Tomasiak

Michał Głowiński, *Papuga i ratlerek*, Wydawnictwo Wielka Litera, Warszawa 2019

Utrwalona chwila zachwytu

Tak Czesław Miłosz określił istotę swej intelektualnej przyjaźni ze znakomitym eseistą, pisarzem Konstantym Jeleńskim. Pisał o nim w *Roku myśliwego*: „W ocenach był swój własny, szczerzy, nie cofał się przed krytyką, a zarazem zdolność do zachwytu miał niezwykłą.

I to nas łączy: utrwalona chwila zachwytu”.

Te dwa zdania, między innymi, przytacza Krzysztof Myszkowski w obszernym zbiorze esejów *Punkt wyjścia*. Zobaczyłem w tym cytacie portret autora książki. Pisze jedynie o tym, co go zachwyca. Jego definicja zachwytu nie jest jednak rzeczą łatwą ani małą.

Na początek, czyli w punkcie wyjścia, żadnej deklaracji, wstępu, zapowiedzi. Od razu do rzeczy. Pierwszy szkic ma tytuł *Ostatni monolog*, a jego tematem jest Eugène Ionesco, a właściwie jego *Testament*, ogłoszony drukiem na cztery miesiące przed śmiercią pisarza. Krzysztof Myszkowski relacjonuje treść tego eseju, ogranicza swoje komentarze, eksponuje cytaty starannie dobrane, esencjonalne.

Zaraz po owym swoście podwójnym monologu następuje niewielki szkic o lekturze, która u autora *Punktu wyjścia* wywołuje „metafizyczne i filologiczne dreszcze”. Dla wielu, również dla mnie, niedostępne, bowiem Myszkowski umieszcza tu uwagi o *Grecko-polskim Nowym Testamencie*. Jest to *Wydanie interlinearne z kodami gramatycznymi*. Także w tekście tego eseju nie znajdziemy uogólnień, które miałyby nas przygotować do lektury całego tomu. Kto czyta, niech rozumie. Przychodzi na myśl inny znawca źródeł kultury

europejskiej, i nie tylko tej, Ireneusz Kania. Obaj poruszają się po piętrach mało dostępnych, obaj szukają uniwersalnego sensu. Oczywiście, pamiętamy też o Czesławie Miłoszu, autorze nowych przekładów biblijnych z greki i hebrajskiego. Ale Miłosz w *Punkcie wyjścia* obecny jest stale. Jako punkt orientacyjny.

W notatkach czynionych na marginesach lektury klasycznego eseju Ericha Auerbacha *Mimesis*, umieszczonych już w środku książki, Krzysztof Myszkowski przytacza zdanie: „Niemał idealnym punktem wyjścia jest interpretacja ustępów tekstu”. Ta zasada to właśnie klucz. Nie tylko do obecnego dziennika lektur, lecz do całej dotychczasowej twórczości autora, w tym także tomu *W rozmowie* (2018).

Istotę punktu wyjścia tworzy wnikliwa lektura, trzymająca się możliwie najbliżej tekstu interpretacja. Autor nie poprzestaje na filologicznej eksplikacji, choć ta służy mu znakomicie i prowadzi do wydobywania głębokich znaczeń oraz ich niewidocznych powiązań. By ujrzyć przykłady znamienne, wręcz symboliczne dla całości, cofnijmy się do początku, do szkiców zatytułowanych *Do śmiechu* oraz *Do szczętu*. Pierwszy nawiązuje do *Pana Jowialskiego* Fredry, przelicząc aktualizujący most między, zdawałoby się, anachroniczną komedią a współczesnością. Wśród

parafraz i niby-żartów nagle uderzą nas zdania: „Nie dam się zatrasnąć w czczości i bezmyślności, tracąc cenny czas”. I dalej: „[...] kiedy nie było do śmiechu [...] Fredro [...] pozostał w kraju [...]. W niezdobytej twierdzy ze słów, na reducie. Plotąc swoje *Trzy po trzy*. Do śmiechu”. I zaraz na sąsiedniej stronie rozważania o zagadkowym słowie „szczęt”, zainspirowane cytatem z *Trzech sióstr* Czechowa: „Wszystko do szczętu. Nie zostało nic”. Następne jest skojarzenie z nicością u Becketta. A dalej z poezją Tadeusza Różewicza, czytana w szkicu *Coś się skończyło*. Kolejność tekstów nieprzypadkowa. Tytuły również.

*

O Różewiczu pisze Krzysztof Myszkowski także w innych miejscach. Podobnie jak o Czechowie, Becketcie, Witkacym, Gombrowiczu, Norwidzie... *Punkt wyjścia* jest notatnikiem z lektur niefabularnych, głównie esejów i listów, czasem dzienników (na przykład Iwaszkiewicza czy Gombrowicza). Twórczość, a zwłaszcza filozofia literacka tego drugiego analizowana jest w tomie Myszkowskiego kilkakrotnie, również poprzez korespondencję autora *Kronosa*.

Punktem wyjścia tej eseistyki jest potrzeba rozpoznania rzeczywistości, bez czego nie można jej ocenić i zająć stanowiska, wybrać drogi

i nią podążać. Krzysztof Myszkowski dzieła i autorów obdarza zaufaniem i oczekiwaniami. Mistrzami poezji są dla niego Wisława Szymborska, Czesław Miłosz, Julia Hartwig. Uważnie studiuje Tadeusza Różewicza, jego poezję czyta z krytycznym zrozumieniem („Tematem poezji realistycznej jest rozpad poezji”). Podziwiam erudycję krytyka, jego wnikliwość, dogłębne rozumienie tekstu. W *Notach o Różewiczu* przeprowadza analizę „zagadnienia wiary i niewiary”. Z podobną interpretacją spotkałem się jedynie podczas pogrzebu poety, w wygłoszonej przez arcybiskupa Alfonsa Nossola homilii, która w istocie była docieklwym esejem o ukrytym wątku metafizycznym wierszy autora *Niepokoju*.

No i Czesław Miłosz, oczywiście. Czytany nieustannie, cytowany gęsto, wciąż obecny. „Co można robić, to przeciwdziałać przemianie języka w bełkot i ustalić hierarchię ludzi i zjawisk” – to znów z listu do Konstantego Jeleńskiego. I jeszcze: „Degeneracja języka polega na utracie zmysłu rzeczywistości”. Musi wrócić powaga słowa, jego „religijność”, otwartość na mit, na uniwersalizm. „Po co tworzyć nowe fabuły, jeżeli nie przewyższają one tych już istniejących, które są dane człowiekowi do ciągłego w nich się przegłądania?”.

Stąd powrót do źródeł. W *Punkcie wyjścia* Krzysztof Myszkowski wciąż czyta Biblię, pisma filozofów żydowskich, *Opowieści chasydów* Martina Bubera, świętego Augustyna, Mistra Eckharta, eseje Ryszarda Przybylskiego, *Pamiętnik* Janusza Korczaka, *Pasaże* Waltera Benjamina... Czasem czyta też powieści – zwłaszcza te trudne, zapomniane, a raczej niedoceniane, jak Flauberta *Kuszenie świętego Antoniego* czy *Ojciec Sergiusz* Lwa Tołstoja. Obchodzi go „historia człowieka, który doświadcza istotnych, kto wie, czy nie najistotniejszych, spraw tego świata”.

*

Krytyka literacka praktykowana jako świadectwo lektury. Tym właśnie jest zbiór szkiców Krzysztofa Myszkowskiego *Punkt wyjścia*. Próbą zapisania doświadczenia czytelniczego, które jest wirtualnym dialogiem z tekstem i z rzeczywistością, jaką ten tekst powołuje do istnienia. To proces empatycznej współpracy z utworem i nie należałoby tego procesu nazywać krytyką literacką. Jest to bowiem inna relacja, w której nie działają „obiektywne” kryteria wartościowania i reguły opisu ewokujące ocenę. W tej odmianie sprawozdania czytelniczego ocena wpisana jest w całość wypowiedzi i niejako *a priori* pozytywna.

Tego rodzaju zapis procesu lektury staje się swoistą, indywidualną

kopią utworu, jego odbiciem w cudzym doświadczeniu intelektualnym. To już nie krytyka literacka, ale twórczość czytelnicza. Niektórzy nazywają ją esejem.

Takie są moje życiowe zajęcia – zdaje się mówić między wierszami autor tej książki – czytanie i pisanie, wytwarzanie tekstów, których użyteczność zależy od woli i pojętności czytelnika... Warto stukać na klawiaturze albo wodzić piórem po kartkach zeszytu, podkreślać ołówkiem akapity w książkach, robić notatki i redagować wydruki. Warto, a nawet więcej: trzeba zanurzyć się w rzeczywistości tekstów, czyli w najlepszym ze światów – świecie myśli. Każdy dzień bez choćby godziny przy biurku, z książkami, papierami i komputerem, sam na sam z dorobkiem kultury i własną głową, jest dniem straconym. Tak widzę przesłanie *Punktu wyjścia*.

*

W dniu, w którym miałem od rana pracować nad tą recenzją, dowiedziałem się o włamaniu do domu Olgi Tokarczuk. W poprzednich dniach, w trakcie lektury *Punktu wyjścia*, przychodziły mi do głowy uwagi, sformułowania, zagadnienia, ale wszystkie nagle uleciały. Myślałem o tym, co uczyniono autorce *Ksiąg Jakubowych*. Wcześniej informowała na Twitterze o wyjeździe, oznajmiła, że chce się „zaszyć w leśnej głuszy” i pisać.

Są wśród nas tacy, którzy jej na to, jak widać, nie pozwolą. Na stronie Radia Wrocław pod informacją o włamaniu pojawiło się kilkadziesiąt bezinteresownie agresywnych wpisów. Chyba tylko jeden normalny, a w nim zdumienie i nieśmiały apel do hejterów o opamiętanie. Plemienny amok – jedyną emocją jest nienawiść. Między światem „czułego narratora” a rozszalałą żądzą niszczyciela – otchłań.

W szkicu pt. *Światło sensu* Krzysztof Myszkowski przytacza refleksję Flauberta zawartą w liście do George Sand, pisanym sto pięćdziesiąt lat temu (1871): „Pogанизm, chrystianizm, chamstwo. Takie są trzy wielkie ewolucje ludzkości. Nieprzyjemnie jest znaleźć się w ostatniej”.

Lektura to istnienie w dwu równoległych światach, które powinny się spotkać we wspólnej przestrzeni: literaturze. Czy to jeszcze możliwe?

W *Miseczkach z kolorami* autor pisze o „nieszczęściu polszczyzny”, stającej się „[...] mową upodlonych, / mową nierozumnych i nienawidzących / siebie bardziej może od innych narodów, / mową konfidentów, / mową pomieszanych, / chorych na własną niewinność”. Cytuje Czesława Miłosza, którego wiersz *Moja wierna mowa* przeraża aktualnością.

Pisarz stara się zachować spokój, zadbać o ciszę i pracować, w języku i dla języka. Nawet jeżeli efekty jego wysiłku zginą, jeżeli pisze dla nicości, co nie jest nieprawdopodobne, do niego należy to, co może mieć w danej chwili – możliwość pracy, obserwacji, udziału w tworzeniu znaczeń i przekazu, nadziei na znalezienie odbioru.

Co może zaproponować czytelnikowi? Wiedzę, że niewiele więcej trzeba do poczucia sensu i że niedostatek tego poczucia bierze się z braku autorefleksji, nieuwagi dla istnienia. Świadomość lubi się spóźniać, przychodzić w chwili bezpowrotnej albo bliskiej utraty. „Nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się zepsujesz” – poucza poeta z XVI wieku, mówiąc o zdrowiu. Ta bezwzględna reguła rządzi całym życiem: pokojem, wolnością, miłością, młodością...

A może – jednak – rękopisy nie płoną? I przechowają „utrwaloną chwilę zachwyty”?

Andrzej Zawada

Krzysztof Myszkowski, *Punkt wyjścia*, Biblioteka „Kwartalnika Artystycznego”, tom 19, Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy, Bydgoszcz 2019

„Przepaść końca”

Późne debiuty na ogół przechodzą niezauważone. Być może też dlatego poezja Adama Wagi, po raz pierwszy zaprezentowana w tomie *Obol* w roku 2007, gdy autor przekroczył siedemdziesiąty rok życia, pozostaje, mimo publikacji kolejnych zbiorów, w cieniu, dostrzeżona na dobre jedynie w środowisku przyznającym Nagrodę Orfeusza, do której była trzykrotnie nominowana. Nie ma się co temu dziwić, zważywszy, że tak późny debiut odbywa się w przestrzeni odległej od toczonych w kręgach młodopoetyckich debat i sporów, zaś sędziwy dla młodzieży autor jeśli już zostanie dostrzeżony, traktowany jest jak egzotyczna osobliwość, zjawia spoza czasu.

Można się obawiać, że podobnie potraktowana zostanie piąta książka Wagi, jaką jest tom *Urwisko* – tym bardziej że wydawać się może zjawiskiem w obszarze poetyckiego mainstreamu anachronicznym, dalekim od problemów, które stanowią dziś treści poetyckich wynurzeń, dale-

kich od wiedzy o tym, o czym mówi tytułowy (choć tytułu pozbawiony) utwór zbioru:

Młodzieńcze poczucie
nieskończoności
schodzi odwiecznym szlakiem
nad urwisko starcze,
aby się osunąć
w przepaść końca.

Waga zdaje się mówić wprost, od siebie, z dbałością o dykcję i bez charakterystycznej dla współczesnej poezji wstydlivosti uczuć. Nie stroni od patosu (*Wiersz patriotyczny, Kolberg*) i prostego wyznania wiary. A jednak...

Warto ten tom czytać jako zestaw pytań stawianych poezji, która wszak sama jest sposobem stawiania pytań. Tak jest choćby w niepozbanym autoironii wierszu *Chwilówka*, w którym autor (tak, autor, a nie wyrafinowany „podmiot liryczny”) – niekryjący szacunku dla tych, co „jak na przy... boś [...] potrafią wykrzyć drugie, trzecie / i dalsze sensy i znaczenia / ukryte w grzęzawiskach mowy” – zdaje sprawę z faktu, że niezależnie od mniej lub bardziej

wyrafinowanych środków, jakimi posługuje się poezja, w istocie pozostaje ona wobec świata bezradna:

Świat jednym słowem można było stworzyć. Opisać już się nie da, choćbyś zgromadził wokół siebie wszystkie słowniki kuli ziemskiej.

Cytowany wiersz opatrzony jest podtytułem *Esej poetycki* i dopełniony przypisem: „Esej, choć imię otrzymał dopiero w XVI wieku, jest gatunkiem równie starodawnym jak proza czy dramat. Dlaczego jednak nie ma, na ich podobieństwo, swego odpowiednika poetyckiego?”. Otóż, nie wdając się w zbędne tu rozróżnienia genologiczne, warto zwrócić uwagę na całość konstrukcji tego utworu: tytuł – podtytuł (z odsyłaczem) – wiersz – przypis. Można bez ryzyka błędu przyjąć, że Waga sygnalizuje tu kłopot, z jakim zmagają się współczesna poezja, niemieszcząca się już w tradycyjnych – a nawet przekształconych przez doświadczenia awangardy – wyobrażeniach o niej samej. Podobny kłopot sygnalizował przed laty Miłosz, pisząc o tym, że poszukuje „formy bardziej pojemnej”. Przy czym owa eseizacja poezji postulowana przez Wagę jest zwrócona także w stronę *poesia docta*, gdyż nie o samą tylko „uczoność” tu chodzi, lecz o rodzaj dykcji: wiersz przestaje być „wierszem”, tak jak to się dzieje w niektórych utworach Różewicza,

w których mówiąc o poezji, używa autor cudzośłowu.

Niby wiadomo, o co chodzi, ale bardzo trudno to sprecyzować, zwłaszcza – co w tym tomie niezwykle ważne – w obliczu „przepaści końca”. Niemniej podejmowanie kolejnych prób jest wyzwaniem, z którym – nawet w obliczu możliwej porażki – trzeba się zmierzyć. Tak jest w wierszu *Aby odpowiedzieć*, w którym pomnażanie wyrażone zostaje w ciągu przyimków i zaimków: „kto, gdzie, po co, / komu, jak, dlaczego, / co, kim, jakim, / czy / skąd / czemu, / kiedy, czym, dokąd, / w czym, ile, czyżby, / którędy, czego, w jakim, / na co, kogo, o co, / nad czym, u kogo, o czym, / jakie, co to, po kim, / na czym, o kogo, z kim, / za kim, do czego, z czym, / jaki, pod czym, do kogo, / pod kim, jaka, po czym, / pod jakim, nad kim, jakie –”. Zapis linearny tej strofy uświadamia, czym są „grzęzawiska mowy” pojawiające się w cytowanej wyżej *Chwilówce*. To wyliczenie jest jednocześnie wyrazem bezradności, niefunkcjonalności „chwytu poetyckiego”, mającego dać odpowiedź na to najważniejsze pytanie, którego w istocie nie sposób sformułować:

Aby odpowiedzieć
na jedno z tych pytań,
trzeba [...] postawić uczciwie
przy każdej odpowiedzi

koślawy pytajnik.

Problem ze sformułowaniem pytania pojawia się także w wierszu *...i odpowiedź*, którego pierwsza strofa to następujące po sobie siedem bezsłownych wersów: „ – ...”, zaś tytułowa odpowiedź, choć nieopatrzona pytajnikiem, wyrażona zostaje w porównaniu, które w istocie jest kłębowskiem niewiadomych:

Różnice i podobieństwa między Bożą Opatrznością a Bożym Miłosierdziem są takie same jak między zmartwychwstaniem a wskrzeszeniem.

Dość uprzytomnić sobie, że każde z przywołanych tu pojęć opatrzone zostało niemożliwą do ogarnięcia ilością objaśnień, interpretacji i komentarzy. Wobec tego rekonstrukcja „tekstu” sygnalizowanego w zapisie „ – ...” – owej serii pytań, których sformułowanie w słowach graniczy z nieprawdopodobieństwem – jest kwestią otwartą. Świadomość tego stanu rzeczy wyprowadza poezję w obszar milczenia. Tym bardziej że Waga zdaje sobie sprawę z tego, że tak jak dotychczas pisano – dotyczy to, by przywołać biegunowe postaci z głośnego szkicu Błońskiego *Bieguny poezji*, zarówno „opcji” Przybosia, jak „opcji” Miłosza – pisać już nie sposób, że ta dykcja uległa wyczerpaniu.

Poszukując możliwych wzorów czy punktów odniesienia w do-

tychczasowych doświadczeniach polskiej poezji, odnajduje je Waga u dwóch autorów. Pierwszym jest Bolesław Leśmian, określony mianem „poety bezmiernego”, z którego wiersza *Dwaj Macieje* bierze motto do własnego utworu i poszukuje u niego odpowiedzi „na pytanie niemożliwe / co po...”. Drugim jest niemal całkiem już dziś zapomniany Jan Bolesław Ożóg, którego pamięci dedykuje wiersz *Przywrócić*:

Potrzeba twojej wściekłości,
dziki Janie Bolesławie,
byś z właściwą ci ekspresją
oraz furią poetycką
ciął wierzących, niewierzących
i przywrócił ten najpierwszy
dziki ład w dzikim chaosie,
który tak umiłowaleś.

I być może to uwaga bez znaczenia, ale wydaje się, że autor *Samosiewu*, przestrzegający na ogół zasad „poprawnej pisowni”, budujący pełne zdania i stosujący zasady interpunkcji, nie bez powodu imiona poetów zapisuje dużą literą, zarówno wtedy, gdy przyzywa Ożoga, jak wówczas, gdy w wierszu „pożegnany”, za jaki uznać należy *Odchodząc*, zamykającym zbiór, przywołuje Leopolda Staffa i Jarosława Iwaszkiewicza, zaś w *Chwilówce* imiona „słowiarzy” zapisuje małymi literami: „karpowicz, sommer, białoszewski, / bieńkowski, grześczał, miłobędzka, / kierz”. Nie chodzi tu z pewnością o pomniejszanie rangi tych autorów,

wszelako, gdy się zastanowić, może tu chodzić o brak emocjonalnego zaangażowania, owej „dzikości” czy żywiołowości, jakie odnajduje u Ożoga, o swoiste „wychłodzenie” dykcji poetyckiej, wreszcie o zbyt wielki dystans do świata i wobec własnych uniesień. I bez wątpienia wskazuje tu Waga na ten deficyt współczesnej liryki, który razi wielu jej czytelników, co od czasu do czasu staje się jednym z zarzutów, jakie wobec poezji podnoszą poszukujący w niej uczuciowości krytycy.

Leszek Szaruga

Adam Waga, *Urwisko*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Nie całkiem elegia

Osa, ostatni zbiór Bogusława Kierca, przekracza reguły poetyki senilnej nie tam, gdzie wydaje się to oczywiste, to jest w epatowaniu seksualnością, wymienności tanatycznych i erotycznych kodów, ale tam, gdzie widzieć można by raczej – tak też zdaje się czytać tomik Piotr Michałowski, autor posłowania i redaktor prowadzący serii „Tablice” – wierność poetyckiej tradycji. „Wierność” ta objawia się, z jednej strony, pewną rewerencją wobec języka, kunsztem poetyckiej formy, z drugiej – paradoksalnie – zakwestionowaniem

bezpośredniości doświadczenia, które by zaistnieć, wymaga serii przesłon i zapośredniczeń. W zetknięciu z nieefekowną prawdą o końcu ludzkiej egzystencji Kierca, inaczej niż Miłosz (jeśli to właśnie w autorze *Drugiej przestrzeni* widzieć wzorzec przeżywania poetyckiej starości), do końca pozostaje więc aktorem, lanhamowskim człowiekiem retorycznym, który formę – kształt wiersza – przedkłada nad komunikatywność. Jest w tym coś z przekory wobec powagi mistrzów, niechęć wobec odkrywania „prawd pierwszych”, które przeniesione na papier okazują się niebezpiecznie bliskie komunafu, ale i gorzka samowiedza – ponowoczesna raczej niż nowoczesna – że poza stylem, zewnętrznym pozorem, który łączy Ja ze światem, nie ma rzeczywistej komunikacji.

Czytelnik, zaznajomiony (choćby ze słyszenia) z pismami koryfeuszy postmodernizmu, wie przecież, że wszelka autentyczność, nawet autentyczność choroby i śmierci, jest tylko kulturowym konstruktem, a prostota poetyckiej dykcji – powrót do pierwotnych pojęć, słów odartych z nadmiernej retoryki – uprzywilejowanym językiem autorytetu, który – właśnie z racji bycia autorytetem – może sobie pozwolić na banał. Nie musi w nieskończoność potwierdzać własnego mistrzostwa. Poetycki kunszt Kierca, czytany przez

pryzmat wielkich „elegii na odejście”: Miłosza, Herberta, Różewicza, byłby więc nie tyle sygnaturą mistrza, ile – paradoksalnie – podpisem wiecznego pretendenta. Ozdobność frazy – retoryką słabości. Tak, jednak wpisana w ów gest ironia, manifestacyjna literackość kolejnych przywołań – kwestionuje niejako samą pozycję autorytetu, zatruwa źródło, z którego czerpie. Czym więc jest ta wielopoziomowa literacka zabawa? Tematyzacją własnej bezradności, która ów banał – banał „prawd pierwszych” – opakowuje w efektowny literacko kostium? A może jawnym komunałem, nudą codziennej egzystencji, która sama sobie próbuje wydawać się czymś więcej, niż jest? Odpowiedź, jak zwykle, wymyka się prostej dychotomii, ma w sobie coś z obu stron równania, co nie znaczy, że otrzymujemy wypowiedź pozbawioną autorskiego piętna.

Kierc, w zderzeniu z cierpieniem i własną niemocą, opowiada się bowiem nie po stronie doświadczenia, a po stronie *technē*; poetyckiego zapośredniczenia, które zamyka prawdę choroby i cierpienia w serii na poły rzeczywistych, na poły onirycznych obrazów. Zajmujący całą pierwszą część książki opis rekonwalescencji, zasugerowany zaledwie obecnością szpitalnych rekwizytów, daleki jest od bezpo-

średniości *Zawału* Białoszewskiego. Bardziej niż na notowaniu postępów choroby, katalogowaniu objawów, skupia się więc poeta na estetyzacji własnego cierpienia. Ubiera ból w język tyleż kunsztowny, co sztuczny i programowo infantylny – zwłaszcza w zderzeniu z prozaicznym tematem. W poetyckim rzemiośle Kierca jest przecież coś z kuglarstwa, jarmarcznej zabawy. W istocie, zarówno starość, postępująca degeneracja ciała, jak i nieliczące z podeszłym wiekiem, przynajmniej w obiegowym przeświadczeniu, pożądanie poddane zostają daleko idącej teatralizacji, odegrane w dekoracjach, które dawno zdążyły wyblaknąć i dziś budzą raczej wesołość, także samego podmiotu, niż bojaźń i drzenie w obliczu wielkiej tajemnicy bytu. Poetycki całun, gdy przyjrzeć mu się z bliska, okazuje się bowiem utkany ze szmatek, strzępków dawnych języków i konwencji. Choćby taki fragment, „częstochowska” rymowanka, w której nawet niezbyt pilny uczeń dosłucha się patronatu *Uwag* księdza Baki (*Bądź co bądź*), tu jednak robiąca wrażenie ornamentu, obowiązkowej stylizacji, bez której ów katalog literackich tematów i motywów byłby wyraźnie niekompletny. Tym, co budzi zdumienie czytającego, nie jest jednak obecność wyrazistego literackiego wzorca, łatwość, z jaką cierpienie

poddaje się stylizacyjnym zabiegom, lecz oczywistość tego przywołania. Intertekstualna podbudowa *Osy* wydaje się bowiem mocno podejrzana, zbyt wiele w niej z manifestacji, by potraktować całość jako jeden z możliwych – jeszcze jeden, chciałoby się napisać – języków utraty i śmierci.

Skojarzenie z *Uwagami* księdza Baki, podobnie jak Hamletowski refleks: „słowa, słowa, słowa”, przez swoją stereotypowość każe bowiem myśleć nie o chorobie – zaskakująco mało tu opisów fizycznego cierpienia – a jej odgrywaniu. Realizacji pewnego, kulturowo uprzywilejowanego, modelu pisania o starości. „Własnowolnie uwięziony w teatrze”, inicjalna fraza *Cię-mności*, gdzie fizyczna niemoc skonstrastowana została z przestrzenią gry, której nie sposób opuścić, ani w sensie dosłownym – przeszkadza w tym zagipsowana noga, ani przenośnym, przez przynależność do falkiewiczowsko-gombrowiczowskiego społeczeństwa spektaklu, mogłaby posłużyć także za motto *Osy*.

Gdyby brać tę wskazówkę literalnie, przeskakując kolejne piętra ironii, które poeta-aktor nadbudowuje nad wyjściową kreacją ponowoczesnego moribundusa, zbiór niósłby przesłanie nieodległe od twórczości Falkiewicza. Życie jest różnicą, nieustannym uzgadnianiem

własnych kreacji z obrazem siebie w oczach Innego, a przed różnicą – jak przed formą – nie ma ucieczki. Nawet w śmierć. Ta ostatnia, zamiast niwelować i ujednoczyć, redukuje ów splot relacji, którym jest człowiek, do nagiej, biologicznej egzystencji, okazuje się kolejną, może największą, inscenizacją. Tak jak Inny, jego oceniające spojrzenie, zapędza podmiot w rolę rekonwalescenta, schorowanego starca, nawet jeśli on sam na widok pielęgniarki – oprócz przerażenia – czuje wzbierające podniecenie, tak śmierć wymaga odpowiedniej literackiej oprawy. Zarazem jednak na paradoksie tym zdaje się ufundowana cała twórczość Kierca, poetyckie *Ja* wiersza, by zostać wyartykułowane, a więc – pośrednio – potwierdzić swoje istnienie, potrzebuje konwencji, owego znaczącego Innego, i to w stopniu nie mniejszym niż Tego lub Tej, drugiego bytu, w którym po gombrowiczowsku próbuje rozpoznać własne odbicie.

Ponownie zajmuje bowiem poetę tyleż problem kresu, skończoności ludzkiego istnienia, co kwestia tożsamości, która zdaje mu się sumą nieskończenie wielu śmierci, własnych i cudzych. Choroba, wysuwając na pierwszy plan ciało, każe z niedowierzaniem przyjmować świadectwo pamięci, przekonującej, że *Ja* i *On* – schoro-

wany starzec i ten chłopiec podobny do niego jak kropla do kropli – są w gruncie rzeczy tym samym bytem. Pisarz konsekwentnie operuje tu trzecią osobą liczby pojedynczej, wobec siebie przeszłego przyjmując postawę wszechwiedzącego, zdystansowanego obserwatora, co czyni go – i wszystkie jego przeszłe wcielenia – kolejnymi zjawami w korowodzie cieni. Przy czym, bardziej niż ów zabieg – spojrzenie na siebie jak na Innego znane jest w końcu różnym wariantom biograficznego pisania – intryguje przenikające te wiersze erotyczne napięcie. Niekiedy trudno rozstrzygnąć, czy adresem wyznania pozostaje chłopiec, młodsze *alter ego* pisarza, czy też adorowany skrycie, bliżej nieokreślony młody mężczyzna, z którym Ja piszącego pozostaje wyraźnie nietożsame. Na ambiwalencji tej, dialektyce odsłaniania i zasłaniania pożądania, zasadza się zresztą duża część twórczości Kierca, wystarczy przypomnieć obszerne partie *Cię-mności*, drugiej części tryptyku *mniemania*, gdzie homoseksualna tajemnica – ucieleśniona w postaci młodego młynarczyka – znajdowała kontrapunkt w osobie Tej, żony, strażniczki seksualnej różnicy. W *Osie* poeta powraca do tamtej sceny (*Z Schuberta*). Również przypadkowe spotkanie w pociągu, widok nieznanego „Królewicza” nie jest, jak

chce Michałowski, opisem zwiastowania, lecz erotykiem.

Krytyk, omawiając ten fragment, demonstracyjnie ucieka od dosłowności, zawiesza niejako literalne rozumienie komunikatu, wchodząc od razu w metafizyczne koleiny. Tego typu interpretacja, jakkolwiek niebezzasadna, pomija jednak – dlaczego? – świadomie dwuznaczny, aluzyjny tryb, którym operuje poeta. Ciekawe zresztą, że homoerotyczne pragnienie, platoniczna fascynacja ciałem młodzieńca, łączy się u Kierca nie tylko z sublimacją, przemienia obiekt pożądania w posąg, obiekt estetycznej kontemplacji (chłopak, „opylony mąką albo miałem / gipsu, marmuru, czy czyszczonej ściany”, przypomina antyczną rzeźbę), ale i metafizyczną intuicją. Obietnicą zbawienia, której spełnienie – podobnie jak spełnienie „zakazanego” uczucia – odsunięte zostaje poza horyzont bieżącej refleksji, w bliżej nieokreślone poza czasem.

Milczenie Michałowskiego, zapewne taktowne, zrozumieć tym trudniej, że napięcie między tym, co dopuszczalne, i tym, co zakazane, pragnieniem ciała młodej kobiety i homoerotycznym pożądaniem, które sublimuje w miłość do Boga, wydaje się kluczowe także dla konstrukcji ostatniego tomu Kierca. Ciało mężczyzny staje się bowiem znakiem, substytutem radykalnej

inności, samo pożądanie jednak, wyrażone w języku estetyki, który stawia podmiot poza podejrzeniem, pozostaje odcieleśnione. Jest w tym uczuciu coś pierwotnego, poprzedzającego inicjację w heteronormatywną męskość; coś, co budzi fascynację, ale i lęk podmiotu, podpatrującego – z odosobnienia szpitalnego łóżka – pierwsze poruszenia krwi niedoroslých współkuracjuszy (*Oddział dziecięcy*).

Zabieg ten, przez nadmierną estetyzację kontrastujący z regułami poetyki senilnej, zwalnającej poetę z dbałości o piękno wysłowienia, każe domyślać się obecności rozległych obszarów wstydu, kulturowego tabu, które ta, pozornie tylko swobodna, gra w nazywanie próbuje ukryć przed wzrokiem czytającego. Ujawniając jeden wstyd, podniecenie na widok młodej kobiety, podmiot tych wierszy maskuje więc inny, większy, który staje się dlań – i dla czytelnika – obiektem zakazanej przyjemności. Figura chłopca, ważna dla całej twórczości Kierca, nie ma tu jednak, wbrew wyraźnej erotyzacji obiektu, wyłącznie seksualnych konotacji, staje się znakiem gombrowiczowskiego uwiedzenia przez niedojrzałość, infantylności, która utrudnia napisanie elegii, ale i – tłumaczyłoby to zaskakującą bliskość homoerotycznego pragnienia i eschatologicznej wizji –

odsyla do czasu sprzed narodzin różnicy, biograficznego *illud tempus*, gdzie nawet dziewczynka, towarzysząca dziecięcym zabawom, koniec końców okazuje się chłopcem, istotą taką jak on.

Młody mężczyzna z pociągu, półnagi efeb palący papierosa, nie nazwany Mistrz, w którym nietrudno domyślić się Rafała Wojaczka – każdy z nich staje się po trosze tym wszystkim naraz: ekwiwalentem przeszłego Ja podmiotu, obiektem kontemplacji, a zarazem symbolem nieosiągalnej pełni. Owym długo oczekiwanym Ty, z którym – mimo starań piszącego – nie może się on w pełni zespolić, uczynić Mną. Daje się podziwiać (w istocie nie wie nic o spojrzeniu, które łowi go w sieć pożądania), jego doskonałość, zewnętrzne piękno, uniemożliwia jednak utożsamienie. Mimo fizycznej bliskości podmiot ma bowiem świadomość działania konwencji, więcej, prowokacyjnie tematyzuje jej obecność (*Niewinny*). Jeśli jednak pożądanie młodej dziewczyny czyniło zeń „capa”, starotestamentowego lubieżnika z opowieści o Zuzannie, a cała scena – erotyczna fantazja o „ugniataniu” ciała – stawała się pretekstem do wprowadzenia motywów wanitatywnych (*Popielec*), tu wektor wychylony jest w stronę tradycji antycznej. Pobrzmiwa w tym idea czystej platońskiej miłości,

której spełnienie leży nie w połączeniu z kochankiem, lecz w harmonii dusz, wspólnym postępowaniu ucznia i mistrza – kto jest kim w tej relacji, pozostaje sprawą otwartą – na drodze wiodącej ku prawdzie, dobru i pięknu, nawet jeśli z triady tej pewne okazuje się tylko piękno. „Zdaje się, że umieram, zdaje się, że nie / całkiem” – stwierdza w wygłosie tomu poeta, parafrazując inny, również czytelny wzorzec i, paradoksalnie, nie ma w tym stwierdzeniu wielkiej przesady. To nie wiara we własny pomnik, monument trwalszy niż ze spiżu, pozwala piszącemu zachować część siebie, lecz konwencja, ciężar literackiej tradycji, która wplątując jednostkę w sieć relacji międzyludzkich, czyni ją częścią życia innych. Bo umrzeć, podobnie jak żyć, można tylko w liczbie mnogiej.

Konrad Zych

Bogusław Kierc, *Osa*, seria: Tablice, Wydawnictwo Forma, Szczecin – Bezręczce 2019

Glissensada i klasanówki

„Piękna mowa”. (Wiązana).
„Sztuka pięknego słowa”. „Sztuka pięknych zdań”. Poezja, nieprawdaż? Co prawda takimi definicjami można dziś straszyc chyba tylko dzieci

w szkole. *A ten wiersz to węgry czy klasówka?* A ta recenzja?, przepraszam jeśli wagabundzia kartkówka. A teraz podmieńmy „piękny” na „ładny”: „ładna mowa”, „sztuka ładnego słowa”, „ładne zdania”... W końcu „sztuka kiczu” to sztuka „ładności”, a czyż pseudonim Kitsch nie zobowiązuje? Otóż kicz u Kitsch idzie na węgry, ale klasówka nie jest z tradycyjnego wiersza, tradycyjnego piękna. Spójrzmy na dwie klasówki – pierwsza nosi tytuł *piękne słowo grąžel*, druga *piękne słowo tekszla*. Dostajemy wypis „pięknych słów”, ale „piękno” nie wiąże się tu z kategorią „sensu” (w każdym razie tradycyjnego), sensu, który powstanie w wyniku ułożenia równań i ich rozwiązania, „piękne słowa” nie wiążą się tu w „piękne zdania”. A już próbować szukać szkolnego (a mówią, że platońskiego) „dobra” i „prawdy” w tych „pięknych”! W *grązeli* Kitsch przedstawia następującą definicję: „zwykłe zdania: / poniekąd, niejako / niejako, poniekąd” – a więc zaprzecza tradycyjnej gramatyce, gdzie wprawdzie jedno słowo może być zdaniem, ale musi to być któraś część mowy orzekająca coś, rzeczownik („Słowo”), przymiotnik („Piękne”), czasownik („Zwodzi”), tu natomiast „zdaniem” mają być słowa wyrażające modalność, i to modalność przybliżenia, niepewności, nieprecyzyjności,

a więc oddalające od „orzekania”. Tradycyjnie pojmowane „piękno poezji”, takie ze szkoły, zdaje się uważać czy sugerować nam Kitsch (a wielu z nas myśli podobnie), to właśnie dziś, dla dzisiejszego oka kicz. Ładnostki. Wydmuszki, pustosłowia. Pięknoduchostwo (pustoduchostwo).

Kitsch przedkłada nam coś, co nie jest i jest „pełnosłowiem” – poniekąd i niejako – wagarami i klasówką, „światnym poetą i kiepskim poetą [co to] wchodzi do baru” (w ostatnim wierszu tomiku, *stolik*), jeden prosto z klasówki, drugi prosto z wagarów (tylko który z czego?). „Pełnosłowia” polega na tym, że „piękno” jest dziwne, a w każdym razie rzadkie, w y s z u k a n e, słowa nieużywane lub używane rzadko, wyliczone jak zioła tworzące ocet siedmiu złodziei (średniowieczna mikstura, acz nie alchemiczna), wynalezione w słowniku, wypisane, wyliczone ciągiem, przedłożone i nieobtuczone żadnym komentarzem, sensem. Pełne pełnią własnego znaczenia, ale tu dla całości nieistotnego, piękne bezinteresownie. Wszak mówił Kant: „piękne jest to, co podoba się bezinteresownie”. Tak więc: „piękne słowo grązel / piękne słowo tomilek / piękne słowo jedwab // piękne słowo krokiew / piękne słowo berberys / piękne słowo rzeszoto // piękne słowo

tamburyn / piękne słowo mimikra / piękne słowo anakonda”. I jeszcze „cykoria”, „kakemono”, „cynfolia”, „jęczmień”, „warząchew”, „zapadnia”, „wewelit”, „kalistenia”, „eufuizm”. No, to ostatnie – zgadzam się, że piękne – to akurat chciałyby się za sens pociągnąć, nagle uczniowi na klasówce przestały latać przed oczami plamy słów/równań i uczeplił się czegoś, co rozumie! „eufuizm” siedemnastowiecznych angielskich poetów metafizycznych, konceptyzm i gongoryzm (też piękne słowa, jakież piękne nazwisko Góngora, nieprawdaż?) w Hiszpanii, marinizm włoski, nurty poezji manierystycznej (powszechniej określanej jako barokowa, o czym wspominam dlatego, że nauczycielki nie lubią, aby ich uczeń, od zawsze skądinąd mądrzejszy, je poprawiał), opartej na koncepcie, mocnej i zaskakującej metaforyze, ale pozwalającej sobie również na para-logiczne, presurrealistyczne skoki – ach, glissanda (pierwszy wiersz w tomie, ten o klasówce i wagarach, nosi tytuł *glissando*) wyobraźni. Oczywiście, że uważam, że to jest archetyp poezji Samantha Kitsch; że jest współczesną, ponowoczesną manierystką. Czyż nie za to ją uwielbiam? Ale dość tych wagarów, tej dygresji, bo w *grązeli* jeszcze przecież „umizgi”, „opium”, „krztyna”, „śmigło”, „magenta”, „przedza” – i ku poincie, już

nie w strofach trzywersowych, tylko pojedynczo: „popłuczyny” (faktycznie piękne i ładniejsze niż „pomyje”, ulubiony przykład *pluralia tantum* mojego dawnego profesora od gramatyki opisowej – i na „klasówce” z opisówki *pluralia tantum* było, ja mając do wyboru „nożyce” i „pomyje”, bez wahania poszedłem w „pomyje”, i czwórka była), „przespiegi”, no i „nicpoń”. Nicpoń to z pewnością kondycja poety, jak ją widzi Kitsch, tylko czy „świątyni”, czy „kiepskiego”? Ach, gdy spotykają się w barze, zapewne obu. Ja kiedyś (wierszem) zasugerowałem też „trefniś” (również „piękne słowo”, szczególnie że jął włosy trefić). Ale widzę teraz, jak „świątyni krytyk” spotyka w barze „kiepskiego krytyka”, to jest mnie, i wykrzywia się: co to za wagary recenzyjne, co to za wtręty, co to za prywatne komentarze do słów? Nuże do klasówki! „Mażenty” objaśniać, nuże! A może te słowa budują sens? „beztrosko z precyzji do beztroski / beztrosko z beztroski do precyzji / precyzyjnie z beztroski do beztroski / beztrosko z precyzji do precyzji”. A może te słowa budują klimat? Atmosferę? „pada wiatr świeci deszcz wieje słońce / wieje deszcz pada słońce świeci wiatr”. Aha, mów mi ten „świątyni krytyk” (przy tej whisky), oblejesz klasówkę, czyż nie widzisz tu konwencji „świata na opak?”, który wiąże się z karna-

walizacją, co już opisał Bachtin... itd. Wszelako widzę; nawet widzę mechanizm sylogizmu rozpisany na „kwadrat logiczny” (w strofie o „beztrosce” i „precyzji”), widzę chwyt retoryczny zwany „chiazm” w opisie zjawisk atmosferycznych, ale, „świątyni krytyku”, to do rozwiązania równań mnie nie przybliży. Bo to nie są równania.

Nie równania, nie klasówka... a co? Spróbuję prowizorycznie, hipotetycznie, poniekąd wykrętnie, niejako uczenie odpowiedzieć: są gdzieś między echem zen a cieniem ducha wywołanego przez spirytystę. Z wiersza *stolik* (uwielbiam! to jest: „piękny”): „od lat – każdego wieczora – z kieliszkiem wina / siada przy wirującym stoliku i wywołuje sam siebie // iluzjonista wyciąga z nosa chusteczkę do nosa / iluzjonista przeciąga przez własne ucho własną głowę [...] spirytysta ziewa rzucając kostką i zamiast mnie / wywołuje jakiegoś marynarza – co dzień w innym porcie”. Ja zaś w tej chwili przez własne usta przeciągam język Samantha, i to jest iluzja. „Piękna iluzja”. „himalaista zdumiewa jako iluzjonista” (wiersz *jojo od podszewki*). A zen? I zazen, i koany, i asany... „mistrz na trwałe skleił się z asaną [...] asana wrosła w mistrza” (wiersz *na niby [piosenka]*). A asana to wszakże w y g i ę c i e! Czy to przegięcie zrastać się z własnym wy-

gięciem? „Piękne słowo pałąk”. Kot wygina się w pałąk, a może czasem przegina. Trudno nie podejrzewać, notabene, że w wielu wierszach Kitsch (nie tylko z niniejszego tomiku) mistrzem asan jest kot... (Piękny wiersz o kocie, jeden z najlepszych w gatunku, ach, najbardziej rasowych – *kolaż koci*; a jako że dzieci mają ogromne poczucie abstrakcji – które niekiedy dorosli tracą i wtedy stają się „świetnymi krytykami”, rzecz prosta – można także im go czytać; podejrzewam, że koty mają takie poczucie abstrakcji, że można im ten wiersz także... performować, zamiast słów układając odpowiednie – piękne – asany). A ktoś znów inny, może już nie mistrz, „uprawia ogród asan / na ścieżce z wyrzutnią zapadni –” (wiersz *w kostkę*); czyli „kto pod joginem dołki kopie, ten sam w asany wpada”? „na oberwisku-obsuwisku / sadzić asany jak cebulki hiacyntów” (wiersz *oberwisko*). No bo jakie to wyzwanie medytować na płaskim?, jeszcze można by się na trwale skleić z asaną i zostać hiacyntem (a wtedy Apollo kazałby nam się wspinać po oberwiskach i obsuwiskach gór w Sparcie). A jeszcze (a nuż to definicja poezji? tylko czy aby „świetnego poety” poezji, zastanawia się „kiepski krytyk”): „papuga w asanie papugi przeprasza że nie przeprasza” (wiersz *BEZ TRZECH ZDAŃ*,

a właściwie piętnaście zdań, ale z piątą klepką). A jednak myślę sobie: człowiekowi w asanie człowieka nie tak łatwo jest na trwale skleić się z asaną człowieka (no chyba że jest mistrzem). Asany, joga, medytacje; a nawet mandala, co to zaraz się rozpuści: „w topniejącym śniegu / jesteś sam swoim własnym makijażem” (wiersz *róża róży*). Ale przecież wszystko jest w ruchu i pół-istnieniu, i w pół-cieniu (mówiłem, że z manierystów – czy barokowa jak wolicie – jest Samantha?): „przemykam się więc jestem –” (wiersz *jojo od podszewki*). A Kartezjusz myśli, że jak myśli, to jest nieprzemykaniem się. Kartezjusz nie jest/istnieje jako jojo, nie kontempluje jojo. Natomiast „budda dada ma talizman: jojo” (wiersz *BEZ DWÓCH ZDAŃ*, właściwie ciąg *quasi*-aforyzmów, czy, jeśli mi wolno się postużyć autokonceptem z własnej poezji, „aforyzmów”).

„Świetny poeta” i „kiepski poeta” spotkali się w barze (jeśli Samantha Kitsch w nim też była, to nie obserwowała – „Samantha Kitsch zasnął i się nie obudził”, wiersz *epitafium*, gdzie też „Samantha Kitsch kto ich zmyślił”); „obieżyświat Zawalidroga i speleolog Powsinoga wchodzą do baru” (wiersz *ja z podróży [autoremix]*). Wagarowicz i pilny uczeń weszli do baru. Jeden włóczył się po jaskiniach wiersza, ale pouczony

przez Platona zrozumiał, że piękno zawała drogę światłu idei (pustki). Drugi włóczył się po świecie, aż zrozumiał, że nie znajdzie tego, czego nie szuka, jeśli nie zejdzie do jaskini, ale sam sobą sobie zawałił drogę. „pomyliliśmy światłocienie i wpadamy w przepaść” (nadal *ja w podróży*). Pierwszy wywołał ducha drugiego, drugi zaś ducha pierwsze-go. Potem napisali klasówkę atramentem sympatycznym i hieroglifami, ale z pewnością pięknymi.

Piotr Sobolczyk

Samantha Kitsch, *Siedmiu złodziei*, seria: Szumy, zlepy, ciągi, tom 10, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Łodzi, Łódź 2019

Z drżenia ziemi

Czy to, co czytam, jest wykwintnym spolszczeniem arcywzorca mowy wysokiej w dramatopisarstwie francuskim, spolszczeniem uwzględniającym aktualny stan osłuchania w naszym języku, czy też przedstawieniem (przedstawieniem) pięciu fascynujących partytur losu, w których i mój los czytelnika, ale i nie tylko czytelnika, los jednego z komilitonów podniebnego bojowania został tajemniczo odsonięty?

Odpowiedź wydaje się oczywista. Zanim jednak tę oczywistość po-

twierdę, chciałbym pozwolić sobie na nieśmiałe wyznanie, które – tak mi się wydaje – może wytłumaczyć moją chęć bycia wśród gorliwych moli czytelnicznych mających apetyt na ten rarytas.

Zdarzyło mi się (dawno, dawno temu) być „obsadzonym” w *Brytaniku*. Miałem trzydzieści trzy lata i było to według mnie za dużo, żeby wiarygodnie zagrać czternastolatka. (Nie przewidywałem był wówczas, że dobrze po siedemdziesiątce, dobiegając dwóch siekier, będę grał Gustawa-Konrada). Źle mi się czytało tamten przekład tragedii, próbowałem więc, ignorant, przekładać na „swój” polski to, co – z ledwie wydukanego po francusku – rozumiałem. Wstydzę się tego idiotyzmu, ale w owej wersji amatorskiej translacji lepiej mówiło mi się to, co chciałem, jako Brytanik, wypowiedzieć.

Nad czym wówczas pracował Antoni Libera, nie wiem, ale gdyby mi wówczas ukazał swoją możliwość *m ó w i e n i a* Racine’a, byłbym rozentuzjasmowany.

Tak, jak teraz, kiedy czytam w jego przekładzie tyrady pana w obszernej peruce, pod którą kryje się chyba jeszcze niełysejący czerep, ale to, co pod tym chyba jeszcze niełyśieniem się ułożyło, jest poryjające i świetnie rymuje się z naszymi współczesnymi gramami. Aż kusi, by nie

taić, że wydanie tego tomu traktuję sobie jako rodzaj oporu wobec tego, co się właśnie zdarza w oficjalnym „modelowaniu” akcydensów historii „codziennej”; że ten tom – w jakimś powiększeniu – wyostrza radykalne widzenie rzeczywistości. Ludzkiej, nieludzkiej i boskiej.

Sploty erotyczno-polityczne, misterne intrygi, obłuda i kłamstwo – doprowadzone do perfekcji – są u Racine’a tak misternie kliniczne, że co chwila czuję na karku oddech dzisiejszych widm, rozmaitych sterników nawy państwowej, wybrańców z woli narodu, uświęcających się pod kropidłami hierarchicznych potrzęsaczy.

Jasne, że temu mojemu doznaniu sprzyja język tłumaczenia. Dostojnie konkretny, elegancki, ale niestroniący od kolokwializmów, żywy i rzeczywiste – język, którym się m ó w i.

W jakimś jednak sensie jest to książka dla wybranych. Książka wybierająca. Wybierających. Aktualny zakres erudycyjnych potencji (chętnych nawet) czytelników wydaje mi się pokornie skromniutki. Bez minimalnej choćby orientacji w mitologii i w „obowiązkowych” lekturach antyku ta – na wskroś współczesna – księga tragedii odsoni jedynie część swoich bogatych zasobów. A to znaczy, że intencje i powody dynamizujące działania bohaterów pozostaną

czytelne jedynie w tej cząstkowej jawności.

Nie chcę przez to, co napisałem, dać do zrozumienia, że – jako „wtajemniczony” – czuję się reprezentantem czytelniczey elity. Nie. Jestem wdzięczny, że mam tę Książkę w rękach, w oczach, w umyśle, w duszy i że znajduję w niej coś, co jest chyba jakimś lusterkiem entelechii mojego losu wśród losów innych. Żywych i umarłych.

Powiedzieć o wyborze pięciu dramatów: książka oszałamiająca – to się chyba nieczęsto zdarza. I teraz, kiedy sam daję upust mojemu entuzjzmowi, asekuracyjnie pokpiwam sobie z takiej egzaltacji.

A jednak trudno mi oprzeć się porywowi tych, poddanych rygorom wiersza, namiętności i przebiegłości, inteligencji i sprytu. Czytam i daję się unieść. Ale w uniesieniu przytomnie widzę tę całą maestrię, która uzdalnia mnie do uniesienia. Libera przywraca a t r a k c y j n o ś ć tragicznym fabułom Racine’a.

Trudno mi pominąć konstatację, że na taki przekład „zapracowały” translacje z Sofoklesa i Becketta. Wymieniam akurat tych arcymistrzów dramatu, bo czytając Racine’a w przekładzie Antoniego Libery, odczuwam głęboko podobną „tektonikę” – wnrzonego w ziemskość – kosmicznego losu skazańców Ananke. Jakby na przekór pytaniu

Mickiewicza: „Z drżenia ziemi czyż ludzie głąb nurtów docieką?”.

Bogusław Kierc

Jean Baptiste Racine, *Tragedie*, tłumaczenie Antoni Libera, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019

Przegrać i (nie) przetrwać

Czy to komedia? Czy to tragedia?

Tytuł jednego z wczesnych opowiadań Bernharda pasuje także do wydanego w 1983 roku *Przegranego*. W oryginale słowo *Untergeher* jest neologizmem oznaczającym tego, kto z upadku uczynił swoje stałe zajęcie, wręcz zawód. Mianem tym tytułowy bohater, niedoszły wirtuoz fortepianu Wertheimer, obdarowany zostaje przez Glenna Goulda, drugą z trzech głównych postaci dzieła, a zarazem jedyną niefikcyjną, aczkolwiek Bernhard, czego możemy dowiedzieć się z posłowania tłumacza, bardzo swobodnie rozporządził życiorysem pierwowzoru – genialnego kanadyjskiego pianisty i ekscentryka, zmarłego rok przed ukazaniem się *Przegranego*. Ta okoliczność zachęca do odczytania tekstu jako swoistego literackiego epitafium. W rzeczy samej, mimo rozmiągania się z rzeczywistą biografią mistrza, powieść kreśli w jego osobie obraz

artystycznej doskonałości i trafności życiowych wyborów, egzystencji bez reszty oddanej sztuce. Jednak to nie Gould jest głównym bohaterem utworu. Geniusz Kanadyjczyka stanowi jedynie tło dla upadłej kondycji jego dwóch kolegów z salzburskiego konserwatorium, którzy, porażeni Gouldowską interpretacją *Wariacji Goldbergowskich*, zarzucili plany muzycznej kariery, mimo że byli do niej predestynowani. A jednak, nie mogąc zająć w muzyce najwyżej, nie zadowolili się perspektywą zajęcia wysoko i obrali inną dziedzinę samorealizacji. Polem do popisu staje się dla nich upadek jako taki – urastający w powieści do rangi rzemiosła czy może nawet dziedziny sztuki. Nie co innego wyraża powieściowcy Gould, kiedy nadaje Wertheimerowi przydomek analogiczny do nazw konwencjonalnych zawodów. Drugiego ze współuczniów, a zarazem narratora, podobnym co prawda nie obdarza, ale ten potrafi zdefiniować swoje powołanie samodzielnie – jako proces „marnięcia i wędnięcia”. Przy tak zakreślonych obszarach aktywności trudno spodziewać się po tej historii pomyślnego przebiegu. Życie Wertheimera upływa pod znakiem ciągłego udręczania siebie i zdanej na niego siostry; zwieńczeniem tego destrukcyjnego programu jest samobójcza śmierć. Nieco lepiej wydaje się powodzić narratorowi:

udaje mu się po pierwsze radykalnie rozstać z nękającą wciąż Wertheimera myślą o kontynuacji kariery pianistycznej, po drugie zmienić miejsce zamieszkania na Madryt, bardziej przyjazny życiu niż tchnące beznadziejnością krajobrazy Austrii i Szwajcarii. Nie zmienia to jednak jego głęboko pesymistycznej oceny sensowności własnych działań, potwierdzonej zresztą przez przebieg skąpej skądinąd akcji utworu.

Nasycenie utworu tragedią jest zatem znaczne. Gdzie tu jeszcze miejsce na komedię? Pewną dozę komizmu znajdziemy w opisach ekscentrycznych zachowań Goulda i Wertheimera, choć jeśli chodzi o absurdalny reżim, jakiemu ten drugi poddał swoją siostrę, będzie to humor zdecydowanie czarny. Również postępowanie narratora, na przykład oddanie swojego drogocennego Steinwaya córce wiejskiego nauczyciela, wiedząc, że wydaje instrument „na pastwę absolutnej miernoty”, która natychmiast go zniszczy i uczyni bezużytecznym, ma szansę przywołać na twarz czytelnika coś na kształt złośliwego uśmiechu. Poza tym narrator dysponuje dodatkowym środkiem tworzenia komizmu w postaci własnej narracji. Zrządząc na wszystko, co się da: od brudu w austriackich gospodach po bezsens mieszkania poza miastem, raz po raz popada

w manierę, która późnemu Bernhardowi przyniosła zasłużony tytuł mistrza przesady.

Skoro mowa o narracji, podkreślić należy jej wkład już nie tyle w rozweselenie czytelnika, co przynajmniej w jego zdystansowanie się od mimo wszystko mocno przygnębiających treści. Przygnębiających, ale jak opowiedzianych! Po pierwsze, metodą (prawie) nieprzerwanego akapitami strumienia słów, upodabniającą tekst do utworu muzycznego. Po drugie, w trybie ciągłej oscylacji między terażniejszością a wspomnieniami narratora. Ta pierwsza, z początku nieznacznie a intrygująco sygnalizowana pojedynczymi wzmiankami o postępach przedsięwzięcia ratowania Wertheimerowskiej spuścizny, z czasem nabiera coraz więcej ciała, aby wreszcie harmonijnie zespolić się z retrospekcją. Po trzecie, z finałem w postaci może niezaskakującej, ale jednak wyrazistej puenty.

Czy podziw dla formalnej wirtuozerii wystarczy, aby nie poddać się atmosferze przegranej? Nie musi. W wydaniu narratora „marnięciu i więdnięciu” towarzyszy nie tylko bezkompromisowość, ale także suwerenność i godność, pozwalające wierzyć, że nawet upadek jest formą spełnienia. Co prawda narrator to nie byle kto: nie dość, że jest (*ex aequo* z Wertheimerem) drugim pianistą

świata, to jeszcze, mimo wciąż nienapisanego studium o Gouldzie, ewidentnym artystą słowa. Jaka stąd pociecha dla czytelnika? Żadna, jeśli skupi się na porównywaniu z innymi, a na domiar złego przegapi następujący fragment: „Wertheimer nie był w stanie dojrzeć *w sobie kogoś wyjątkowego*, a każdy powinien być do tego zdolny, musi, jeśli nie chce popaść w rozpacz, każdy człowiek, obojętnie kto, to byt wyjątkowy, powtarzam wciąż sobie i tylko to mnie ratuje”.

Proza Bernharda nie jest łatwa do tłumaczenia, tym bardziej na słowa uznania zasługuje Marek Kędzierski, któremu udało się uratować nie tylko przesłanie, ale i pulsującą melodię utworu. Dzięki temu czytelnik ma szansę zmierzyć się z dziełem wymagającym i przytłaczającym, ale na pewno nie beznadziejnym.

Tomasz Waszak

Thomas Bernhard, *Przegrany (Der Untergeher)*, tłumaczenie i posłowie Marek Kędzierski, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2019

Trakt w jedną stronę

1.

Rzeczywistość jest miejscem dławionych oddechów. Wśród wielu możliwości, jakie stwarza, jedna

wyduje się szczególnie nam dedykowana – możliwość dochodzenia do siebie, możliwość zakreślania własnego obwodu, dla doświadczeń, od których przybywa trosk, a ubywa czasu. Podstawową dyspozycją świadomego życia jest zdanie sobie sprawy z pierwotnego wyalienowania, towarzyszącego wszystkiemu, co żyje. Pojedyncze znaczy w gruncie rzeczy same. Osobne. Wydane sobie. Spisane na straty. Szukające pocieszenia, aspirujące do wpisania swojego „ja” w jakiś mniej efemeryczne „my” – za cenę tarć, rezygnacji, bólu, zubożenia. W imię odsunięcia daleko myśli o wygnaniu, rudymenarnym poczuciu obcości, które – paradoksalnie – najbardziej może ujawniać się w bliskości. Choć i ta nie daje żadnych gwarancji na brak poczucia fiaska, rozczarowania, rezygnacji. Trudno odnajdywać się w tak zagadonym świecie jak nasz. Opałym od słów, nadymnym od frazesów, uciążliwym od pustostłowa. Gdzie nie ma pustych miejsc, a te, które uważamy za nasze, dają nam złudzenie dobrego samopoczucia. Komfort odosobnienia. Ale to jeszcze nie koniec teatru i złudzeń. Dalej przychodzi nam sięgać po pozy i rekwizyty, by życie uczynić znośnym. Stąd, na co dzień, manifestujemy swoje nastroje w uśmiechach podszytych fałszem, w gestach pojednania

inspirowanych niechęcią. I ubywamy w potoku zdarzeń, szukając tego, które uczyni umieranie najmniej bolesnym. „Wygląda na to, że wszystko dzieje się na upartego. Pod kopułą nieba, wyćwiekowaną gwiazdami, ciecze brudny deszcz”, pisze Siwczyk w tomie *Bezduch*.

2.

Książka Krzysztofa Siwczyka jest raportem znużenia, sprawozdaniem z uciążliwej monotonii, będącej podstawowym rytmem rzeczywistości. Egzystencja bohatera *Bezduchu* jest przytłaczająca w dwójnasób. Po pierwsze, udowadnia on, że od schematów nie sposób się uwolnić, a po drugie, przypomina, że innego życia nie będzie, a adres, pod który można by słać monit z odwołaniem, nie istnieje. Stereotypy nie wymagają ofiary, a mieszczańskie reguły mogą dawać złudzenie porządku. Przeznaczeniem potencji jest spełnić na niczym. Naszym – rozwiać się w proch. Czytamy: „Nie wiesz, i nie chcesz wiedzieć, kim jesteś, a twoje upodobania sprowadzają się do cyklicznych znużeń”. Siwczyk opisuje codzienność szukającą wytchnienia od myśli. Dystansującą się od swoich dyktatów, nadającą kierunki kolejnym działaniom. Widzimy świat człowieka dorosłego, podzielony na obowiązki, któremu sedno i sens nadaje rutyna. Repetycja tych samych

czynności, wpisujących go w koło zdarzeń, przy którym, po jakimś czasie, można obstawać z na wpół nieobecną świadomością. Czytamy: „Spoglądasz na matki i ojców, jesteś z nimi na planszy. Wszyscy wylosowaliście bonus, chociaż być może łączy was tyle, co muły w zaprzęgu...”. Nie tylko z tego tytułu bohater tej książki cierpi na chroniczny smutek. Przede wszystkim spowodowany jest on nieodwołalnym. Narzucającą się nam skończonością, ze swoimi niedyskutowanymi intencjami, od pewnego wieku, notorycznie i nachalnie. To książka o życiu oddalającym się od życia, z każdym dniem, nie mniej zawzięcie, i nie mniej pracowicie. Przemijanie bowiem jest podrzędne wobec czasu-zmory, którego projekcje potrafią z każdego snu uczynić koszmar.

3.

Siwczyk napisał traktat egzystencjalny, w którym próbuje odpowiedzieć na pytanie, co nadaje znaczenie i sankcję ludzkiemu istnieniu. Dlaczego ciągnęła świadomość czasu czyni z przemijania fakt będący dla myślenia fundamentem trosk i niepokojów? Kiedy człowiek staje się racją własnego istnienia, beznadzieja rośnie proporcjonalnie do wiary, że w ciszy znajdują się słowa, a w milczeniu – odpowiedzi. Nasze istnienie, czytamy u Siwczyka, to

przygodny eksces, wyczerpujący swoje możliwości pomiędzy tym, co jeszcze nie zasklepiło się w niczym, a tym, co już nie zasklepi się w nic. A jedyna wyjątkowość może zdarzyć się w języku. Dlatego napisze: „Coraz częściej przechwytyjesz z języka swojego dziecka krystalicznie czyste dla niego znaczenia, jakie w tobie funkcjonują tylko w formie zagęszczonej, zabrudzonej narosłą wokół nich grą”.

To również, a może nade wszystko, rzecz o rodzinie (więziach i relacjach), wychowywaniu córki, prowadzeniu jej do miejsca, gdzie będzie mogła zostawić ojca, bez smutku i żalu, ruszyć przed siebie, bo „musisz wystarczyć jej do dnia, w którym sama stanie się początkiem końca drogi i nazwie ten dzień po imieniu, zobaczy ciągi samych takich dni”. O tym, jak jedno pojedyncze życie próbuje obstać przy drugim pojedynczym życiu. W zniechęceniu, we wzajemnych oskarżeniach, pod naporem natarczywych uszczypliwości. Poeta przedstawia świadectwo znużeń i prostracji, dotykających wszystkich ludzi decydujących się na wspólne życie, w centrum którego stoi dziecko ze swoją nieuprzedzoną językową inwencją. To rzecz o trudach bycia we dwoje. O znużeniu sobą i innymi. O pretensjach, na które jest chwila, kiedy usypia córka, a wyjąłowie-

nie minionymi godzinami osiąga swój zenit. O tym, że jeżeli trwa się w jakimś przekonaniu, to częstokroć w wypartym, bo deficyty wiedzy mogą chronić nas przed światem, a wmówienia odsuwać na boczne tory zmartwienia. O tym, że „Na dobrą sprawę jesteś blisko ze wszystkimi i z nikim”. Bo, mówi autor *Dokąd bądź*, każdy stoi sam na ziemi, i nagle zapada zmierzch, i czas nie ma już dla nas możliwości debetu. Życie to nie książki z biblioteki, których termin zwrotu można prolongować. Łóżysko, w którym przetacza się kalendarz, z każdym dniem bardziej zatarte. Niestety.

4.

„Interesuje cię tylko gęstość chwili, do której się właśnie przysiadłeś...” – zapisuje Siwczyk. Chwila to jedyny kapitał, jakim dysponujemy. Jesteśmy permanentnymi świadkami ich konwulsji. Towarzyszymy im w zagrzebywaniu się w hańdę minionego. Siwczyk mówi o uwadze (jej ćwiczeniu i pielęgnowaniu), o wpiśywaniu swego spojrzenia w teraz. Może to jedyny sposób na chwilowe odroczenie nieugiętych w swojej wymowie myśli, których konkwesta w umyśle powoduje zgiełk i kurzawę. Poeta chce nas przekonać (i przekonuje), że defetyzm jest w gruncie rzeczy realizmem. Nie czytam jego książki jako wynurzeń ponuraka, ale

jako traktat o codzienności, której płaci się daninę własną krwawicą. Od której nie można uciec – można jedynie przy niej trwać, choć zwymyśla nas i obelżywa bywa dokumentnie.

W *Bezdechu* znajdziemy też dwa studia, szkice poświęcone Tadeuszowi Różewiczowi i Arthurovi Rimbaudowi. Entuzjastyczne. Ten dotyczący autora *Płaskorzeźby* dzieli z nami przekonanie, że „Różewicz to symbol wywłaszczenia z biografii”. Siwczyk przekonuje, że to poeta, który dramatycznie sprobematyzował podmiotowość dzieła literackiego. Ten opisujący fenomen autora *Iluminacji* traktuje o nowoczesności, która się w jego poezji objawiła, pokazując człowieka cierpiącego od niekończącego się głodu, jakby posiadanie było jedyną ambicją żywych. Być może Siwczyka łączy z Rimbaudem przekonanie o negatywności jako podstawowym impulsie do wydobywania poetyckich znaczeń, choć autor *Jasnopisu* znalazł mu akolitów wśród Rafała Wojaczka i Andrzeja Sosnowskiego. Nie brak tu również wyznań będących przykładem niewiary w literaturę, jako formę aktywności zabezpieczającą przed troską, nadającą ciągłość i ramy istnieniu szukajacemu w słowach wytchnienia. Gorzkie bywają refleksje poświęcone spędzaniu życia w poezji. Część

z nich czytam jako sprzeciw wobec lirycznego eskapizmu, odbywającego się za cenę – proszę wybaczyć ucieczkę w metaforę – nieobecności w magmie codzienności, kiedy ta zastyga w kamienie tłukące w nasze okna. Czy dobrym rozwiązaniem jest umknąć do wiersza jak do schronu? Czy ironia może być poręczną figurą do obrony przed naporem rzeczywistości? Czy ludzie piszący celują w jakieś wyższościowe na swój temat przekonania, mające zapewnić im nieredukowalną odległość od innych? Musimy z tymi pytaniami zostać po swoich stronach. Język również odpowiada za naszą dezintegrację: „Język nikogo i w niczym nie łączy. Nie istnieje wspólnota językowa. Nie ma mowy o wspólnym mianowniku, do którego sprowadza się znaczenie”. Choć to przecież na literaturze spoczywa obowiązek upominania się o zapomnianych, bo – zdaniem Siwczyka, literatura konieczna jest „kodyfikowaniem porządku zanikania pamięci o czymś, co miało swój czas, ale nawet w nim dotyczyło zaledwie paru osób”.

Bartosz Suwiński

Krzysztof Siwczyk, *Bezdech*, fotografie Lorenzo Castore, Wydawnictwo Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2018

Biblioteka Tomasza Burka

Wydawnictwo Arcana po osiemnastu latach od pierwszego wydania przygotowało nową edycję *Dziennika kwarantanny* Tomasza Burka, autora książek ważnych dla polskiego życia literackiego, między innymi *Zamiast powieści* (Warszawa 1972) czy *Żadnych marzeń* (Londyn 1987). Przeglądając *Dziennik kwarantanny*, zastanawiam się jednak nad tym, co zadecydowało o wznowieniu tej akurat pracy zmarłego niedawno krytyka. Czy na decyzję wydawnictwa miała wpływ jej aktualność, czy też waga lub uniwersalność podejmowanych przez Burka problemów? Mimo że niedawno odświeżyłem lekturę *Dziennika kwarantanny*, nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć na postawione pytania. Tym niemniej z perspektywy kilkunastu lat, które upłynęły od mojego pierwszego czytania zapisków diarystyczno-felietonowych Burka – osoby obdarzonej wyrazistym i odrębnym głosem – łatwiej dostrzec autorską strategię „rozliczania” rodzimej (choć nie tylko) twórczości XX wieku. Tytuł omawianej książki nie pozostawia wątpliwości, że pomieszczone w niej teksty mają być remedium na kontakt krytyka ze środowiskiem dotkniętym,

w mniejszym bądź większym stopniu, „zaraźliwą chorobą”. Zakładam, że intencją autora było stworzenie także dla czytelnika przestrzeni pozwalającej mu oczyścić się i powrócić do równowagi duchowej.

Tomasz Burek zadbał o to, by *Dziennik kwarantanny* od pierwszego zdania, zapożyczonego od Norwida i umieszczonego jako motto książki, wydał się odbiorcy wypowiedzią o dużym ciężarze gatunkowym: „Gorzką taką pracę dlaczegożeś przedsięwziął?...”. Przytoczone zdanie kończy część *Promethidiona* zatytułowaną *Do czytelnika*, w której Norwid skrótowno wyklada powody wykorzystania tradycji greckiego dialogu dla objaśnienia swoim współczesnym istoty sztuki. Utwór prezentuje oryginalną koncepcję twórczości artystycznej, opartej na dobru, pięknie i prawdzie, dzięki czemu – zdaniem Norwida – powinna oddziaływać na życie społeczne w sposób zdecydowany, bezpośredni i mocny. Dziewiętnastowieczny pisarz uwypuklał w swym poetyckim dialogu rolę sztuki jako środka wzmacniającego społeczne więzi: „W obydwóch dialogach o zyskanie uznania potrzeby powagi jak najżywniejszej i jak najrozciąglejszej dla tego, co *Sztuką* się nazywa – a to zaś z powodów, których elementarne pojęcia czytelnik znajdzie naprzód w tych dialogach, potem w usza-

nowaniu pracy ludzkiej, a potem w historii i technice”.

Norwid kończy autotematyczną refleksję o celach, które przyświecały pracy nad *Promethidionem*, rozważaniami o znaczeniu mądrości, wolności i walki („bolesnego bojowania”) w procesie tworzenia sztuki zdolnej restaurować społeczeństwo. Dlatego też Norwidowskie motto-pytanie, wykorzystane przez Burka, należy rozumieć jako wyraz uświadomionego wysiłku, koniecznego i zarazem bolesnego, zmierzającego do niwelowania skutków funkcjonowania wyobrażeń o sztuce i fałszywych, i nieprawdziwych, a więc w planie symbolicznym mogących być emanacją stanu chorobowego. Stąd pomysł na tytuł, w którym wyraz „kwarantanna” stanowi zapowiedź (lub daje tylko nadzieję) powrotu do stanu sprzed epidemii zarówno autorowi, jak i czytelnikowi. Operowanie symboliką kwarantanny, będącej rodzajem stanu liminalnego (termin Arnolda van Gennepa), nakazuje uwzględnienie dwóch okresów, a mianowicie czasu przed epidemią i po epidemii, które można uprościć do przeszłości i przyszłości. *Dziennik kwarantanny* jest zatem diarystyczno-felietonowym opisem pewnej zastanej sytuacji, która sięga korzeniami przeszłości (tradycji), ale zarazem będzie miała wpływ na to, co do-

piero zdarzy się w polskim i, szerzej, europejskim życiu literackim.

W wypadku każdego twórcy, także i krytyka, istotne znaczenie ma doświadczenie wyniesione z przeszłości. Rzecz jasna nie decyduje ono o wszystkim, co wiąże się z twórczością danego autora, tym niemniej warto w kontekście *Dziennika kwarantanny*, który nosi znamiona tekstu autobiograficznego, przypomnieć, że Burek rozpoczął swoją krytycznoliteracką karierę z końcem lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Od połowy lat siedemdziesiątych aktywnie uczestniczył w działalności antykomunistycznej, a w roku 1980 wstąpił do „Solidarności”. W jego biografii, tak jak i wielu intelektualistów, znajdziemy wątek opozycyjny, odzwierciedlający nie tylko szlachetność postaw i wyborów, ale także – w planie ogólnym – wyznaczający rodzaj społeczno-etycznego ładu, za którym rozciągało się w polskim życiu społecznym rozległe pole albo obojętności, albo współudziału w niewoleniu. Sprawa zaczęła się komplikować po roku 1989 nie tylko w polityce i życiu obyczajowym, ale także w sztuce. Co prawda cezura ta nie pojawia się w *Dzienniku kwarantanny*, jednak poczucie nowej sytuacji kulturowej, a przede wszystkim niekorzystnych zmian w życiu literackim są obecne niemal w każdym z ponad stu tekstów, pier-

wotnie ukazujących się w „Gazecie Polskiej” między rokiem 1993 a 2000, natomiast dwa z nich – *Herbert nie na czasie?* oraz *Ciernie i wawrzyny* – są przedrukami z „Życia”.

O znaczeniu przełomu '89 dla duchowej egzystencji Polaków i innych mieszkańców Europy Środkowej Burek napisał w tekście *Literatura, niepoważne zajęcie* (1996), przedrukowanym w książce *Dzieło niczyje* (2001). Przede wszystkim podkreślał w nim, że wraz z odzyskaniem pełnej wolności weszliśmy w okres kryzysu wartości. W pewnym sensie ten sam głos wybrzmiewa dość mocno także i w omawianej pracy. Zatem od pierwszego, zaczerpniętego z *Promethidiona*, zdania *Dziennik kwarantanny* ustawiony został w kontrze do tego, co nowe (nie tylko w historycznym sensie) w polskiej literaturze, tak gdy idzie o „formę”, jak i „treść”. Choć obdarzenie atencją artysty awangardowego Stanisława Czycza (*Lodołamacz „Stanisław Czycz”, Jeszcze jeden relik*), pozostającego do śmierci nieco na uboczu życia literackiego, mogłoby sformułowanej tezie przeczyć. Niemniej jednak za sprawą debiutujących na początku lat dziewięćdziesiątych poetów, takich jak Marcin Świetlicki, Jacek Podsiadło, Marcin Sendek, Krzysztof Jaworski, czyli „bruLionowców”, granice estetyczne w sposób zdecydowany zostały przesunięte w kierunku prowokacji.

W tym kontekście nowatorskie i nowoczesne eksperymenty artystyczne Czycza (*vide* jego oryginalna książka *ARW*) mają zupełnie inny charakter i opierają się na gruntownie przemyślanej całości struktury wypowiedzi artystycznej. Jeśli są prowokacją, to raczej w głębszym tego słowa rozumieniu.

Burek konstruuje w *Dzienniku kwarantanny* swoją narrację w opozycji do „nowego” tak w sferze krytycznoliterackiej (*Literatura koleżków*), jak i artystycznej (*Pod patronatem „Gazety Wyborczej”, Dno, Duch odkurzacza*). Zarazem jednak mocno osadza swój głos w przestrzeni estetycznej, której patronują Mickiewicz (*Mickiewicz*), Wierzyński, Herbert (*Cudownych prezentów ciąg dalszy, Lekcja Herberta, Sprawiedliwy w Sodomie*), ale także Libera, autor powieści *Madame* (*Nareszcie powieść*). Kreaacja figury Burka-narratora *Dziennika kwarantanny* przez Burka-krytyka literackiego dokonuje się w ciągu ośmiu lat bez dłuższych refleksyjnych zatrzymań, dyskursywnych wątpliwości i cieniowania myśli; niekiedy temperatura krytycznych wypowiedzi jest niższa, ale zawsze utrzymuje się na stałym poziomie sądzenia czy osądzania, a nie analizowania w celu obiektywnego zdania sprawy z tego, co się czytało, słyszało i widziało. Na przykład tekst *Z umiarkowaną radością*, będący

reakcją Burka na literacką Nagrodę Nobla przyznaną przez Akademię Szwedzką Wisławie Szymborskiej (1996), jest nader zdawkowy i powierzchowny w opisie poezji autorki *Ludzi na moście*. Wiele mówiący tytuł ma swoje tekstowe uzupełnienie o charakterze życzeniowym, skierowanym najpewniej do tych, którzy decydują o przyznaniu najważniejszego literackiego wyróżnienia na świecie. Otóż Burek dostrzega pewną niesprawiedliwość w tym, że „Akademia Szwedzka pominęła w tegorocznym werdykcie tych poetów i pisarzy polskich, którym Nagroda Nobla już od dawna się należała, pracowników bezkresnego morza, ryzykujących każdym nieomal wierszem i słowem własny komfort psychiczny, reputację i utratę przyjaciół [...]”. W tym kontekście autor wymienia trzech pisarzy: Herlinga-Grudzińskiego, Różewicza i Herberta, zapominając, albo nie chcąc pamiętać, że perspektywa polska i ocena twórczości pisarza czyniona przez rodzimego czytelnika, nawet wytrawnego i doświadczonego, obarczona jest „skazą rodzimości”, która niekoniecznie musi zgadzać się z miarami czytelników zagranicznych. Tym niemniej, gest wyrażonej między wierszami krytyki Burka wobec Szymborskiej, będącej dla niego osobą „skrzętną, rozważną, cokolwiek kostyczną”, w chwili wyróżnie-

nia jej Nagrodą Nobla mimowolnie odsłania ostrze „scyzoryka”, którym krytyk się posługuje.

Nie kwestionuję estetycznych preferencji autora *Dziennika kwarantanny*, ale odnoszę się do sposobu uprawianej przez niego felietonowej, a zatem z gruntu skrótowej, krytyki literackiej. Być może właśnie żywioł felietonowy, bardziej żarliwy niż wyważony i sprawiedliwy, determinował wypowiedzi o twórczości Andrzeja Kijowskiego (*Między Machejkiem a Wojtyłą*), Janusza Krasińskiego (*W smudze cienia*) czy Stefana Chwina (*Macie swoją „Trędowatą”*). Zaledwie tylko w kilku tekstach narracja Burka jest mniej pewna, ostrożniejsza i zmierzająca w stronę refleksji niekonkluzywnej, jak choćby w wypadku powieści *Niskie łąki* Piotra Siemiona (*Nie wiem, co myśleć*). Nawet drobna złośliwość osadzona w dwóch krótkich zdaniach: „Przyznaję, były chwile, że dawałem się wciągnąć i owładnąć jej [powieści Piotra Siemiona – M.W.] narracyjnym trybom rozpędzonym postmodernistycznymi ideami. A może tylko idejkami?”, nie wywołuje konsekwencji jednoznacznie negatywnych. Tekst kończy się kilkoma pytaniami, które nadają mu walor poszukiwania sensu zawartego w *Niskich łąkach*. W podobny sposób wypowiedział się również o powieści *Funebre* Krzysztofa Myszkowskie-

go, którego utwór wymusił na nim lekturę „uważną” i „cierpliwą”, co można traktować jako nie do końca uświadomione przyznanie się także do lektur „nieuważnych” i „niecierpliwych”. Tu jednak, w odróżnieniu od tekstu poprzedniego, kończy swój krótki, powierzchniowy wywód stwierdzeniem aprobatywnym: „To święty Augustyn [...] dał autorowi *Funebre* zrozumienie, »że jeżeli człowiek milczy o Bogu, to choćby najwięcej mówił, niemową jest«.

Powieść ujawnia i rozważa przesłanki i samą duchową potrzebę jakiegoś decydującego zwrotu, zachowując po części wygląd werbalnej imitacji nawrócenia”.

W wypadku Tomasza Burka strategia „rozliczania” polskiej i zagranicznej (na przykład cykl sześciu tekstów o aktywności pisarskiej Nogarry) twórczości literackiej, badań literaturoznawczych oraz krytyki lat dziewięćdziesiątych oparta jest na nieskrywanej niechęci wobec środowiska „Gazety Wyborczej”, ale także dużego dystansu wobec młodej generacji badaczy literatury i krytyków (Przemysław Czapliński, Karol Maliszewski, Piotr Śliwiński). Co nie znaczy, że Burek oszczędza „starych”, czego przykładem jednoznacznie negatywne głosy o publikacjach Tadeusza Drewnowskiego (*Postępowo o niczym*) czy Ryszarda Przybylskiego (*Ofiarom laicyzacji*). Lektura *Dzien-*

nika kwarantanny może pozostawić w czytelniku pewien dyskomfort, będący efektem nie tyle rzeczowej krytyki, ile raczej wyrazistej i w wielu wypadkach przesadzonej w swej negatywnej ocenie kondycji polskiego życia literackiego. Czyż w takim razie „kwarantanna” serwowana przez Tomasza Burka może być skuteczna albo – ujmując sprawę inaczej – co w takim wypadku pełni funkcję skutecznego remedium? Odpowiedź pośrednio formułuje autor w pierwszym tekście, pochodzącym z 1993 roku: „Znowu świat wyszedł z normy, umysł się w nim gubi, jedno z drugim się nie wiąże, wszystko się ze sobą kłóci. I już nie mógłbym przyklasnąć oczywistym na pozór odpowiedziom, że najlepiej, aby każda biblioteka była wielobarwna i różnoraka. Nie wyrzekając się zupełnie uroków różnorodności, chciałoby się pośród panującego obecnie »postycznego« (tzn. postmodernistycznego na Zachodzie, a postkomunistycznego na Wschodzie) zamieszania pomarzyć o układzie, o jedności stylu: tak w ramach kultury ogólnej, jak w obrębie poszczególnych księgozbiorów”.

Układ „idealnej” biblioteki autora *Dziennika kwarantanny*, której użytkowanie przynosi czytelnikowi ulgę w dolegliwościach spowodowanych „epidemią współczesności”, zwiastującej, mówiąc językiem

Johna Bartha (chodzi o jego słynny esej *The Literature of Exhaustion* z 1967 roku), erę wyłącznie „literatury wyczerpania”, oparty jest między innymi na literaturze antycznej, Biblii, *Boskiej Komedii*, *Próbach*, *Hamlecie*, *Dziadach* i *Martwych duszach*. Zapewne, gdyby znalazło się dodatkowe miejsce na półkach, księgozbiór zasiliłyby jeszcze *Wichrowe wzgórze*, *Schody Strudlhofu* lub *Narzeczeni*. Proponowana przez krytyka lektura (arcy)dzieł literatury światowej w gruncie rzeczy jest ucieczką od współczesnej sztuki i propozycją duchowego eremictwa, które gwarantuje długookresowe uwolnienie się od „przykrych” dolegliwości chorób XX, a teraz i XXI wieku. Tym niemniej, rezygnacja z objaśniania tego, co przynosi nasz czas, niestety zubaża i wyjaławia, a w konsekwencji czyni nieczułym na współczesność. Podobne, choć nie tożsame, konstatacje odnaleźć można w książce wcześniej przywołanej, a mianowicie w *Dziele niczym*. Powtarzana tam i w *Dzienniku kwarantanny* figura zmierzchu pewnej formacji humanistycznej oraz zaniku „poważnego”, zaprawionego metafizyką, podejścia do sztuki – a nie tylko literatury – wywołuje w krytyku bunt i sprzeciwy, które niekiedy przechodzą w irytację. Nawet jeśli Burek w wielu miejscach ma rację, pomstując na poziom rodzimej produkcji literac-

kiej, to rolę krytyka jest zabierać głos w taki sposób, by być słyszalnym. Szczególnie wtedy, gdy widzi się i rozumie więcej niż inni.

Maciej Wróblewski

Tomasz Burek, *Dziennik kwarantanny*, wydanie 2, Wydawnictwo Arcana, Kraków 2019

Literatura i rzeczywistość

Drugi tom wspomnień Kazimierza Orłosa w pewnej mierze jest przedłużeniem opowieści zapelniającej kartę wydanej w 2015 roku książki *Dzieje dwóch rodzin: Mackiewiczów z Litwy i Orłosiów z Ukrainy*. Po matce jest pisarz spokrewniony z Józefem i Stanisławem Mackiewiczami, co zapewne nie pozostaje bez wpływu na jego pojmowanie rzeczywistości i literatury, a przede wszystkim relacji łączących obie te sfery jego egzystencji. Przy tym dla wielu czytelników pozostaje Orłoś zapewne pisarzem na swój sposób anachronicznym, dalekim od zamierzeń określanych mianem „udziwnienia świata”, nieskorym do jego upraszczania, za to wiernym prostocie czy raczej klarowności narracji. Przy czym mam na myśli przede wszystkim jego opowiadania i powieści – wspomnienia kierują się

bowiem własnymi, odmiennymi zasadami. O tyle wszakże jest to istotne, że w *Dziejach człowieka piszącego* samo pisanie siłą rzeczy staje się przedmiotem autorskiej refleksji, podobnie jak status pisarza – w tej ostatniej kwestii wydaje się, że jest Orłoś jednym z ostatnich czynnych dziś pisarzy kontynuujących ten wątek twórczości Żeromskiego, który pisanie nakazuje traktować jako służbę: „Dziś, gdy z perspektywy lat patrzę na dokonania współczesnych autorów, coraz częściej wydaje mi się, że wielu nie interesuje się życiem i rzeczywistością, jaka ich otacza. Zapomina też o tej oczywistej prawdzie, że literatura powinna być jedynie pytaniem. Pisanie książek stało się zajęciem zarobkowym. Młodzi ludzie obdarzeni bujną wyobraźnią i łatwością pisania piszą powieść za powieścią, starając się spełniać życzenia wydawców i oczekiwania czytelników. Coraz częściej w swoich książkach udzielają odpowiedzi”.

Tego rodzaju uwagi pobudzają jeśli nie do polemiki – bo po prawdzie zawsze byli tacy, którzy celem twórczości czynili zarobek, ten zaś zyskuje się, spełniając życzenia odbiorców – to przynajmniej do dopełnienia: wszak bowiem zainteresowanie życiem i rzeczywistością to także, dziś może bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, zainteresowanie sposobem, w jaki się o nich opowia-

da, co przekłada się na eksperymenty narracyjne sprawiające wrażenie oderwanych od spraw ludzkiej egzystencji. Lecz przecież i sposób, w jaki opowiadamy o świecie, pozwala pisarzowi odsłonić to, co zakryte bądź niedostrzegane, odkryć kwestie niepodnoszone dotąd nie po to, by o nich wypowiadać sądy kategoryczne lub epatować odwagą obyczajową bądź egzotyką, lecz by zapytać o ich znaczenie w życiu bohaterów. To zresztą rzecz na szerszą dysputę, wspominał o tym jedynie dlatego, że wciąż powracające oskarżenia literatury o brak związku z życiem społecznym i oderwanie od rzeczywistości jest upartym eksponowaniem jednego tylko typu wrażliwości, gdy świat sztuki z zasady jest wieloraki i skierowany w rozmaite rejony ludzkich doświadczeń, oskarżenia te zaś zdają się wyrastać z przekonania, że wszystko jest dla wszystkich – jest, ale każdy wybiera co innego.

Z tego punktu widzenia książkę Orłosa można czytać jako swego rodzaju wypowiedź programową. Bez wątpienia mamy tu do czynienia z pisarzem, który swą pracę traktuje jako rodzaj społecznego powołania, jako służbę, której powinnością jest conradowska zasada dawania świadectwa prawdzie i obrona podstawowych wartości w relacjach międzyludzkich. Po-

świadczą to jego własna twórczość, za którą gotów jest ponieść pełną odpowiedzialność. Odważą było wszak opublikowanie w Instytucie Literackim stworzonym na wychodźstwie przez Jerzego Giedroycia odrzuconej przez peerelowską cenzurę powieści *Cudowna melina*. Wspominając ten ważny – nie tylko dla niego, o czym świadczy choćby przytoczony w książce piękny list Mariana Brandysa – epizod swego życia, pisze: „Pierwszych skutków ukazania się książki w Bibliotece »Kultury« już doświadczyłem. Czyli usunięcia z dnia na dzień z pracy w Redakcji Słuchowisk, kilkugodzinnego przesłuchania przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa w gmachu MSW na Rakowieckiej, wprowadzonego natychmiast zakazu druku czegokolwiek w »Literaturze«, uniemożliwienia realizacji *Wielbłąda* Kieślowskiemu i zdjęcia z afisza mojej pierwszej sztuki teatralnej *Piranie* w Teatrze Polskim we Wrocławiu”. Nie od rzeczy będzie w tym kontekście uwaga autora: „List Brandysa był jednym z nielicznych, a bardzo wtedy cennych dowodów wsparcia i solidarności”. Cóż – środowiska inteligencji, rozbite i spacyfikowane przez komunistów w 1968 roku i niezdolne do wsparcia buntu robotników Wybrzeża w roku 1970, nieskore były do protestowania przeciw represjonowaniu niepokor-

nych. Można powiedzieć, że droga do przełamania tego stanu rzeczy trwała bez mała dziesięć lat, do roku 1976, gdy zaczęły się organizować grupy opozycji demokratycznej i powstawać pierwsze wydawnictwa drugoobiegowe.

Orłoś – który należał do nielicznej grupy pisarzy wcześniej publikujących poza zasięgiem peerelowskiej cenzury – niejako z marszu włączył się w ten nurt życia kulturalnego, stając się jednym z redaktorów podziemnego „Zapisu”. To nie był czas sprzyjający dyskusjom artystycznym (choć warto wspomnieć o debacie toczzonej po stanie wojennym na łamach „Literatury” między zwolennikami „szkoły Berezyny” i „szkoły Błońskiego” – ta ostatnia zapewne bliższa była autorowi *Domu pod Lutnią*). Nie znaczy to, że nie trzeba było rozstrzygać kwestii artystycznych. Wspomina autor: „Przez kilka lat – od roku 1979 do 1984 – pisałem *Przechowalnię*. [...] Zamiarem moim było napisanie powieści językiem propagandy, jaki znaleźmy z telewizji, radia i prasy. Także z przemówień funkcjonariuszy partyjnych na zjazdach PZPR. [...] Pamiętam, że długo zastanawiałem się, czy warto pisać tym językiem powieść [...]? Kto przeczyta kilkadziesiąt lub więcej stron w języku przemówień partyjnych z telewizji i »Trybuny Ludu«? [...] Doszedłem do wniosku, że warto

taką próbę podjąć”. Dzisiaj zaś każdy czytelnik, którego interesują realia peerelu, gdy sięgnie w roku 2020 po utwór Orłosa, właśnie dzięki tej decyzji pisarza dowie się o rzeczywistości tamtego czasu więcej, niż gdyby został on napisany w języku „konwencjonalnym” (nawiasem i żartem mówiąc, może się zdarzyć, że taki czytelnik uzna narrację *Przechowalni* za odważny chwyt awangardowy).

Opowieść swą kończy Orłós na scenach upadku muru berlińskiego w roku 1989. Tym samym narracja rozpoczynająca się w roku 1945 stanowi relację o kształtowaniu się postawy i losach pisarza czasu „Polski Ludowej”: osobista biografia ukazana zostaje na tle biegu historii kraju, przy czym uderza tu niechęć do wydawania ostrych sądów i moralizowania. *Dzieje człowieka piszącego* to narracja zdystansowana, dająca zarówno ogólny obraz tego czasu, jak też dbała o szczegóły, nienadymająca „ja” autorskiego, ale też nieprzesadnie dyskretna, zarazem niepozbawiona autoironii: „Należałem do pokolenia, które nawet nie przeżyło świadomie wojny i którego dzieciństwo oraz młodość przypadły na szare lata w kraju rządzonym przez komunistów. Moje usiłowania znalezienia w tej szarej rzeczywistości miejsca, gdzie życie okazałoby się ciekawsze, były nieco sztuczne”. Jest nie tylko ważnym świadectwem,

ale też ważnym autokomentarzem własnej twórczości. Przy czym, co ważne, rzecz jest zajmująco inkrustowana cytatami z osobistego dziennika pisarza.

Leszek Szaruga

Kazimierz Orłós, *Dzieje człowieka piszącego*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Portret pisarza

W *Listach do Luizy* Flaubert kreśli realistyczny, krytyczno-apologetyczny autoportret pisarza zmagającego się ze sobą, z demonami i powieścią, która stała się jego najbardziej znanym dokonaniem. I tak jak w niej jest lub stara się być, według swojej głównej zasady, niewidoczny, tak w tych dwustu trzynastu listach widzimy go na pierwszym planie prawie bez przerwy i można powiedzieć, że bez kostiumów. Na początku pierwszego listu stwierdza: „Moje zdania padają jak westchnienia, żeby je zrozumieć, trzeba wypełnić luki oddzielające jedno od drugiego”. I tak jest – trzeba traktować go bardzo dosłownie, gdyż raz po raz jest realistą do szpiku kości.

Jego rękopisy są pełne skreśleń i wstawek – z uporem dąży do jak najwierniejszych zapisów, chociaż pióro, jak mówi, pisze jakby przeciw niemu. Wie, że żeby wyrobić sobie

styl, „trzeba harować z fanatycznym i ofiarnym uporem”. I tak robi: są dni, gdy pracuje bez przerwy po dziesięć godzin, choć, jak przyznaje, jest tak, że od pisania ucieka. Co dziwnego, skoro potrafi przez osiem godzin poprowadzić pięć stron i jest zadowolony, gdy zostanie kilka linijek, a z zapisanych pięćuset stron zostawia sto dwadzieścia. „Mój smak się wprawdzie ulepsza, ale pisanie jest przez to trudniejsze. Zdania przestały płynąć, muszę je wyszarpywać, i to z bólem”, stwierdza. Z upodobaniem wraca do arcydzieł, na przykład Homera, Wergiliusza, Cervantesa, Goethego czy Shakespeare’a: „Zaglądam do *Eneidy*, z której do upojenia powtarzam sobie kilka wersów. Wystarczają mi na długo. Zamęczam nimi umysł; niektóre zdania utrwalają się w mózgu, prześladowając mnie, niczym wciąż powracające melodie, które lubimy aż do bólu”, a także do Biblii; Księgę Hioba uznaje za „jedną z piękniejszych, jakie napisano, odkąd się je pisze”. Wydaje mu się nieraz, że entuzjazm, którym go wypełniali, czynił go „im równym i wznosił aż do nich”. Wyznaje, że kiedy kogoś naśladuje, to „wchodzi w jego skórę”.

Cierpi na chorobę nerwów, mówi, że jest błaznem, fantastą, człowiekiem kaprysu i improwizacji. Stwierdza też, że jest katolikiem. Wyznaje, że wątpi we wszystko,

nawet w swoje zwątpienie, kocha piękne formy, a oprócz „pięknych wierszy, zgrabnych, śpiewnych i harmonijnych zdań, pięknych zachodów słońca, blasku księżyca, nasyconych kolorem obrazów, starożytnych marmurów i wyrazistych rysów” nic dla niego na świecie nie istnieje: „Nie ma pięknej myśli bez pięknej formy, i na odwrót. – Piękno w świecie Sztuki wypływa z formy tak samo, jak w naszym ludzkim świecie z Piękna wypływa pokusa i miłość”. Mówi, że ma niekompletną naturę, która szuka tego, co kompletne, dlatego interesują go antytezy i przeciwieństwa, oscylacje między jednym a drugim, a także, że jest „arabeskową mozaiką”, w której są „kawałki kości słoniowej, złota i żelaza, okruchy diamentu, kawałki tapety i blachy”. Do miłości ma dystans, widzi jej groteskowe aspekty. Wierzy w Opatrzność Zła, nie dostrzega Opatrzności Dobra, podkreśla swój fatalizm. Popada w sprzeczności, na przykład raz mówi, że nikt nigdy go nie kochał, a raz, że kochano go za bardzo. „Prawda, że niełatwo mnie rozgryźć”, zauważa. Dochodzi do wniosku, że jest egoistą i że to jeden z trzech warunków, które gwarantują szczęście (pozostałe to głupota i dobre zdrowie). Ciekawe są uwagi o pisaniu dzienników, do których czuje wstręt. W Croisset żyje jak mnich w samotności, co świetnie

odpowiada jego naturze: „Wyżłobiłem sobie norę i siedzę w niej, dbając o zachowanie stałej temperatury”.

Kocha Sztukę, która jest „jedyną prawdą i dobrem życia”, i uwielbia Myśl, „kontemplację rzeczy wiecznych, słowem Religiją w najszerszym rozumieniu tego słowa”, i to samo radzi Luizie. Jest perfekcjonistą nie-nawidzącym tego, co jest jej bliskie. „Spójność, spójność jest wszystkim. Całokształt jest tym, czego brak naszym współczesnym, zarówno wielkim, jak i małym. Tysiąc pięknych miejsc, a gdzie dzieło?” – jeśli tak nie patrzy się na twórczość pisarzy, to w ogóle ich się nie widzi. Mówi: „Absolutna nicość przemawia mi do wyobraźni. Pewnik: życie pociesza po śmierci, śmierć pociesza po życiu”.

Są takie metafizyczne zdania: „Prawda jest tak samo w półtonach, jak w jaskrawych barwach”. I z drugiej strony: „Istnieją dzieła tak przerażająco wielkie, że zmiażdżą każdego, kto chciałby je dźwignąć. To zbroja olbrzyma, karzeł, który ją zechce założyć, zginie przygnieciony, nim zrobi choćby jeden krok”. Trudno jest synchronizować ze sobą jego poglądy, opinie czy nawet pojedyncze stwierdzenia, na przykład to, co mówi o duszy i ciele, śmierci i nieśmiertelności, ale co dziwnego, skoro tak sam się charakteryzuje: „Mam tyleż szacunku dla galernika,

co dla siebie, tyleż dla dziewic, co dla kurew, tyleż dla psów, co dla ludzi. Wyjąwszy te nieco dziwaczne poglądy, jestem taki jak wszyscy”, i dodaje: „Kiedys chciałem być kamedułą, potem tureckim renegatem. Teraz braminem albo niczym, co znacznie prostsze”. Ale nie ma wątpliwości, że kocha sztukę, a więc i literaturę: „Wielkość Sztuki polega na tym, że przyziemne czyni wielkim”. Z zapałem ciągle czyta Biblię, jeden rozdział powtarza pięć czy sześć razy, wspomina o czytaniu świętych Antoniego, Augustyna i Teresy, także Chateaubrianda i Swedenborga: „Najpiękniejsze dzieła to te, w których jest jak najmniej materii; im zdanie jest bliższe myśli, im słowo dokładniej do niej przylega i niknie, tym dzieło jest piękniejsze. Sądzę, że Sztuka będzie szła w tę stronę”.

Pisanie jest dla niego służeniem powołaniu, posłuszeństwem wyższemu przeznaczeniu, czynieniem Dobra i służbą Prawdzie. A przecież nazywa je tłuczeniem kamieni czy torturą. „*Bovary* mnie zamęczy. Przez cały tydzień napisałem trzy strony, bynajmniej niezachwycające. Związek myśli, sprawienie, by naturalnie z siebie wynikały, to coś piekielnie trudnego” – raz po raz spotykamy takie i im podobne zapisy. Co dziwnego, skoro uważa, że dobre zdanie prozą musi być, podobnie jak dobry wiersz, „*nienaruszalne*, tak samo

rytmiczne, tak samo dźwięczne". Są też i takie cenne rady, na przykład: „Im więcej wkładasz z *siebie*, tym gorszy wynik. To był mój grzech; zawsze pisałem o sobie. Na przykład, święty Antoni to ja. *Kuszenie* było dla mnie, nie dla czytelnika – *Im mniej bierzemy z siebie, tym trafniej przedstawiamy rzecz taką, jaka jest* (jaka jest *zawsze*, sama w sobie, w swojej uniwersalności, nie zaś w przypadkowych szczegółach). Trzeba jednak umieć *wczuwać się w rzeczy*". W 1852 roku stwierdza: „Prawdopodobnie świat zewnętrzny został już dokładnie opisany, i to z licznymi powtórzeniami, to było zadanie pionierów. Dla nas zostało wewnątrz człowieka, rzecz bardziej złożona i której trudniej nadać *formę*. Dlatego też sądzę, że powieść dopiero się rodzi i czeka na swego Homera". W narracji za fakty i wydarzenia uznaje też *stany ducha*, a to, żeby były interesujące, jest według niego sprawą stylu. Nie poprawność, ale „rozwichrzenie” Shakespeare’a uznaje za ideał: „Przeczytałem w tym tygodniu pierwszy akt *Króla Leara*. Im więcej o nim myślę, tym bardziej ten człowiek mnie przeraża... Całość jego dzieła zdumiewa mnie i ekscytuje jak gwiaździste niebo. Widzę jedynie oślepiającą nieskończoność, w której gubi się mój wzrok". Ciągłe czytanie i uczy się od największych – obok wymienionych, Sofoklesa, Apule-

jusza, Rabelais’go i Montaigne’a, którego nazywa swoim karmicielem: „piszemy tym, co inni już napisali!”, mówi i dodaje: „Opierać się trzeba na Silnych i na tym, co Wieczne, a nie na naszych małych, migotliwych i zmiennych pragnieniach. Odkąd znów przeczytałem Montaigne’a, czuję się mocniejszy, gdyż jestem go pełen”.

W ostatnim liście, do Bouilheta, cytuje wypowiedź matki: „Kult zdań wysuszył ci serce” i uważa ją za wspaniałą. Kolejny raz, po lekturze Flauberta, zostajemy z mieszanymi uczuciami.

Krzysztof Myszkowski

Gustave Flaubert, *Listy do Luizy*, wybór, przekład i komentarz Ryszard Engelking, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2019

„Mój kapitał”

Głos Miłosa – słuchanie tego, co i jak mówi w trzydziestu sześciu rozmowach i dyskusjach toczonych w latach 1980–1997 w różnych miejscach na świecie. Wyrazista i spójna opowieść o ludziach, literaturze i czasie ze ściśle wyrażonego osobistego punktu widzenia.

W zmiennych wariantach i kontekstach powtarza to, co najważniejsze. Mówi o zakorzenieniu w powiecie kiejdańskim – w Sztejt-

niach i w Wilnie, które nazywa Jerozolimą Północy i Florencją Północy, a także w poezji polskiej XVI wieku, z dokonanymi w tamtych latach przekładami Biblii, i w Mickiewiczu. Stwierdza: „Jedyne, co naprawdę istnieje w Europie, a co jest może jej przyszłością, to regionalizm”, i dodaje: „Ja uważałem, mieszkając w różnych krajach, że mam jeden obszar geograficzny, który znam, z którym jestem uczuciowo związany, że to jest mój kapitał, że nie powinienem wyrzekać się tego kapitału i udawać kogoś innego, niż jestem, dostosowywać się do Zachodu na przykład. Niech się oni do mnie dostosują. Tak uważałem. I stale pisałem poezję czy prozę, która odnosiła się do pewnego obszaru geograficznego, do mojego powiatu w środku Litwy, gdzie się urodziłem”.

Jednocześnie jest przeciw różnej maści nacjonalizmom, także modom i głupstwu Zachodu, zakłamaniu jego elit – tej piekielnej nihilistycznej pustce i totalitaryzmom: „Sądzę, że okropności naszych czasów biorą się z głębokiego duchowego kryzysu”. Wierzy, że jest dobro i zło i można je rozgraniczać, i jest prawda, której trzeba strzec. Człowiekowi niezbędne są metafizyka i religia, które są po stronie rzeczywistości; uważa, że „w katolicyzmie tkwi obietnica oryginalności kultury polskiej”. Przeciwstawia się nihili-

zmowi i dechrystianizacji, wskazuje na wartość każdej chwili i dynamikę czasu, która istnieje od pierwszego upadku i będzie istnieć do drugiego nadejścia Chrystusa. Przypomina, że czas nie jest „marszem ku otchłani” i poezja nie należy do poziomu horyzontalnego, lecz wertykalnego: „Z tego punktu widzenia dla poezji najistotniejsze jest to, co w wyobraźni dzisiejszego człowieka jest przyjęte jako naprawdę rzeczywiste, jako obraz kosmosu”.

Mówi o zależnościach pomiędzy pisarzem a społeczeństwem, wpływie mód ideologicznych i koniecznym „pancerzu ochronnym”, który trzeba mieć. Rozważa, jak „sukces” i oczekiwania wobec pisarza mają się do jego autentyczności i wierności wobec siebie, a zna to z bezpośrednich obserwacji i autopsji. Zadziwiające, jak te schematy powtarzają się w każdej epoce i w każdym czasie. Ostatecznie liczy się wizja, którą pisarz jest pochłonięty, jej związek z metafizyką i religią.

Ważne są: uparte trwanie przy swoim języku – polszczyźnie („Nigdy nie próbowałem pisać wierszy w innych znanych mi językach, czyli po francusku i po angielsku”), pogoń za rzeczywistością i bycie jej strażnikiem oraz forma artystyczna, gdyż w poezji nie można mówić wprost: „Poeta jest instrumentem,

stale znajduje się pod kontrolą tego, co określam mianem dajmoniona. W dużej mierze zapisuje to, co zostaje mu przez owego dajmoniona podyktowane". I uzupełnia: „Zawsze byłem pełny głosów, uważałem się za instrument, za medium. Jestem osobą bardzo podatną na przeobrażenie się w takie narzędzie, często nawiedzają mnie rozmaite głosy. Nie ma w tym nic paranormalnego! [...] Polifonia jest czymś oczywistym w dziełach Nietzschego czy Dostojewskiego. [...] Ja nie jestem wyjątkiem, wprost przeciwnie, jestem bardzo świadomy sprzeczności w mojej prozie i poezji, w mojej osobie czy też wielu osobach, którymi jestem. Pogodziłem się z tym kryzysem, nie można temu zaradzić, trzeba zaakceptować napięcie między własną, indywidualną wolą a fatalizmem, w jakim jest zawieszona”.

Mówi o samotności, dualizmie, manicheizmie i religijności: „Wszystkie moje ruchy umysłu są religijne i w tym sensie moja poezja jest religijna”, o milczeniu i o pisaniu, które jest mniej od niego nieludzkie. Na pytanie dziennika „Libération”: „Dlaczego piszesz?”, odpowiada: „Piszę, by wyrazić wdzięczność Bogu za dar istniejących rzeczy. By walczyć z negacją, która jest chaosem i nieistnieniem”.

Radzi, jak czytać tomik wierszy: „Nie powinniśmy ogarniać go spoj-

rzeniem dzielącym na fragmenty, ale spojrzeniem kogoś, kto kontempluje. Rzeczy należy kontemplować, nie kroić na części. Pokawałkowane tracą wiele ze swojej esencji”. Zapytany, co jest ważne w pisaniu, odpowiada: „Ważne jest to, w jaki sposób łączy się słowa. Słowa”, i dodaje, że treść ma znaczenie, ale w połączeniu z siłą języka, że przede wszystkim liczy się wrażliwość na język.

Widzimy, jak bogate i skomplikowane są jego wnętrza i natura. Nazywa się „ekstatycznym pesymistą”, mówi, że jest człowiekiem pełnym sprzeczności, który nie umie postrzegać siebie jako spójnej całości, jest stale rozdarty sprzecznościami. Na uwagę o pokrewieństwie z Gombrowiczem, powołując się na opinię Jeleńskiego, że Gombrowicz był „cały pokręcony”, a on stanowi „jedność pasji i poezji”, stwierdza: „To nieprawda. Uważam się za pokręconego bardziej od Gombrowicza”. W innym miejscu wyjaśnia: „Dzięki Simone Weil odkryłem, jaką rolę może spełniać sprzeczność, którą ona nazwała »dźwignią transcendencji«”.

Inspirujące i gruntujące są wypowiedzi o Swedenborgu – mistyku i racjonalście i jego teorii korespondencji: „Człowiek nie tworzy, nie znajduje, nie operuje samodzielnie – a jedynie kooperuje”; interpretując Biblię, wszystkie jej elementy uznał

za korespondencje; o poezji Świrskiej, którą nazywa „poetką radykalnego dualizmu – podobnie jak Samuel Beckett”; także o Blake’u, Oskarze Miłoszu, Wacie czy Różewiczu. Innym pasmem, w którym wyświeśla się nasza współczesność, są fragmenty o Rosji, o Europie Środkowej i o Zachodzie.

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Dzieła zebrane*, tom 42: *Rozmowy zagraniczne*, część trzecia: 1980–1997, zebrał i opracował Emil Pasierski, przełożyli Anna Halbersztat, Joanna Kornaś-Warwas, Martyna M. Lemańczyk, Maryna Ochab, Katarzyna Okrasko, Krzysztof Olszewski, Kinga Piotrowiak-Junkiert, Agnieszka Pokojńska, Paulina Rosińska, Miłosz Waligórski, Maria Zawadzka-Strączek, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Fleur Adcock, ur. 1934 w Papakura w Nowej Zelandii, poetka i tłumaczka brytyjska. W 1956 roku ukończyła filologię klasyczną na Victoria University. Od 1964 roku w Anglii. Opublikowała kilkanaście zbiorów wierszy. Jest też autorką antologii *The Oxford Book of Contemporary New Zealand Poetry* (1982) i *The Faber Book of Twentieth Century Women's Poetry* (1987). Tłumaczy z języka łaćńskiego i rumuńskiego.

Ewa Bathelier, artystka polskiego pochodzenia; jej obrazy znajdują się w licznych galeriach i kolekcjach całego świata. Mieszka w Eschau.

George Mackay Brown (1921–1996), szkocki poeta, prozaik i dramaturg z Orkadów; autor wielu tomów wierszy (m.in.: *The Storm, Loaves and Fishes, The Year of the Whale, Fishermen with Ploughs, Winterfold, Voyages*), powieści (m.in.: *Greenoe, Magnus, Time in a Red Coat*) oraz kilku zbiorów opowiadań (m.in.: *A Calendar of Love, A Time to Keep, Hawkfall*). W Polsce znany z licznych publikacji prasowych i wyboru wierszy *Antologia z wyspy fok*, wydanego w 1989 roku przez Wydawnictwo Literackie w przekładzie Andrzeja Szuby.

Stefan Chwin, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Srebrzysko. Powieść dla dorosłych* (2016) i *Opowiadania dla Krystyny* (2018) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67) i 2016 nr 4 (92)]. Mieszka w Gdańsku.

Emil Cioran (1911–1995), prozaik i eseista, od 1937 roku we Francji, autor m.in. *Brewiarza zwyciężonych, Zeszytów 1957–1972, Sylogizmów goryczy*.

Tadeusz Dąbrowski, ur. 1979 w Elblągu, poeta, eseista, krytyk literacki; ostatnio opublikował tom wierszy *Środek wyrazu* (2016) i tom prozy *Bezbronna kreska* (2016). Mieszka w Gdyni.

Ireneusz Kania, ur. 1940 w Wieluniu, eseista, tłumacz kilkadziesiątu książek z szesnastu języków, przełożył m.in. *Tybetańską Księgę Umarłych, Opowieści Zoharu*, Flawiusza, Vasariego, Mikołaja z Kuzy, Dalajlamę, Rozanowa, Eliadego, Ciorana; ostatnio opublikował *Wiersze wszystkie Kawafisa* (2019). Mieszka w Krakowie.

Bogusław Kierc, ur. 1943 w Bielsku-Białej, poeta, krytyk literacki, aktor, reżyser; ostatnio opublikował tomiki wierszy *Notesprospera* (2018), *Rytmy albo wiersze stałe* (2019) i *Osa* (2019). Mieszka we Wrocławiu.

Antoni Libera, ur. 1949 w Warszawie, pisarz, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował *Jestście na Ziemi, na to rady nie ma! Dialogi o teatrze Samuela Becketta* (wraz z Januszem Pydą OP) (2018), nowe przekłady *Tragedii Sofoklesa* (2018) i *Tragedii Racine'a* (2019) oraz *Godot i jego cień* (2019) [patrz m.in.: „Kwartalnik Artystyczny” 2019 nr 1 (101)]. Mieszka w Warszawie.

Krzysztof Lisowski, ur. 1954 w Krakowie, poeta, prozaik, krytyk literacki; ostatnio ogłosił *Zaginiona we śnie* (2019). Mieszka w Krakowie.

Krzysztof Myszkowski, ur. 1952 w Toruniu, prozaik, eseista; ostatnio opublikował *Puste miejsce* (2018), *W rozmowie* (2018) i *Punkt wyjścia* (2019). Mieszka w Toruniu i w Bydgoszczy.

Łukasz Nicpan, ur. 1950 w Łodzi, poeta, tłumacz; ostatnio opublikował tom wierszy *Domowa księga rodzaju* (2016). Mieszka w Warszawie.

Kazimierz Nowosielski, ur. 1948 w Rybnie na Kujawach; autor tomików wierszy, eseista i krytyk, profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio opublikował tomik *Jakby spokój* (2018). Mieszka w Gdańsku.

Rainer Maria Rilke (1875–1926), poeta austriacki, autor m.in. *Elegii duinejskich*, *Sonetów do Orfeusza*, *Pieśni o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke* i autobiograficznej opowieści *Malte*.

Tomasz Różycki, ur. 1970 w Opolu, poeta, tłumacz; ostatnio opublikował tom wierszy *Litery* (2016) i *Wiersze wybrane* (2018). Mieszka w Opolu.

Krzysztof Siwczyk, ur. 1977 w Knurowie, poeta, eseista; ostatnio opublikował *Mediany* (2018) i *Bezdech* (2018). Mieszka w Gliwicach.

Piotr Sobolczyk, ur. 1980 w Lublinie, badacz i krytyk literatury, tłumacz literatury hiszpańskiej; adiunkt w IBL PAN; ostatnio opublikował *Gotycyzm – modernistyczny sobowtór odmieńca* (2017). Mieszka w Warszawie.

Renia Spiegel (1924–1942), od 31 stycznia 1939 roku do śmierci w czerwcu 1942 roku prowadziła pamiętnik spisany na prawie 700 stronach; jego pierwsze polskie wydanie ukazało się w 2016 roku nakładem fundacji jej imienia.

Bartosz Suwiński, ur. 1985 w Kępnie; ostatnio opublikował tomik wierszy *Wyraj* (2017) oraz *Po tej stronie rzeki. Szkice o poetach znad Odry* (2017). Mieszka w Bystrzycy Kłodzkiej.

Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej i rosyjskiej, profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. zbiór aforyzmów *Kanibale lubią ludzi* (2019) i tom esejów *Przestrzenie dialogu* (2019) [patrz m.in.: „Kwartalnik Artystyczny” 2016 nr 1 (89)]. Mieszka w Warszawie.

Piotr Szewc, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki, redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy

Światelko (2017) oraz *Tymczasem. Wybór wierszy* (2019). Mieszka w Warszawie.

Andrzej Szuba, ur. 1949 w Gliwicach, poeta, tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował przekład wierszy Rona Padgetta *Bezczynność butów. Wybór wierszy* (2018) oraz Walta Whitmana *Powrót bohaterów* (2019). Mieszka w Katowicach.

Janusz Szuber, ur. 1947 w Sanoku, poeta; autor wielu tomów wierszy; ostatnio opublikował tomik *Rynek 14/1* (2016). Mieszka w Sanoku.

Wojciech Tomasik, ur. 1955 w Białymstoku, historyk, teoretyk literatury, eseista i krytyk literacki, profesor Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy; ostatnio opublikował tom szkiców *Rozkład jazdy* (2018). Mieszka w Bydgoszczy.

Tomasz Waszak, ur. 1964 we Wrocławiu, profesor w Katedrze Literatury i Kultury Krajów Niemieckojęzycznych XIX–XX wieku UMK w Toruniu; ostatnio opublikował we wspólnej redakcji z Marcinem Wołkiem *Echa antyku* (2018). Mieszka w Toruniu.

Maciej Wróblewski, ur. 1968 w Ełku, eseista i krytyk literacki, profesor UMK w Toruniu; ostatnio opublikował *Doświadczenie dzieciństwa. Studium z antropologii literatury* (2019). Mieszka w Toruniu.

Andrzej Zawada, ur. 1948 w Wieluniu, eseista i krytyk literacki, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego; ostatnio opublikował *Drugi Brestaw* (2014). Mieszka we Wrocławiu i Dębniakach.

Konrad Zych, ur. 1985 w Wołominie, krytyk literacki, redaktor portalu literatki.com. Mieszka w Strykach.

An aerial photograph of a dense forest with a river or stream winding through it. The water is light-colored, possibly due to sediment or sunlight, and the surrounding trees are a mix of green and brown. The text is overlaid on the upper portion of the image.

PRENUMERATA

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY
W KRAJU I ZA GRANICĄ

„KWARTALNIK ARTYSTYCZNY” W 2019 ROKU



Nr 1/2019 (101)

Antoni Libera – *Od Sofoklesa do Becketta* (wybór przekładów poetyckich)

Antoni Libera – *Kompót z wisień*

Janusz Szuber – *Xenia dla Antoniego*

Antoni Libera w rozmowie z Renatą Górczyńską – „*Życie to sprawa chybiona*”

Zbigniew Herbert – *List do redakcji „Nowin Literackich”*

Wiersze Adama Zagajewskiego

Stefan Chwin – *Wieczór z panną Terror*

Stefan Chwin – *Wyobraźnia literacka, wyobraźnia filozoficzna, wyobraźnia teologiczna*

Stefan Chwin w rozmowie z Maciejem Wróblewskim – *Kto stoi po stronie dobra?*

Stefan Chwin – *Rysunki*

Varia: Stefan Chwin, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

Recenzje i Noty o książkach: Leszek Żyliński, Maciej Wróblewski, Aleksander Fiut, Aleksandra Francuz, Krzysztof Siwczyk, Bartosz Suwiński, Piotr Matywiecki, Jerzy Madejski, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Konrad Zych, Magdalena Bauchrowicz-Kłodzińska



Nr 2/2019 (102)

Święty Jan od Krzyża – *Poezje* w przekładzie Piotra Sobolczyka

Jean Racine – *Ifigenia* (akt pierwszy) w przekładzie Antoniego Libery

Borys Pasternak – *Hamlet* w przekładzie Zbigniewa Herberta

Czesław Miłosz – *Joseph Conrad dzisiaj* w przekładzie Małgorzaty Zemły

Czesław Miłosz – *Literatura polska a kompleks nacjonalistyczny* w przekładzie Aleksandry Wojdy

Wiersze Piotra Matywieckiego, Adama Wagi, Krzysztofa Siwczyka, Grzegorza Wróblewskiego, Jerzego Plutowicza, Stanisława Dłuskiego, Barbary Soli, Agnieszki Wiktorowskiej-Chmielewskiej, Moniki Luque-Kurcz

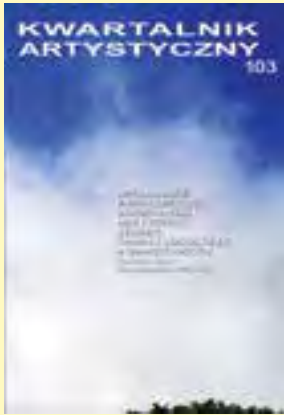
Głosy i glosy: *Jak oceniam literaturę polską Trzydziestolecia 1989–2019?* – Stefan Chwin, Mirosław Dzień, Krzysztof Lisowski, Jerzy Madejski, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Maciej Wróblewski, Andrzej Zawada

Jacek Gutorow – *W pętli czasu. Wokół ostatniej twórczości T.S. Eliota*

Ryszard Krynicki – *Pustynia Negew / krater (maktesh) Ramon. 32 powidoki* (wkładka)

Varia: Stefan Chwin, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

Recenzje i Noty o książkach: Aleksandra Francuz, Paweł Tański, Aleksander Fiut, Jakub Bęczek, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga



Nr 3/2019 (103)

Guillaume Apollinaire – *Most Mirabeau* w przekładzie Adama Wazyka oraz Antoniego Libery

Wiersze Hansa Magnusa Enzensbergera w przekładzie i z notą Ryszarda Krynickiego

Wiersze Krzysztofa Boczkowskiego, Janusza Szubera, Piotra Szewca, Artura Szlosarka, Andrzeja Szuby, Krystyny Lenkowskiej, ks. Janusza Adama Kobierskiego, Pawła Tańskiego oraz Arturo Gutierrezza Plazy i Maricruz Patiño w przekładzie Krystyny Rodowskiej

Piotr Matywiecki – *Mowa o rzeczach*

Eseje Stefana Chwina i Piotra Sobolczyka o prozie Witolda Gombrowicza w 50 rocznicę śmierci

Głosy i glosy: *Jak oceniam literaturę polską Trzydziestolecia 1989–2019?* – Bogusław Kierc, Piotr Łuszczkiewicz, Anna Nasiłowska, Piotr Sobolczyk

Varia: Stefan Chwin, Krzysztof Myszkowski, Małgorzata Sokorska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Artur Szlosarek, Janusz Szuber

Recenzje i Noty o książkach: Konrad Zych, Jakub Beczek, Maciej Wróblewski, Krzysztof Lisowski, Bogusław Kierc, Michał Czorycki, Aleksandra Francuz, Jerzy Madejski, Anna Nasiłowska, Krzysztof Myszkowski



Nr 4/2019 (104)

Kardynał John Henry Newman – *Lead, Kindly Light* w dwóch wersjach przekładu Antoniego Libery

30 rocznica śmierci Samuela Becketta

Samuel Beckett – *Nienazywalne* (fragment) w przekładzie Marka Kędzierskiego

Wiersze Samuela Becketta w przekładzie Julii Hartwig

Marek Kędzierski w rozmowie z Krzysztofem Myszkowski – *Pułapka Becketta (6)*

Wiersze Krzysztofa Lisowskiego, Artura Szlosarka, Michała Czoryckiego, Dominika Żyburtowicza

Andrzej Zawada – *Pisane złotym pelikanem*

Varia: Stefan Chwin, Jacek Gutorow, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Artur Szlosarek

Recenzje i Noty o książkach: Piotr Łuszczkiewicz, Piotr Matywiecki, Marcin Wołk, Aleksander Fiut, Bartosz Suwiński, Leszek Szaruga, Krzysztof Myszkowski, Michał Czorycki, Maciej Wróblewski, Jerzy Madejski

BALTAZAR
FAJTO

20.03.2020
/26.04.2020

EVERY- THING'S FINE



INSTYTUCJA WSPÓŁPRACUJĄCA
FAKULTETU KRAJOWYCH PRZEZ



MAJĄCE



WYDZIAŁ
Sztuki i Designu

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

PARTNERZY MEDIALNI

WYDZIAŁ
KRAJOWYCH PRZEZ

PIK
POLSKIE RADIO

SPONSOR

Canon



edukacje



Wąły gen. Sikorskiego 13
87-100 Toruń

Wydawca:

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**



KUJAWSKO-POMORSKIE
CENTRUM KULTURY
W BYDGOSZCZY

Adres redakcji:

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel. 52 585 15 02, wew. 115
e-mail: kwartalnik@kpck.pl
www.kwartalnik.art.pl

Prenumerata: Barbara Laskowska, tel. 52 585 15 02, wew. 101
Korekta: Hanna Borawska, Barbara Dąbrowa

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Warunki prenumeraty:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego“:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 40 USD / 35 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 43057874
„Kwartalnik Artystyczny”

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje

Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu,

Urzędowi Miasta Bydgoszczy i Urzędowi Miasta Torunia za pomoc finansową w wydaniu numeru 1/2020



Województwo
Kujawsko-Pomorskie



Miasto
Bydgoszcz



Miasto
Toruń

Realizacja poligraficzna:

Dom Wydawniczy „Margarfsen”
ul. Białogardzka 13, 85-808 Bydgoszcz
tel./fax 52 370 38 00, www.margarfsen.pl

N O W E

Biblioteka Telgte Wydawnictwo
Maciej Grela, *Order ostu*, Poznań 2019

Fundacja czAR(T) Krzywogórcza
Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska,
Impresje, seria „Włóczęgi”, tom 1, Krzywogó-
rniec 2019

Instytut Literatury, Wydawnictwo Naukowe
UKSW

Marek Kochan, *Dramaty wybrane*, Biblio-
teka Krytyki Literackiej Kwartalnika „Nowy
Napis”, Kraków – Warszawa 2019

Magdalena Śnieżewska, „*Nuta auto-
biograficzna*”. *O twórczości Gustawa Herlinga-
Grudzińskiego*, Biblioteka Krytyki Literackiej
Kwartalnika „Nowy Napis”, Kraków – Warsza-
wa 2019

Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka
Joanna Oparek, *Mocne skóry, białe płótna*,
Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego,
tom 167, Mikołów 2019

Karina Stempel, *Wnioski z badań tereno-
wych*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficz-
nego, tom 163, Mikołów 2019

Państwowy Instytut Wydawniczy
Juliusz Słowacki, *Dziennik niektórych dni
mego życia. Antologia zapisów dziariuszowych*,
pomysł i opracowanie Marek Troszyński, War-
szawa 2019

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział
Kraków

Piotr Lamprecht, *Pudełko*, seria Krakow-
ska Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Pol-
skich, tom 41, Kraków 2019

„Śląsk” Sp. z o.o., Wydawnictwo Naukowe
Barbara Gruszka-Zych, *Nie chciałam ci
tego mówić*, Katowice 2019

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu
Maciej Bieszczad, *Niteczka*, Biblioteka Poe-
zji / Biblioteka „Toposu”, tom 176, Sopot 2020

Joanna Chachuła, *Krew*, Biblioteka Poezji
/ Biblioteka „Toposu”, tom 175, Sopot 2019

Zygmunt Ficek, *Dzień po długiej drodze*,
Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”, tom
174, Sopot 2019

K S I A Ǻ Ź K I

Jarosław Jakubowski, *Czerwony autobus*,
Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”, tom 177,
Sopot 2020

Wydawnictwo Austeria

Adam Górski, *Pożegnanie. Wyjaśnienie*,
słowo wstępne Jarosław Mikołajewski, Kra-
ków – Budapeszt – Syrakuzy 2019

Ewa Elżbieta Nowakowska, *Sznur Ariadny*,
Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2019

Wydawnictwo BRYK-ART

Lech M. Jakób, *Zjadacz książek*, Łobez
2019

Wydawnictwo Literackie

Katarzyna Michalczak, *Tysiąc saun*, Kra-
ków 2020

Wydawnictwo MG

Alfabet Tyrmanda, wstęp, wybór i opraco-
wanie Dariusz Pachocki, Warszawa 2020

Dzieje Tristana i Izoldy, przełożył Tadeusz
Boy-Żeleński, Warszawa 2020

Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mi-
kołaja Kopernika w Toruniu

Anna Skubaczewska-Pniewska, Marcin
Wołk, *Powieść dziś. Teorie, tradycje, interpre-
tacje*, seria Teorie – Porównania – Dyskursy, To-
ruń 2019

Wydawnictwo Oficyna

Edgar Allan Poe, *Relacja Arthura Gordona
Pyma z Nantucket*, przełożył Tomasz Kłoszew-
ski, Łódź 2019

Wydawnictwo Pasaże

Zofia Zarębianka, *Bóg wpisany w wiersze*.
Teologia poetów polskich, seria Przemiany Sa-
crum, Kraków 2019

Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria

Hans Mayer, *Świadek epoki Walter Benja-
min*, przekład i opracowanie Tadeusz Zatorski,
Gdańsk 2019

Wydawnictwo Znak

Anna Piwkowska, *Między monsunami*,
Kraków 2019



CENA 11 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 1232-2105

0 1

INDEKS 36294

9 771232 210000